

MAŁGORZATA J. KURSA



Osiedlowy duet w akcji!

Padniecie trupem z wrażenia!

Malwina i Eliza na tropie

WREDNY KURDUPEL

Ciepła i pełna
humoru
komedia
kryminalna



LIRA
WYDAWNICTWO

MAŁGORZATA J. KURSA



Malwina i Eliza na tropie

**WREDNY
KURDUPEL**

L i R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2021
ISBN: 978-83-67084-07-9

Spis treści

5 KWIETNIA, OKOLICE ZWIERZYŃCA, ROZTOCZE

10 KWIETNIA, KRAŚNIK

14 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA

15 KWIETNIA, ZWIERZYNIEC

16 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA

16 KWIETNIA, ZWIERZYNIEC

16 KWIETNIA, PÓŻNE POPOŁUDNIE, RADLINIEC-KOLONIA

17 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA

17 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA, WIECZOREM

18 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA, PÓŻNE POPOŁUDNIE

18 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA, PÓŁNOC

19 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA, POPOŁUDNIE

O Autorce

5 KWIETNIA, OKOLICE ZWIERZYŃCA, ROZTOCZE

Mżyło. Powietrze pachniało wilgotną leśną ziemią i wiosenną świeżością. Grupka ludzi, którzy siedzieli na powalonym, omszałym drzewie, wyglądała jak przeniesiona z innego obrazu — nawet ich bezruch i milczenie nie łagodziły dysonansu, jaki wprowadzali samą swoją obecnością.

Zroszona mżawką polana lśniła — mimo zachmurzonego nieba — nieśmiałą, a już soczystą zielenią pierwszych liści, mrugała fioletowymi oczkami fiołków, mamila intensywnym błękitem przyłaszczek. Nieruchoma ludzka grupka w ciemnych spodniach i przeciwdeszczowych kurtkach z kapturami wyglądała jak brudna plama pacnięta pędzlem przez złośliwego malarza, by zaburzyć harmonię leśnego pejzażu.

Było ich pięcioro — dwie kobiety i trzech mężczyzn, choć trudno byłoby rozpoznać płeć, bo wszyscy, prócz podobnego stroju, część twarzy kryli pod kolorowymi chustami, które zastępowały maseczki.

— Nie zdejmujcie tych szmat — powiedziała ostrzegawczo jedna z kobiet, błyskając groźnie oczami. — Cholera wie, kogo tu diabli przyniosą. Lepiej, żeby nas nie rozpoznali.

— Zwariowałaś — stwierdził z niesmakiem szczupły, wysoki mężczyzna i pogardliwie machnął ręką. — Nikt tędy nie chodzi, a leśnicy i tak nas znają... Co ja mówię... Leśnicy! Cała ta wiocha nas zna!

— Ale ta wiocha, jak byłeś łaskaw się wyrazić, omija nas z daleka — warknęła kobieta. — A żaden świadek nie przysięgnie przed sądem, że widział akurat ciebie, jeśli masz na gębie tę szmatę. Może najwyżej podejrzewać, a to różnica.

— Przed sądem?! — Druga, postawna, której imponujący biust zdawał się rozsadzać zapiętą kurtkę, z widocznym strachem spojrzała na rozzłoszczoną sąsiadkę. — Przed jakim sądem? Za co?!

— Za morderstwo — wyjaśniła uprzejmie pierwsza. — Musimy pozbyć się Wrednego Kurdupła, zanim nas wszystkich wykończy... — Poderwała się z pnia, stanęła przed siedzącą gromadką, biorąc się pod boki, i potoczyła wyzywającym wzrokiem po osłupiałych twarzach. — Jeszcze nie macie dość? Wynieśliśmy się z miasta, żeby mieć spokój, a trafiliśmy na tę cholere. Będziemy ją opłacać do końca świata? I pozwalać, żeby nam wchodziła na łby? Ona jest jedna, a nas pięcioro! Trzeba się jej pozbyć! W taki sposób, żeby nikt nas nie podejrzewał! Ani nas, ani Bogusia!

— Morderstwo doskonale istnieje tylko w książkach — zahuczał basem mężczyzna o posturze niedźwiedzia, któremu spod zamotanej chustki wystawały kędziory gęstej brody. — A osobiście nie mam nic przeciwko temu, żeby oskarżyli Bogusia — zarechotał złośliwie. — To zbrodnia znosić przy

sobie potulnie taką zmię jak Wredny Kurdupel. Ten żaloszny bałwan przynosi wstyd swojej płci!

— Zamknij się! — syknęła ta, która rzuciła hasło: morderstwo. — Boguś nie może odpowiadać za to, co my zrobimy! Dość już się wycierpiał!

— Myyyy? — przeciągnął przysadzisty mężczyzna o wielkich dłoniach, które jakby nie pasowały do jego sylwetki. — Zawsze byłaś zdrowo trzepnięta na umyśle, ale teraz to już przegięłaś! Jak to sobie wyobrażasz? Ubijemy ją zespołowo, a ciało utopimy w bagnie? Przecież ten kretyń będzie musiał zgłosić zaginięcie, a policja od razu weźmie pod lupę jego i nas! Nie chcę! Nie potrafię!

— Nie, nie. Bagno odpada. — Pomysłodawczyni pokręciła głową. — Za daleko. Musielibyśmy przewieźć ciało. To ryzykowne... — Wyprostowała się i oczy jej błysnęły. — Słuchajcie. Długo nad tym myślałam i doszłam do wniosku, że jeśli się czegoś nie wie, to się tego nie zdradzi...

— Co ty bredzisz, kobieto?! — zirytował się nieco piskliwie szczupły drągal. — Świeże powietrze ci zasz...

— Nic mi nie zaszkodziło! Słuchaj, co mówię! Mam przygotowane zapalki. Pięć sztuk. Po jednej dla każdego. Jedna jest z czerwonym łebkiem. Ten, kto ją wyciągnie, będzie musiał zabić Kurdupla. Robimy tak: ciągniecie, wtykacie do kieszeni i dopiero w domu sprawdzacie, jaką wyciągnęliście. W ten sposób nikt z nas nie będzie wiedział, kto zabił.

Przez chwilę na polanie panowała cisza. Tylko oczy siedzącej czwórki prezentowały całą gamę emocji. Stojąca kobieta czekała spokojnie, a kiedy wszyscy jednocześnie poderwali się z pnia i wyciągnęli ręce, po jej ukrytych pod kolorową chustą ustach przewinął się pełen satysfakcji uśmiech.

Żadne z nich nie miało pojęcia, że w spotkaniu na polanie uczestniczy nadprogramowa osoba.

10 KWIETNIA, KRAŚNIK

Malwina Pędziwiatr przekleła wirusa już tyle razy, że w zasadzie — gdyby posiadał choć odrobinę przyzwoitości — powinien był zniknąć z powierzchni ziemi tak cicho, jak się pojawił. Wszak uczono ją, że słowo ma moc. Zapomniano tylko dodać, że spory procent ludzkości wykształcił w sobie odporność na tę moc, czego efektem była coraz większa liczba zakażeń. Ludzie po prostu byli głusi na wszelkie nakazy i zakazy, ponieważ dla większości demokracja oznaczała tylko i wyłącznie wolność osobistych opinii i wyborów, odpowiedzialność zaś była dla wielu słowem niewygodnym, uciążliwym, irytującym. Malwina przestała więc lżyć wirusa, a zaczęła bliźnich. Kiedy jednak programy informacyjne, które namiętnie oglądała, przynosiły codziennie komunikaty o nowych obostrzeniach, kiedy docierały do niej wieści o kolejnych wpadkach rządu, Malwina z bliźnich przerzuciła się na rządzących, z którymi nie czuła się gatunkowo spokrewniona. Ulgi jej to nie przyniosło, ale pozwoliło dać ujście emocjom i spuścić nieco pary. Choć i tak powoli dochodziła do stanu, kiedy bez namysłu pozwoliłaby się wystrzelić w kosmos, byle tylko uciec od — przyrastającej w przerażającym tempie — tępoty własnego gatunku.

Malwiny nie ominęły rządowe nakazy. Prowadziła barek obiadowy, który na czas pandemii musiała zamknąć. Pogratulowała sobie w duchu, że posłuchała wcześniej mądrej rady przyjaciółki i zatrudniła wyłącznie emerytki. Czuła się lepiej, kiedy miała pewność, że jej pracownicy mogą przetrwać ten ciężki okres bez dodatkowych zarobków, a ona sama nie musi ponosić kosztów, kiedy nie osiąga zysków.

Pandemia dała się Malwinie we znaki przede wszystkim emocjonalnie. I prawdopodobnie zdrowotnie, choć tego wolała nie sprawdzać. Za każdym razem, kiedy słuchała bredzenia polityków, kiedy patrzyła na tępe, zacierzwione oblicza, kiedy — wbrew zdrowemu rozsądkowi — zaglądała na paski telewizji zwanej publiczną (bez fonii, bo wolała nie ryzykować), doznawała wrażenia, że wirus zainfekował nie tylko drogi oddechowe, ale i odarł ludzkość z inteligencji. Na samą myśl o tym, jaka przyszłość czeka jej jedyną córkę i zięcia, a może i ewentualne wnuki, ogarniała ją zgroza. Ani chybi, przyjdzie jej na stare lata organizować lekcje tajnego nauczania, bo przecież nie zniesie obecności niedouczonej idiotów we własnej rodzinie. Dlaczegoż, na Boga, nie ściągnęła Lukrecji do Kanady, zamiast lekkomyślnie sama wracać do Polski? No, owszem, przy zięciu policjancie życie bywało ciekawe, ale może jednak kobieta w pewnym wieku bardziej niż adrenaliny potrzebuje stabilności? Przynajmniej prawnej i ekonomicznej?

Te pesymistyczne przemyślenia nie opuszczały jej i teraz, gdy wychodziła

z lokalnego marketu, żując jeszcze pod maseczką epitety pod adresem wiszących na sobie bliźnich w kolejkach przy kasach. Limit cierpliwości i tolerancji dla ludzkiej głupoty właśnie się kończył. Malwina wyraźnie czuła, że gdyby dano jej do ręki jakiegokolwiek śmiertelnośnego narzędzie, użyłaby go bez wahania.

Zamierzała podjechać wypełnionym po brzegi wózkiem do zaparkowanego w pobliżu samochodu, gdy poczuła silne pchnięcie w ramię. Hamulce puściły i Malwinie najpierw przed oczami pojawiła się czerwona mgła, a potem z samego środka jej zmaltretowanego jestestwa wydobył się wściekły warkot:

— Czy ja jestem niewidzialna?!!!

Poderwała głowę, rzucając agresorowi spojrzenie, które powinno go być od razu spopielić, i dojrzała przed sobą kobietę o masywnej figurze kariatydy, bujnych piersiach i rudych splotach spadających na ramiona. Niewiasta zamiast maseczki miała zamotaną na twarzy wielobarwną chustę, a ogromne, intensywnie zielone oczy, w których błyszczało zaskoczenie, wbijała w wystający spoza maseczki kawałek oblicza poszkodowanej.

— Malwina? — wionęło niepewnie spod chusty.

— A jak Malwina, to co?! — Kraśnicka bizneswoman była już w rozpędzie. — Jak Malwina, to gorsza niż reszta świata?! Oczu pani nie... — Zachłysnęła się nagle i oprzytomniała, wpatrując się w rudowłosą jak w widmo. — Ja pimpolę! Domiśka?! To naprawdę ty?! Co tu robisz?! I czemu maltretujesz porządnych ludzi...?! No, co mnie pan tu pcha? — warknęła, łypiąc gniewnie na mężczyznę, który ją szturchnął, przechodząc.

— W piekle bym cię poznała — zaśmiała się koleżanka ze szkolnej ławy. — Masz chwilę? Wieki się nie widziałyśmy. Można tu gdzieś posiedzieć i pogadać?

— W czasie pandemii? — Malwina wymownie przewróciła oczami. — Zapomnij. Wszystko pozamykane. Ale chwilę mam i zamierzam wydusić z tego przypadkowego spotkania, ile się da... Przyszłaś czy przyjechałaś?

— Przyjechałam. I muszę zrobić matce zakupy. Wypisała mi całą listę... Poczekasz?

— Poczekam. Widzisz tę mazdę? To moja. Zrób te zakupy, a ja przeładuję swoje. Poczekam na ciebie i pojedziemy do mnie... Kurczę, szkoda, że Lizy nie... Wydzwonię ją. Niech przychodzi. Zrobimy spotkanie trójki klasowej... Leć, Domiśka. Szkoda czasu!

Malwina pośpiesznie przełożyła zakupy do bagażnika, odstawiła wózek, wróciła i usiadła w samochodzie, uśmiechając się do siebie pod maseczką. Uświadomiła sobie, że nie widziała Dominiki od czasów licealnych, a ostatnie, co obito się jej o uszy, to wieść, że koleżanka dostała się na wymarzoną Akademię Sztuk Pięknych. Eliza z pewnością będzie zachwycona tym nieoczekiwanym spotkaniem. Domiśka zawsze imponowała im obu swoimi zdolnościami.

Szybko wybrała numer przyjaciółki.

— Liza? Nie uwierzysz, kogo spotkałam! Domiśka jest w Kraśniku! Rzucaj wszystko i zasuważ do mnie! Zaraz ją tam przywlokę! Nagadamy się za wszystkie czasy! — Przez chwilę słuchała nieuważnie lamentów Elizy, nie spuszczając oka z drzwi marketu. — Przestań labidzić jak stara baba! Życie jest nieprzewidywalne, drugiej okazji możemy nie mieć! Jak czegoś nie zrobisz, to myślisz, że Wielkanoc odwołają? — W tle rozległ się uspokajający głos synowej Elizy. — Zbieraj się szybko! Lala sobie poradzi bez ciebie!

Siedziały w dużym salonie Malwiny przy kawie, przyglądając się badawczo swoim twarzom. Szukały w nich tamtych siebie — naiwnie odważnych dziewiętnastolatek, pewnych, że wydrą od świata ten należny im kawałek tortu, że mogą wszystko.

— Zmieniłyśmy się — westchnęła Eliza.

— Dojrzałyśmy — poprawiła natychmiast Malwina.

— Elegancki eufemizm na starzenie — mruknęła Dominika. — Opowiadajcie, co się z wami działo przez te lata. Z nikim nie mam kontaktu, a na spędy licealne jakoś mnie nigdy nie ciągnęło.

— Proza życia się dzieła. — Eliza wzruszyła ramionami. — Wyszłam za mąż, urodziłam syna, a teraz mam i synową. Swoje przeszłam, ale nie narzekam. Chłopa mam dochodzącego, bo go z domu pogałam. Nie dość, że pił, to jeszcze teściowa mi się we wszystko wtrącała. Teraz ja dyktuję warunki.

— Prawidłowo. — Dominika się uśmiechnęła. — Pracujesz, Liza?

— Teraz tylko zdalnie. — Pokręciła głową i zachichotała. — Pamiętasz, jaki byłam głąb z matmy? To wyobraź sobie, że jestem księgową. Mam jednoosobową firmę i klientów mi nie brakuje. Na milionerkę nie mam kwalifikacji, ale wyżyć się z tego da. No i dzieci pomagają.

— A ty miałaś iść na anglistykę, Malwina. — Dominika spojrzała na gospodynię. — Dobrze pamiętam?

— Dobrze pamiętasz. A zamiast tego poszłam do łóżka z Pędziwiatrem i zaciążyłam. — Malwina przewróciła oczami, wspominając własną naiwność. — Lukrecję urodziłam już jako rozwódka.

— Szybko ci poszło...

— Szybko — zgodziła się Malwina. — Pędziwiatr się plątał po cudzych wyrach, robotny też bardzo nie był, myśl o dziecku go nie uszczęśliwiała, więc wolałam nie ryzykować. Kiedy Lukrecja poszła na studia, pojechałam do Kanady. Do pracy, żeby dziecku zapewnić lepszy start życiowy. Teraz prowadzę barek obiadowy i całkiem nieźle prosperuję... Wiesz, Domiśka, w sumie nie żałuję. Tylko jak Pędziwiatra wspominam, to mnie trzęsie. Nie lubię pamiętać o osobistej głupocie.

— Lukrecja...Borgiowie... No tak, cała ty. — Uśmiechnęła się Dominika. — Malwina kontra świat... Zawsze mi się zdawało, że masz w sobie dużo z Klary ze „Ślubów panińskich”... Jeśli córka wdała się w ciebie, to pewnie nie mogła się odgonić od adoratorów...

— Kontra faceci — poprawiła Malwina i szczerze wyznała: — Miałam

zakusy, żeby zostać wredną teściową z dowcipów, ale zięć mi się dobry trafił. Lepszy niż niejeden syn... A co z tobą? Doszły mnie słuchy, że od razu po maturze dostałaś się na ASP. Prawda to?

— Prawda. W Krakowie... Boże, ależ to były cudne czasy. — Dominika westchnęła z wyraźnym żalem. — Imprezy do rana, gadanie bez końca, nocne włączki po mieście, wakacyjne wędrówki, plenery malarskie... Też mnie dopadł epizod małżeński. Kumpel z roku. Pobraliśmy się ekspresowo i rozstaliśmy jeszcze szybciej po powrocie z Paryża...

— Jak to? — wyrwało się Elizie. — A mówią, że Paryż to miasto miłości!

— Zależy, z kim tam jesteś i po co. — Dominika wzruszyła ramionami. — Mnie interesował impresjonizm, Lucjusza kubizm. Dopiero później dotarło do mnie, że wyszłam za patentowanego lenia. Nie był nawet specjalnie utalentowany, a już na pewno nie miał zadatków na drugiego Picassa, jak sobie wyobrażał. Kubizm nie jest łatwy. Trzeba mieć talent i wyobraźnię, a on uważał, że wystarczy byle maźnięcie pędzla, bo snobom wszystko da się wmówić. W efekcie ja zasuwałam jako kelnerka, żeby zarobić na bilety do muzeów i zwiedzić Giverny Moneta, a on używał paryskiego życia... Nie płakałam za nim. Teraz uważa się za abstrakcjonistę.

— A co malujesz? — zapytała Eliza z szacunkiem.

— Pejzaże. Mieszkam pod Zwierzyńcem, a wystawiam w zamojskiej galerii. Czasem trafiają mi się zlecenia od firm; czasem znajoma, która jest dekoratorką wnętrz, zamawia u mnie kopie klasyków. W sumie też nie narzekam. Robię to, co lubię, a odkąd uciekłam z miasta, widoków wartych pędzla mam pod dostatkiem... Zazdroszczę wam — wyznała nieoczekiwanie. — Wciąż się przyjaźnicie. Dobrze mieć pod ręką kogoś, komu można zaufać.

— Oj, bo ty nic nie wiesz, Domiśka! — Eliza poróżnowiała z przejęcia i pochyliła się ku koleżance. — Każda z nas ma własną pracę, ale odkryłyśmy wspólną pasję! Zięć Malwiny jest policjantem! Kiedy zaczynałyśmy, jeszcze nam się zdarzały wpadki, ale teraz jesteście śledcze pełną gębą! Nawet dyplomy dostałyśmy od policji! Za pomoc w śledztwie!

— Na wyjeździe też się wykazałyśmy. — Nadęła się od razu Malwina. — Rozwiązałyśmy sprawę seryjnego mordercy!

Dominika wodziła od jednej do drugiej wzrokiem, który wyrażał kompletne zaskoczenie.

— O czym wy mówicie, na litość boską?! Prędzej bym się spodziewała, że działacie w jakimś lokalnym kabarecie. Jeszcze pamiętam, jak recytowałyście „Makabreski” Marianowicza... Założyłyście biuro detektywistyczne?!

— Nie. — Eliza pokręciła głową. — Nie mamy czasu na dodatkową działalność. Przecież pracujemy... Nie. Po prostu jakoś tak wyszło...

— Sama zaczęłaś! — wytknęła jej Malwina. — Bo cię okradli i chciałaś się mścić!

— A potem ty chciałaś ukarać wandala! A potem musiałyśmy usuwać tego

twojego ogrodowego nieboszczyka!

— A potem ty się uparłaś, że nieboszczka sama się nie ubiła, bo była szczęśliwa! — zirytowała się Malwina.

— I miałam rację! — w głosie Elizy dźwięczał tryumf. Spojrzała na wstrząśniętą Dominikę i dodała: — Za to dostałyśmy dyplomy. Lala też. To moja synowa.

— A na wyjeździe — Malwina nie chciała być gorsza — w szafie znalazłyśmy obcą nieboszczkę. Pomogłyśmy policji, a przy okazji osobiście poznałyśmy autorkę świetnych kryminałów. Teraz nam każdą nową książkę przysyła z dedykacją. I nawet byliśmy na jej weselu.

Dominika milczała przez długą chwilę, usiłując przyswoić sobie ten natłok informacji. Coś błysnęło w jej oczach, ale się wahała.

Przyjaciółki spojrzały na siebie i jednym głosem powiedziały zachęcająco:

— Mów!

— Jeśli masz jakąś nieboszczkę i problemy z tego powodu, możemy ci pomóc — dodała życzliwie Eliza.

— Nieboszczyk płci męskiej też nam niestraszny — uzupełniła Malwina. — Jednego wyeksponowałyśmy z mojego ogródka aż do parku.

— Nie... Nieboszczykami chyba nie dysponuję, ale... — zaczęła niepewnie Dominika i wzięła głęboki oddech. — Mam dwa koty — oznajmiła. — Fridę i Augusta. Frida od Fridy Kahlo, August od Renoira.

Teraz osłupiały obie przyjaciółki.

— Koty? Zabójcze? — zapytała wreszcie Eliza.

— Nie! — Dominika zaśmiała się jakoś nieszczerze. — Normalne koty. Kanapowce, nawet nosa nie wytkną z domu. Tylko... Z tego, co mówiłyście — ciągnęła z wahaniem — wyciągnęłam wniosek, że lubicie aktywne życie...

— Dobra, nie kombinuj, Domiśka, tylko mów jak człowiek! — zniecierpliwiła się Malwina. — Co z tymi kotami?

— Zostawiłam je w domu — wyrzuciła z siebie Dominika. — Tymczasowo opiekuje się nimi Dora, moja sąsiadka, ale ona nie przepada za kotami. Uprosiłam ją na kilka dni. Chyba jednak będę musiała zostać dłużej w Kraśniku, bo matka nie czuje się najlepiej... Nie, to nie wirus, tylko wiek — wyjaśniła pośpiesznie na widok ich podejrzliwych min. — Może... Może miałybyście ochotę zwiedzić kawałek Zamojszczyzny?

— W czasie pandemii? — Eliza uniosła brwi.

— Tam jest zupełna głusza — powiedziała zachęcająco Dominika. — Sześć chałup na krzyż. Las naokoło. Niedaleko przepiękne stawy Echo, kościół „Na Wodzie” z kryptami zakonników... O, koniki polskie możecie zobaczyć na wolności. Cudne są. A lasy... Boże, jakie tam są lasy!

— Zaraz! — Malwina powstrzymała jej zachwyty, unosząc dłoń. — Chałupy? Co dokładnie masz na myśli?

— Przed dziesięciu laty zrzuciliśmy się w sześcioro i kupiliśmy ziemię od gminy. Na wypasione wille zabrakło nam kasy, a zresztą... Nie chcieliśmy psuć

krajobrazu. Tam naprawdę jest pięknie. I dziko, bo to kawałek od wsi. Lokalsi nazywają tę naszą mini osadę Kolonią, ale mieści się w granicach wsi Radliniec... Dość, że Bruno podczas swojej włości dowiedział się, że są na sprzedaż stare chaty. Kupiliśmy je, zorganizowaliśmy transport i... — Na widok sceptycznej miny Malwiny dodała pośpiesznie: — One tylko na zewnątrz wyglądają jak wiejskie chałupy! Każde z nas urządziło je po swojemu, ale mamy wszelkie cywilizacyjne wygody. Internet też jest, bo prowadzimy swoje strony w ramach promocji... Miałybyście ochotę? — W jej głosie dźwięczała nadzieja.

Przyjaciółki popatrzyły na siebie z namysłem.

— Kotki tam są — powiedziała z naciskiem Malwina. — Same. Biedne. Zanedbane może. Kotki są pożyteczne. Pamiętasz Belzebuba?

— Wiem, że są pożyteczne! — warknęła niecierpliwie Eliza. — A nawet gdyby nie były pożyteczne, to i tak nie powinny głodować... Ta twoja Dora przez święta wytrzyma? — Spojrzała pytająco na Dominikę. — Bo wcześniej nie będę mogła pojechać. Planujemy rodziną Wielkanoc. Malwina pewnie też.

— Wtorek — oznajmiła stanowczo Malwina. — We wtorek możemy jechać. Tylko najpierw musisz nam dokładnie powiedzieć, czego od nas oczekujesz i co tam na miejscu zastaniemy. Lubię wiedzieć, w co się pakuję.

Zielone oczy rudowłosej malarki rozbłysły nadzieją i jakby ulgą. Dopięła kawę, poprawiła się na kanapie, zakładając nogę na nogę, i zaczęła mówić:

— Z początku było nas tam sześcioro. Potem Bella sprzedała dom i wróciła do miasta, a na jej miejsce przyszedli Mazurkowie. On jest notariuszem, ona agentką nieruchomości. Mieszkają obok mnie. Po drugiej stronie mam właśnie Dorę. Naprawdę nazywa się Dorota Zawajska i jest siostrą Wre... Baśki Mazurek. Dora jest dekoratorką wewnątrz i ma duże wzięcie u zamojskich snobów. Naprzeciwko, po drugiej stronie drogi, też są trzy domy. W jednym mieszka Lucjan Ginter, też malarz... Nie jestem zawistna, ale nie mam pojęcia, jak mu się udaje cokolwiek sprzedać, bo to pacykarz. Maźnie jakąś bryłę geometryczną i potrafi wmówić klientowi, że to rozpaczliwy krzyk kosmosu. — Zaśmiała się nieprzyjemnie.

Obie przyjaciółki spojrzały na siebie, przeniosły wzrok na Dominikę i jednocześnie spytały:

— Twój były?

— Owszem — przyznała sucho. — Lucjuszem został z powodu podobieństwa do tego młodego diabła ze sztuki Drdy. Też ma taki wąsik i kocią bródkę, też ma takie gadane, ale jest wyższy i mniej przystojny, bo tyczkowaty... Nie musicie mnie żałować. — Wzruszyła ramionami, widząc ich współczujące miny. — Wciąż nazywam się Dominika Kurlej. Z Gintera już dawno się wyleczyłam. Przeszła mi nawet złość na siebie, że tak głupio dałam się wkręcić... Naprzeciwko mnie mieszka Bruno Szumski, brodaty, czarnowłosy, blady jak upiór... — Parsknęła śmiechem. — Bruno jest

rzeźbiarzem. Dobrym. Miał kilka wystaw w Krakowie. Kiedyś plątał się po cmentarzu w Radlińcu w poszukiwaniu inspiracji. Jakaś kobiecina na jego widok narobiła wrzasku i od tamtej pory Bruno unika wizyt we wsi... No i Mikołaj Gałuszko zwany Mikim. Zwalisty, kudłaty, rudy jak ja. Obok domu ma piec do wypalania gliny. Zajmuje się ceramiką. Robi przepiękne rzeczy. Wszyscy... no, prawie wszyscy, są fajni i oryginalni, ale nie musicie z nimi przestawać. Będziecie miały dość atrakcji poza naszą Kolonią.

— A kto nie jest? — zainteresowała się Eliza, a widząc spłoszony wzrok Dominiki, doprecyzowała pytanie: — Kto nie jest fajny? Bo rozumiem, że w tej łyżce miodu i kropla dzięgiu się trafiła?

— Ja ci powiem — oznajmiła Malwina, która z uwagą słuchała koleżanki. — Te Mazurki nie są fajne. I w ogóle tam nie pasują. Ani zawodowo, ani towarzysko. Mam rację?

— Masz — przyznała Dominika z westchnieniem. — Boguś to taka ciapa i pantoflarz, ale Baśka... Nazywamy ją między sobą Wrednym Kurduplem. Omijajcie ją po prostu. Gdyby was zaczepiała...

— Zlekceważymy ją — zapewniła Malwina. — Jesteśmy odporne na głupotę i chamstwo... To jak, Liza? Jedziemy? — Spojrzała na przyjaciółkę.

— Jedziemy. Będziemy użyteczne dla kotków, a przy okazji oderwiemy się od tych wszystkich szkodliwych bodźców dybiących na każdym kroku na człowieka... Internet masz, telewizor też?

— Telewizora nie. Nie czułam jakoś takiej potrze...

— Bardzo dobrze, że nie czułaś, Domiśka — pochwaliła Eliza. — Malwinie dobrze zrobi odwyk. Kiedyś ją rozerwie od nadmiaru informacji.

— Odczep się! — warknęła natychmiast Malwina i kwaśno zapytała: — A długo miałybyśmy tam siedzieć u ciebie?

— Choć do niedzieli, co? — Dominika rzuciła jej błagalne spojrzenie. — Spróbuję jakoś ogarnąć sprawy matki. Może uda mi się nawet znaleźć dochodzącą opiekunkę.

— W porządku. Podrzuc do mnie klucze do tej swojej chałupy i powiedz, jak tam dojechać.

14 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA

Do Radlińca dojechały bez przeszkód, ale dalej szczęście je opuściło. Przejechały powoli przez całą wieś, rozglądając się na boki w poszukiwaniu bocznej drogi, o której wspominała Dominika. Jedyna, która rzuciła im się w oczy, znajdowała się przy ceglany murze, zza którego wystawały pociemniałe ze starości, pochylone krzyże.

— Może tu skręć, co? — podsunęła z wahaniem Eliza. — Domiśka wspominała o cmentarzu...

— Ale nie mówiła, że się na nim zadomowili — burknęła Malwina. — Na nieboszczkę też nie wyglądała... To po prostu dojazd na cmentarz i nic więcej... Ten głupi GPS nie pokazuje żadnej miejscowości poza Radlińcem.

— W moim smartfonie też nic nie ma — stwierdziła z żalem Eliza. Wsunęła telefon do torebki i rozejrzała się po pustej szosie. W lusterku wstecznym dostrzegła zgarbioną rowerzystkę, która powoli się do nich zbliżała. — Zaczekaj. Założę na gębę ten kaganiec, wyjdę i zapytam o drogę.

Nim Malwina zdążyła zaprotestować, przyjaciółka wysiadła z samochodu, stanęła na poboczu i czekając na cyklistkę, z popłochem zastanawiała się, w jaki sposób ma okazać nieznanym przyjacielskie zamiary, jeśli nawet najszerszy uśmiech nie będzie widoczny z powodu tej cholernej maseczki. Nim zdążyła coś wymyślić, rowerzystka — która okazała się niewiastą ewidentnie mocno dojrzałą, bo pozbawione osłony oblicze miała pobrużdżone zmarszczkami — zatrzymała się przy samochodzie i wystrzeliła gromkim powitaniem:

— Pochwalony! Poblądziły?

— Na wieki wieków — odparła z ulgą Eliza i przyznała: — Trochę poblądziły. Szukamy zjazdu do osiedla artystów. Którędy tam do...

Urwała speszona, bo babkowina przeżegnała się pośpiesznie i splunęła w bok. Przeskanowała Elizę oczami jak tarczki i widocznie lustracja źle nie wypadła, bo machnęła spracowaną ręką w stronę cmentarza.

— Ksiundz mówi, że unie antychrysty. — Uśmiechnęła się chytrze. — Te artyści. Bo chciał od nich świnty obraz do kościoła. I myślał, że darmo dadzą... Mnie na dziewiędziesiąt років idzie, swoje widziałam. Ludzie za piniondze robić nie chcą, a darmo mają robić...? Tu trza jechać. — Pokazała ręką. — Za cmentarzem kawałek prosto i trafią... No to z Bogiem. — Objechała samochód, skręciła w pokazywaną przed chwilą szutrową drogę i przyśpieszyła.

— No i co? Dowiedziałaś się czegoś? — zapytała niecierpliwie Malwina, kiedy przyjaciółka wsunęła się do auta.

— Owszem. — Eliza zdjęła maseczkę i uśmiechnęła się z satysfakcją. —

Dobrze mówiłam. Trzeba skręcić w ten zjazd przy cmentarzu i jechać prosto. I dowiedziałam się przy okazji, że tutejszy ksiądz uważa mieszkańców Kolonii za antychrystów, bo nie chcieli namalować obrazu dla kościoła. Za darmo.

— Za darmo? — Malwina uniosła brwi, posłusznie skręcając. — A sam jest chętny, żeby za darmo obsługiwać wiernych?

— Tego mi już babcia nie powiedziała... Słuchaj, ona ma dziewięćdziesiąt lat, a widziałaś sama, jak popuła na tym rowerze. — W głosie Elizy dźwięczała wyraźna zazdrość. — Myślisz, że to tutejszy klimat tak działa?

— Cholera, nie lubię jeździć po takich drogach — mruknęła Malwina, zwalniając. — Nie wiem, czy klimat. Ludzie na wsi chyba nie mają czasu, żeby nad sobą skakać; może to ich konserwuje... Te kamyki wybijają spod kół. Będę miała odpryski na karoserii...

— Chyba mazda będzie miała, nie ty — parsknęła Eliza. — Twoja karoseria jeszcze dobrze się trzyma.

— Odczep się... Nie wiem, co mnie podkusiło do tego wyjazdu...

— Niedokarmione kotki cię podkusiły — wytknęła Eliza. — I ciesz się, że tu w ogóle jest jakiś cywilizowany dojazd, bo mogłyśmy trafić na błotniste wądoły. — Dojrzała minę przyjaciółki i łagodząco dodała: — Przynajmniej na żadne ogrodowe durnostojki nie będziemy narażone. Artyści chyba jednak dysponują odrobiną gustu.

— Nie jestem pewna — mruknęła kwaśno Malwina, mijając cmentarz. — Tam mieszkają te nefajne Mazurki, które niewiele mają wspólnego z artystami. Raczej mi wyglądają na snobów. No i ten niespełniony Picasso.

— Na Picassa weź od razu poprawkę. Nie spotkałam jeszcze kobiety, która miałaby dobre zdanie o byłym mężu. Domiśka pewnie nie jest wyjątkiem.

Za cmentarzem obie strony drogi porastał las. Dorodne pnie sosen, których strzelistość podkreślała jasnozielona korona młodej grabiny, przykuły wzrok Malwiny Pędziwiatr i złagodziły jej kłótny nastrój. Wiedziona impulsem zatrzymała samochód i otworzyła okno. Do środka napłynęło nasycone zapachem lasu powietrze i szczebiot ptaków. Zza chmur błysnęło słońce.

— Pięknie tu jest — powiedziała z zachwytem Eliza.

— Pięknie — przyznała Malwina i westchnęła. — I mam nadzieję, że moje przecucia się nie sprawdzą.

— Jakie przecucia? — Przyjaciółka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— To nie porzucone kotki mnie skusiły, żeby pomóc Domiśce. — Malwina zapatrzyła się na korony wysokich sosen. — Musimy być ostrożne, Liza. Obawiam się, że Domiśka nie powiedziała nam, dlaczego tak jej zależało, żebyśmy tu przyjechały... Nie! — Uniosła dłoń, kiedy przyjaciółka otworzyła usta, by zaprotestować. — Najpierw ja... Kiedy powiedziałam, że mam w rodzinie policjanta, wyraźnie się spięła. Ale zdecydowała się na zaproszenie dopiero wtedy, gdy usłyszała o naszych osiągnięciach. I nie wierzę, że musiała przedłużyć pobyt w Kraśniku ze względu na matkę. Z tego, co słyszałam, stara Kurlejowa dobrze się trzyma i nie potrzebuje jeszcze obsługi. Gdyby Domiśka

poprosiła, żebyśmy zagłądały do jej matki, to rozumiem, ale... Coś się kryje za tym zaproszeniem.

Eliza przez chwilę analizowała w milczeniu jej wypowiedź, wreszcie potrząsnęła głową.

— Masz skrzywienie zawodowe. Wszędzie węszysz podstępny i tajemniczy... Może się krępować poprosić o pomoc dla matki? Może chciała z nią spędzić więcej czasu i dlatego... Malwina, o co ty ją podejrzewasz? Że się nas pozbyła z Kraśnika, bo zamierza ukatrupić rodzoną matkę?! Domiśka nie jest psychopatką!

— Nie podejrzewam, że chce się pozbyć matki. Mam wrażenie, że raczej nie chce wracać do tej swojej osady — stwierdziła Malwina. — I o nic jej nie oskarżam, tylko się nad tym wszystkim zastanawiam.

— Myślisz, że ci artyści mogą być niebezpieczni? — Eliza spojrzała na nią ze strachem. — To może jednak zawróćmy?

— O nie! — powiedziała twardo Malwina, ruszając. — Zawsze lubiłam Domiškę. Muszę się dowiedzieć, czego się boi. Do niedzieli wytrzymamy. Tylko pamiętaj, że musimy być ostrożne.

Po kilkuset metrach las nagle cofnął się w głąb, ustępując miejsca sześciu drewnianym wiejskim chatom, ogrodzonym opłótkami z chrustu. Zszokowana Malwina gwałtownie zahamowała.

— Ja pimpolę! — wyrwało jej się ze zgrozą. — Co to ma być?! Przeniosłyśmy się w czasie?! Ten Radliniec przy tym czymś wygląda jak nowoczesna metropolia! Patrz! To chyba studnia! Jeśli za chałupą jest wychodek, to ja rezygnuję! Nawet dla Domiśki tak się nie poświęcę!

— Ale ona mówiła, że w środku jest normalnie — wymamrotała niepewnie Eliza, którą widok w takim samym stopniu zaskoczył, co zachwycił, do czego wołała się nie przyznawać. — Sprawdźmy. Jak już dojechałyśmy na miejsce, to powinniśmy przynajmniej zobaczyć, jak się mają koty. Tylko musisz podjechać pod tę środkową chałupę. Domiśka mówiła, że mieszka w środkowej po lewej stronie od wjazdu.

Malwina spojrzała na nią ciężkim wzrokiem, ale sumienie w niej pisnęło i podsunęło przed oczy obraz zagłodzonych kotów. Podjechała, wyłączyła silnik i wysiadła, patrząc podejrzliwie pod nogi, jakby się spodziewała, że wdepnie w coś obrzydliwego.

— Przestań! — syknęła Eliza, która już zdążyła stanąć obok niej. — To są artyści, nie rolnicy! Nie mają czasu na dogłębne oglądanie żywego inwentarza! Prędzej w Kraśniku wdepniesz w psią kupę niż tutaj w krowi placek!

— W Kraśniku nie chadzam po trawnikach — nabzdyczyła się Malwina. — Od spacerów mam chodniki.

— Już nie bądź taka księżniczka... Masz klucze?

Zanim Malwina zdążyła je wydobyć z kieszeni, drzwi sąsiedniej chałupy uchyliły się i wyrzała z nich drobna blondynka. Na widok nieznanym podeszła do płotu.

— A panie do kogo? I w jakiej sprawie? — Przyjrzała im się podejrzliwie.

— Domiśka nas zaprosiła — odparła pośpiesznie Eliza. — Mamy się zająć kotami, bo ona musi jeszcze trochę zostać w Kraśniku.

— Trochę? — Na twarzy blondynki błysnęło wyraźne niezadowolenie. — To znaczy ile?

— Wraca w niedzielę. — Malwina dyskretnie przeskanowała wzrokiem nieznaną i uznała ją za Dorotę Zawojką. — Pani jest Dora, tak? Domiśka nam o pani opowiadała.

— Co opowiadała? — Blondynka wyraźnie się spięła.

— Że jest pani dekoratorką wewnątrz i jej sąsiadką — wyjaśniła życzliwie Eliza i zobaczyła, jak z tamtej schodzi powietrze. — Wiemy, że państwo są artystami. Nie będziemy przeszkadzać. Przy okazji tej wizyty chcemy trochę pozwiedzać. Domiśka mówiła, że tu są piękne miejsca.

Zanim Malwina, która już otwierała usta, zdążyła coś dodać, z domu po prawej dobiegł agresywny, nasycony złością wrzask:

— Znowu wydałeś pieniądze jak jakiś idiota! Pełnoziarniste! Tak trudno zapamiętać?! Nie jadam pszennych bułek i dobrze o tym wiesz! Niech ci Domiśka namaluje obrazek, jak nie możesz zapamiętać, które są które! Co mi do głowy strzeliło, żeby wyjść za ciebie! Jakim cudem ty w ogóle prawo skończyłeś?! Oddaj to do sklepu! I niech zwrócą pieniądze! Przez ciebie nie zjem śniadania! Miałam chyba zaćmienie umysłowe, kiedy się zdecydowałam kupić ten dom na zadupiu!

Do uszu trzech kobiet doleciał brzęk rozbijanego naczynia, a chwilę potem z sąsiedniego domu wypadła ewidentnie rozwścieczona niska blondynka z imponującym biustem, który dziwnie nie pasował do pozostałych gabarytów, oraz równie imponującą strzechą platynowych włosów. Widać było, że ją furia napędza, ale jej dynamikę spowalniały wysokie czerwone szpilki i wąska spódnica eleganckiego kostiumu. Dopadła stojącego na wybrukowanym polnymi kamieniami podjeździe krwistego porsche, potknęła się, w ostatniej chwili opierając się o drzwiczki samochodu, i zakląła głośno. Kiedy się ustabilizowała, oko jej poleciało na tkwiącą w bezruchu trójcę. Po mocno umalowanych ustach przewinął się złośliwy uśmiech.

— Klientki, siostrzyczko? — zagruchała z obłudną słodyczą i rozkazująco wytknęła ozdobiony jaskrawoczerwonym szponem palec ku osłupiałym kraśniczankom. — Nie podpisujcie żadnej umowy! Ona tak się zna na wystroju wewnątrz...

— Lepiej niż ty na mieszkaniach — weszła jej w słowo Dora i wzruszyła lekceważąco ramionami. — Wielka bizneswoman się znalazła... Ktoś kiedyś nie wytrzyma i obije ci tę wiecznie nabzdyczoną gębę za oszustwo... Spadaj stąd, zanim się wkurzę. Mam dostęp do farb Domiśki. Jak poczuję wenę, mogę ci upiększyć twojego ukochanego porschaczka. — Spojrzała na znieruchomiałe kraśniczanki i machnęła ręką ku odjeżdżającej pośpiesznie elegantce. — Ten rozdarty kurdupel to moja siostra, niestety. Barbara

Mazurek, agentka nieruchomości. Sprzeda każdą rudę za każde pieniądze, żeby wyciągnąć jak największą prowizję. Nie radzę korzystać z jej usług, bo oszukuje jak najlepszy szuler. Jako siostra, małżonka i sąsiadka też kawał cholery. Należy głuchnąć i ślepnąć, kiedy pojawia się w pobliżu, bo jest nieobliczalna. Pozostali mieszkańcy są w porządku, o ile im się nie przeszkadza. Wszyscy tu ciężko pracujemy... A panie...? — zawiesiła pytająco głos.

— Malwina Pędziwiatr i Eliza Barnaba — powiedziała Malwina, kiedy otrząsnęła się z szoku. — Nie planujemy żadnych ekstrawagancji. Domiśka nam podsunęła kilka ciekawych miejsc do zwiedzania. A integracja też nas specjalnie nie interesuje — dodała wyniośle. — Będziemy tu tylko kilka dni... Samochód mam zostawić na drodze, czy...

— Za chałupą jest wiata. — Dora podeszła do nich, zdjęła zawieszony na dwóch kołkach skobel i pchnęła silnie oba skrzydła niewidocznej na pierwszy rzut oka bramy z drewnianych, nieociosanych gałęzi. — Wjeżdżajcie. Zamknę za wami.

Malwina bez słowa wsiadła do samochodu. Eliza w milczeniu rozglądała się wokół. Miała wrażenie, że przeniosła się w czasie i coraz bardziej jej się tu podobało. Od kiedy czerwone porsche wraz z rozdartą właścicielką zniknęło, wokół zapanowała znowu błoga cisza.

— Jak się państwu udało znaleźć to miejsce?

— Przypadek. — Dora wzruszyła ramionami. — Dziesięć lat temu miałam zlecenie w Zwierzyńcu. Ktoś mi powiedział o tym skrócie. — Zobaczyła zdziwiony wzrok Elizy i wyjaśniła: — Ta szutrowa droga ciągnie się do szosy prowadzącej do Zwierzyńca. Naokoło jest trzydzieści kilometrów, a przez las tylko dziesięć. Na szczęście prawie nikt nie wie o skrócie i mamy spokój. Cmentarz przy zjeździe chyba zniechęca... Miejsce piękne, ale długo trwała walka z urzędami... Chyba już nie umiałabym żyć w mieście. Tu wreszcie nauczyłam się nie śpieszyć, a kiedy widzę, jak Baśka się miota, robi mi się niedobrze... — Dojrzała wychodzącą zza domu Malwinę i odsunęła się od płotu. — Idę do siebie, mam pilną robotę... Aha, zakupy można robić w Radlińcu, ale w Zwierzyńcu są większe możliwości. We wsi nie wszystko można dostać... Jakby coś, to jestem obok. — Odwróciła się i energicznie pomaszrowała do siebie.

Eliza nie zamierzała słuchać ponagleń przyjaciółki. Pchnęła furtkę i potruchtała ku Malwinie, która już stała na malutkim ganeczku z kluczem w dłoni.

— No, otwieraj! — popędziła ją. — Kotki czekają.

Malwina spojrzała na nią ciężkim wzrokiem. Przez chwilę obracała klucz w palcach, wreszcie z desperacją wsunęła go w staroświecki zamek. Przekręciła bez wysiłku i otworzyła drzwi, nastawiając się w duchu na straszne widoki.

Dom był o wiele większy, niż wydawało się z zewnątrz. Przed sobą

kraśniczanki miały korytarz ciągnący się przez całą szerokość domostwa i zakończony drzwiami prowadzącymi na tyły posesji. Mimo jasnych ścian w środku panował półmrok, więc Eliza wymacała kontakt i wcisnęła go. Błysnęły białe półkule kinkietów i żyrandol u sufitu, wydobywając kolory zawieszonych po obu stronach korytarza obrazów.

— Och! — Eliza nie mogła oderwać oczu od nasyconych słońcem pejzaży. — Zdolna ta nasza Domiśka. Chciałabym zobaczyć choć jedno z tych miejsc...

Malwina rozejrzała się czujnie i pomachała jej przed oczami rozczapierzoną dłonią.

— Hej! Potem będziesz się zachwycać talentem Domiśki. Teraz musimy obejrzeć cały dom. Ty sprawdź lewą stronę, ja wezmę prawą... No, ruszaj się. Może te koty już padły z głodu, bo żadnego nie widzę...

Eliza natychmiast oderwała się od kontemplacji i ostrożnie pchnęła pierwsze drzwi po lewej. Wsunęła się do pokoju prawie na bezdechu i zastygła jak pomnik. Na białym parapecie leżał rudy, pręgowany kot. Leniwie zwrócił ku niej trójkątny łebek, spojrzał wielkimi bursztynowymi oczami, po czym ziewnął serdecznie, pokazując imponujące kły.

— Ty jesteś Frida, prawda? — Eliza na palcach podeszła do okna i ostrożnie wciągnęła dłoń. — Nic nie wiem o kotach — wyznała cicho — ale przyrzekam, że zaopiekuję się wami najlepiej, jak umiem. Domiśka nam zapisała, jakie macie preferencje... — Kiedy kocica obwąchała jej dłoń, Eliza uznała, że znajomość została zawarta. — A gdzie August? — Dopiero teraz rozejrzała się po pokoju.

Na parapecie drugiego okna siedziało stworzenie, które przypominało paletę malarza. Jego grzbiet zdobiły kolorowe plamy — rude, beżowe, czekoladowe, gdzieniegdzie, jakby dla kontrastu, srebrzystoszare i czarne. Nawet księgowa Barnaba, która niespecjalnie znała się na malarstwie, musiała przyznać, że August wygląda bardzo impresjonistycznie. Przy tej orgii barw śnieżna biel jego piersi aż raziała, a szmaragdowe oczy podkreślone ciemną obwódką wydawały się ogromne i głębokie jak jeziora.

— Cześć, August. — Eliza powoli podeszła do kocura i wyciągnęła ku niemu dłoń, którą obwąchał równie starannie jak Frida, a potem policzkiem otarł się o nią. — No to już się poznaliśmy. Mam nadzieję, że nie głodowaliście tu bez Domiśki. Jak tylko się rozejrzemy po domu, sprawdzę, jak tam z waszą aprowizacją...

— Słuchaj! — Do pokoju energicznie wtargnęła Malwina. — Domiśka ma świetnie urządzonej kuchnię! Tak na bogato! Nawet toster i mikrofalówki nie brakuje!

— Nie krzycz tak — upomniała ją półgłosem Eliza. — Tu są koty. Mnie już poznały, ale ty się jeszcze nie przedstawiłaś.

— Mam dygać? — sarknęła przyjaciółka, ale spojrzała na koty, które przyglądały się jej, jakby ją oceniały. Mimo woli poczuła respekt i zniżyła głos. — Jak one tak patrzą, to prawie mam ochotę...

— Nie musisz dygać — pocieszyła ją Eliza. — Podejdź powoli i podsuń każdemu rękę do obwąchania. Żeby nas zapamiętały.

— Jak psy? — zdziwiła się Malwina, ale posłusznie wykonała polecenie przyjaciółki. Dotyk zimnych, wilgotnych nosków sprawił jej przyjemność. Aż ją korciło, by zanurzyć dłoń w gęste, pstrokate futerko Augusta, ale się powstrzymała. Nie chciała ryzykować, że zostanie uznana za natrętą. Z wysiłkiem oderwała się od przyjemnych widoków i przeniosła wzrok na Elizę. — Mam wrażenie, że da się tu mieszkać. W kuchni jest wszystko, co potrzebne do wygodnej egzystencji. Toaleta i łazienka są razem, ale jest umywalka, kabina prysznicowa i nawet pralka tam stoi. Damy radę.

— Ten pokój też mi się podoba — stwierdziła Eliza, która już zdążyła się rozejrzeć. — Zobacz, jaki ładny kominek. Z polnych kamieni. Ciekawe, czy można w nim palić...

— Mamy kwiecień, a gorąco jak w lecie. Nie widzę powodu, żeby się dogrzewać — fuknęła natychmiast Malwina, choć kamienny kominek i wiszący nad nim obraz przedstawiający leśną drogę podświetloną słońcem i jej przypadł do gustu.

Rozejrzała się wokół. Meble ewidentnie pochodziły z odzysku, ale zostały pieczołowicie odnowione. Przy krótszej ścianie stał drewniany kredens z miodowymi szybkami i ażurowym wieńcem na górze. Jego blat zdobiły dwa siwaki, w których tkwiły suche bukiety. Pod oknem, na którym wylegiwała się ruda Frida, znalazła miejsce kanapa, a naprzeciwko niej druga i to były jedyne nowe sprzęty. Bo już gdańska szafa z rzeźbieniami, ustawiona nietypowo w rogu pokoju, musiała pamiętać przedwojenne czasy. Tak, jak i przeszklona biblioteczka pełna książek i albumów. I drewniany okrągły stolik przykryty ręcznie robioną serwetą. I bujany fotel stojący obok kominka.

— Piękna ta podłoga z desek — zachwyciła się Eliza.

— To nie są deski. — Malwina pokręciła głową. — To panele, które imitują drewno. Widziałam podobne w Kanadzie, choć tam akurat drewna mają pod dostatkiem... Łatwiejsze w utrzymaniu, a całkiem fajnie wyglądają... Inne pokoje też sprawdziłaś?

— Nie zdążyłam.

— To chodźmy. Widziałam w korytarzu jeszcze jedno drzwi. — Malwina obróciła się na pięcie i wyszła.

— Pa, pa, kotki — szepnęła z żalem Eliza, ale nim zdążyła dojść do drzwi, usłyszała podwójne łupnięcie, a po chwili oba zwierzaki otarły się o jej nogi i powędrowały razem z nią.

Malwina czekała na nią przed drzwiami następnego pokoju. Uniosła brwi, widząc biegnące koty, ale bez słowa pozwoliła im wejść do środka.

— To chyba o tym pokoju wspominała Domiśka — mruknęła na widok dwóch pojedynczych drewnianych łóżek. — Że możemy go zająć... O ile nam koty pozwolą — dodała niepewnie, bo Frida i August natychmiast zaanektowały obydwa legowiska.

— Do wieczora jakoś się z nimi dogadamy — pocieszyła ją Eliza, stojąc w drzwiach i z nostalgią przyglądając się nisko osadzonemu oknu z sześcioma szybami. Przy obu łóżkach stały niskie szafki z prawdziwego drewna, a na nich lampy naftowe przerobione na elektryczne. Zawartość pokoju uzupełniała stara dwudrzwiowa szafa oraz wiekowa komoda. — Bardzo mi się tu podoba. Czuję się jak na wakacjach u dziadków. Tylko wtedy musiałam latać do wychodka i kąpać się w balii.

— Na końcu korytarza widziałam jakieś schody — przypomniała sobie Malwina, z wysiłkiem odrywając wzrok od Augusta, który rozwalił się na łóżku jak turecki basza, demonstrując śnieżnobiały brzusek. — Sprawdźmy, co tam jest, żeby potem nie było przykrych niespodzianek.

Zostawiły w spokoju zadowolone koty i poszły dalej. Na końcu korytarza, tuż za pokojem, który sobie wybrały, znajdowały się drewniane schody przypominające szeroką drabinę.

— To na strych chyba? — Eliza spojrzała niepewnie na przyjaciółkę. — O strychu Domiśka nic nie mówiła. Może nie powinnyśmy... Zaraz! Jakie przykre niespodzianki miałaś na myśli? Trupa?!

— Zwariowałaś? — Malwina popatrzyła na nią z politowaniem. — Ciepło jest! Zaromatyzowałyby całą okolicę... Chcę sprawdzić, co tam jest i czy można przez strych dostać się do domu.

— Uważasz, że coś nam grozi? — W głosie Elizy dźwięczało niedowierzanie. — Chyba przesadzasz. Domiśka nie wysłałaby nas w jakieś niebezpieczne miejsce! Mieszka tu przecież!

— Ale jednak wolała zostać w Kraśniku, choć podobno tak ją zachwycają tutejsze plenery — stwierdziła Malwina sucho. — Chcę wiedzieć, dlaczego... Idziemy na górę. Zobaczymy, co tam jest.

Eliza, już bez słowa, wspięła się za przyjaciółką. Malwina dotarła na ostatni schodek, z podejrzliwą uwagą przyjrzała się drzwiom, które się przed nią objawiły, ostrożnie pociągnęła za klamkę, odsuwając się przezornie i zajrzała do środka pomieszczenia.

— To pracownia Domiśki — stwierdziła z ulgą. — Nie zamknęła jej na klucz, więc chyba możemy wejść.

Od razu dostrzegła, że strych był mniejszy, niż powinien. Na lewo od wejścia wyglądał jak zwykłe poddasze, tyle że pod skośną drewnianą ścianą piętrzyły się sterty obrazów, sztalugi, popačkane kolorami palety, rozmaitych rozmiarów puszki z pędzlami, pudła z farbami. Z prawej strony wstawiono ogromne okno, do którego Malwina natychmiast podeszła przyciągnięta widokiem, jaki się za nim roztaczał.

— Ja pimpolę! — wyrwało jej się z zachwytem. — To już się nie dziwię, że nasza Domiśka urwała się z miasta. Myślałam, że takie widoki to już tylko na obrazku. Że ci pazerni rządowi bandyci zniszczyli już wszystko... Liza, musimy milczeć na ten temat, bo jak się któremuś przypomni, że jeszcze coś do zniszczenia zostało...

— Nie mów do mnie o polityce! — syknęła od razu Eliza, bo na samą myśl o dewastacji tego, czym właśnie pała olśnione oczy, podniosło się jej ciśnienie.

Za domem rozciągała się łąka, którą oddzielał od posesji niewielki rów pełen wody, podkreślony złocistą smugą kwitnących kaczeńców i błękitnym pasmem niezapominajek. Na łące polsniewały białą kępy tarniny, a ramę tego widoku stanowił las otaczający z trzech stron tę maleńką ludzką kolonię — brunatnoszare pnie wysokich sosen przełamane świeżą zielenią brzoź i grabów. Obraz rozświetlała wiązka słonecznych promieni przebijająca zza chmur.

— Jak tu musi być pięknie o każdej porze roku — westchnęła Eliza i nagle jej oczy błysnęły. — Domiśka ma tu mnóstwo obrazów. Na pewno malowała ten widok niejedną raz. Może więcej tu nie przyjadę. Chcę zobaczyć, jak to wygląda latem, jesienią i zimą. Przejrzyjmy te obrazy!

— To jest własność prywatna. — Malwina spojrzała na nią z naganą. — Może Domiśka nie życzyłaby sobie, żeby ją oglądali obcy ludzie. Artyści są ekscentryczni i mają swoje dziwactwa.

— Nie jesteśmy obcy. Zaprosiła nas tutaj. I dała klucze. Gdyby nie chciała, żeby tu ktoś zaglądał, zamknęłaby te drzwi porządnie — stwierdziła Eliza i ruszyła pod ścianę obstawioną obrazami.

Malwina przez chwilę stała niezdecydowana, ale kiedy przyjaciółka już nad pierwszym podniesionym obrazem wydała okrzyk zachwytu, nie wytrzymała. Wkrótce obie wrywały sobie z rąk kolejne pejzaże, napawając się żywymi kolorami i sielską urodą krajobrazu.

— Zawsze wiedziałam, że Domiśka ma talent — stwierdziła z satysfakcją Malwina. — Nie rozumiem kompletnie tych nowomodnych cudactw, ale takie widoczki do mnie przemawiają... Zobacz! — Podsunęła przyjaciółce pod nos mały obrazek, na którym widniało bagniste uroczysko. — Aż mnie dreszcz przeszedł. Prawie się czuje wilgoć tej mgły i ciszę tego miejsca. W realu musi tam być dość upiornie...

— A i owszem — przytaknęła Eliza i po namyśle dodała: — Dobre miejsce na pozbycie się ciała. Chlupnie w bagno i tyle je widzieli... Wiesz, jak patrzę na ten widoczek, to myślę sobie, że niejedną nieboszczyk tam trafił. Pamiętam z historii, że w tych lasach roiło się od wszelkiej maści partyzantów...

— Przestań! — Malwina się wzdygnęła. — Bo mi się w nocy przyśni... Zapomnij o nieboszczykach. Przyjechałyśmy tu na kilka dni i nikogo nie znamy...

— A co to przeszkadza? — przerwała jej przyjaciółka. — Pierwszej nieboszczki w Krukielnikach też nie znałyśmy, a akurat nam się objawiła... — Dojrzała minę Malwiny i od razu porzuciła temat. — No to sobie oglądajmy te widoczki. — Sięgnęła po kolejny i nagle ją zastopowało. Zastygła w dziwnym skłonie, wlepiając oczy w niewielki obrazek. — O kurczę — wyszeptała ze zgrozą. — Chyba miałaś rację. Domiśka nas tu nie zaprosiła

z powodu kotów...

Malwina natychmiast wyrwała jej obrazek z ręki i wbiła oczy w kobietą głowę, w której tkwiła siekiera. Tchu jej zabrakło, bo rozpoznała modelkę. Mordercze narzędzie zbroczone krwią wystawało spomiędzy platynowych loków Barbary Mazurek.

— Ja pimpolę! — wyrwało się jej z głębi osłupiałej duszy. — To wygląda jak robota psychopaty! Nie wierzę, że to Domiśka malowała! Może ktoś jej podrzucił?

— Myślisz, że ona udostępnia swoją pracownię temu swojemu byłemu bałwanowi? — Eliza z powątpiewaniem uniosła brwi. — Nie wierzę. Uważa go za pacykarza... To pewnie jest dla niej szczególne miejsce. Nie wpuściłaby tu bałwana, bo by je zbecześcił! Nie kombinujmy. Mogła ją ta baba czymś wkurzyć i sobie ulżyła. Masz pojęcie, jak by się zmniejszyło pogłowie nieboszczyków, gdyby każdy mógł się wyżyć w taki sposób?

— Sprawdź resztę — poleciła Malwina, odkładając obrazek na bok i lustrując wzrokiem pomieszczenie. — Tak mi się zdawało, że jest za małe — mruknęła do siebie z satysfakcją, podchodząc do ściany, w której były prowadzące do pracowni drzwi. Tuż obok okna, prawie niewidoczne, znajdowały się drugie. Otworzyła je bez namysłu i oczy jej rozbłyły. — Gdzie ona wyszperała takie cuda? To kompletne starocie. Chyba jeszcze przedwojenne...

To był prawdziwy strych. Półmrok rozjaśniało ledwo jedno małe okienko w dachu. Pod ścianami stały stare kufry podróżne, skrzynie posagowe malowane w kwiaty, stare drewniane zydle, cebry, skopki, duży młynek z szufladką poczerniały ze starości i mnóstwo innych rzeczy, których przeznaczenia Malwina nie знаła. Pośród tych przykurzonych rupieci jej wzrok zarejestrował coś, co do nich kompletnie nie pasowało. Było kolorowe.

Malwina podeszła bliżej i zobaczyła niewielką szmacianą lalkę. Zabawka miała włosy zrobione z jasnożółtej włóczki i białe jak zszytą sukienkę z ciemnofioletowego jedwabiu. Kiedy Malwina wzięła ją ostrożnie do ręki, dojrzała, że na czole lalki widnieją inicjały B.M., a w miejsce, gdzie medycyna lokuje ludzkie serce, wbito trzy igły. Po plecach przeleciał jej nieprzyjemny dreszczyk. Złapała lalkę i pośpiesznie wróciła do pracowni.

— Zobacz! — Podstawiła znalezisko pod nos Elizie, która zakończyła już poszukiwania i tkwiła przy oknie z rozanielonym wyrazem twarzy. — Dalej uważasz, że nic się tu nie dzieje? To też jest ćwiczenie na bezstresowe spuszczenie pary?

— Co to jest? — Eliza obracała lalkę na wszystkie strony, usiłując zrozumieć, co przyjaciółkę tak zbulwersowało. — Zabawka jakaś? Domiśka chyba nie ma bliskiej dzieciętej rodziny...

— Ocknij się wreszcie i zacznij myśleć! — Zirytowała się Malwina. — Te widoki na mózg ci padły? — Wyszarpnęła jej lalkę i wskazała na sterczące igły. — Dałabyś to dziecku do zabawy? Przecież to laleczka voodoo!

— Tylko dla dorosłych? — Eliza jeszcze raz przyjrzała się lalce. — No, może

rzeczywiście. Dziecku mogłaby wypaczyć gust. Kiczowata dosyć... A dorosłym to po co?

Zniecierpliwiona Malwina przewróciła oczami i sapnęła rozeźlona.

— Masz braki w wykształceniu, choć na okrągło oglądasz te kryminały. Gdyby tu była Lala, od razu by wiedziała, o co chodzi... Niektórzy wierzą, że taką lalką można zabić!

Racjonalna do bólu księgowa Barnaba przeskanowała szmacciankę krytycznym wzrokiem i zgryźliwie zapytała:

— Niby jak? Widzę tylko jedną możliwość. Jak coś takiego wepchnie się delikwentowi głęboko w gardło, to pewnie się udusi. Ale do tego wystarczy cokolwiek, choćby kawał szmaty. Po co ktoś miałby tracić czas na produkcję lalki?

Malwina wzięła głęboki oddech, policzyła do dziesięciu i prawie spokojnie wyjaśniła:

— Założmy, że masz wroga. Robisz taką laleczkę, a przy produkcji dodajesz jej coś, co do tego wroga wcześniej należało. Żeby mieć pewność, że magia zadziała. Potem musisz się porządnie skupić i wbić igły w to miejsce, które ma nieszczęśnikowi dokuczyć... Zobacz — wskazała palcem — te są tam, gdzie powinno być serce. Czyli Domiśce naprawdę zależy, żeby tego wrednego Mazurka szlag trafił...

— Zaraz! — Eliza popatrzyła na nią z niedowierzaniem. — Chcesz powiedzieć, że to działa?! Dziabiesz igłą w taką mamunę, a schodzi wybrana ludzka jednostka?!

— Osobiście nie sprawdzałam — odparła Malwina cierpko. — Ale są tacy, którzy w to wierzą.

Eliza przez chwilę z natężeniem wpatrywała się w laleczkę, po czym westchnęła ciężko.

— Masz rację — wyznała z żalem. — Mam braki w wykształceniu. Gdybym wcześniej o tym słyszała, przeprowadziłabym eksperyment.

— Na kim? — zainteresowała się podejrzliwie Malwina.

— Na teściowej. I na Stasiulku. Teraz już mi nie zależy. — Eliza wzruszyła ramionami. — Ale kiedyś... Teściowej bym wbiła w jęzor, żeby nie mogła podpuszczać Stasiulka, a jemu... nie wiem... w obie łapy chyba, żeby nie miał czym butelki podnosić do pyska. Ciekawe, czy to by zadziała... Zaraz! — oprzytomniała nagle. — Dlaczego uważasz, że ta mamuna to konterfekt tego rozdartego Mazurka płci żeńskiej?

— Bo ją Domiśka oznaczyła. Na tej niby gębie wypisała B.M.; dla mnie to Barbara Mazurek.

Przez chwilę obie przyjaciółki patrzyły na siebie w milczeniu, a potem jednocześnie westchnęły.

— Myślisz, że powinniśmy pogadać z Domiśką? — zapytała Eliza.

— Nie. Pogadać jeszcze zdążymy. Na razie zajmijmy się tym, po co tu przyjechałyśmy — zdecydowała Malwina.

— Czyli?

— Obsługą kotów i zwiedzaniem. Wredny Kurdupel jest ciągle żywy i w niezłej kondycji, sądząc po tych wrzaskach, które słyszałyśmy, a Domiśka siedzi w Kraśniku. Zbrodnicze akcesoria zostawiła tutaj, a nie pamiętam, żeby kiedykolwiek przejawiała zdolności telepatyczne. Na odległość raczej tej cholery nie ubije...

— Możemy się im wszystkim przy okazji poprzyglądać — podsunęła Eliza z nadzieją. — Może się dowiemy, czemu Domiśka tak nie znosi Wrednego Kurdupla.

— Może — zgodziła się Malwina i odebrała przyjaciółce zbrodniczą laleczkę. — Ale, zanim cokolwiek zaczniemy, wyjmę te igły. Gdyby coś się jednak przydarzyło tej rozdartej Baśce i gdyby policja zobaczyła tę paskudę — pomachała szmacianką — Domiśka zostałaby pierwszą podejrzaną.

15 KWIETNIA, ZWIERZYNIEC

Malwina Pędziwiatr rzucała oczami na boki z miną, która powinna była natychmiast zniechęcić każdego, kto ośmieliłby się cokolwiek skomentować lub choćby spojrzeć w ich kierunku. Tutejsi jednak wyraźnie przywykli do dziwactw przyjezdnych, bo nikt nie zwracał na nie uwagi.

Kraśniczanki tkwiły właśnie w zwierzyńskim parku, bo Eliza wyczytała w necie, że znajduje się w nim jedyny w Polsce pomnik szarańczy i zapragnęła go zobaczyć. Malwina nie była miłośniczką żadnych owadów, ale się nie awanturowała, bo czasu miały mnóstwo i mogły nim dysponować dowolnie. Teraz serdecznie żałowała swojej lekkomyślnej zgody — pomnik był po prostu kamiennym prostopadłościanem, który zafascynowana Eliza właśnie obchodziła w kucki, uparła się bowiem odczytać inskrypcję na jego bokach.

Malwina lżyła w duchu minione pokolenie, które wymyśliło tak skomplikowany dla współczesnych sposób uhonorowania obrzydliwego robala. Mamrotanie przyjaciółki, która wytrwale sylabizowała kolejne słowa, też ją irytowało.

— Odczep się wreszcie od tej szarańczy! — warknęła ze złością. — Już się na pamięć nauczyłaś! Musisz sama? Nie mogłaś sobie tego napisu wygugłać?

Eliza nawet się nie obejrzała. Przytrzymując się krawędzi kamienia, na ugiętych nogach przesunęła się do następnego boku pamiątkowego kamienia i sapnęła z satysfakcją.

— Mam! — oznajmiła zadowolona. — Tu — poklepała kamień — są konkrety. Posłuchaj: „Wyniszczono szarańczy żywej korcy sześćset pięćdziesiąt sześć, wykopano jaj tego owada garncy pięćset pięćdziesiąt pięć i pół. Użyto do tego robocizny pieszej dni czternaście tysięcy”. — Podniosła się ze stęknieniem i zmarszczyła brwi; liczby obudziły w niej księgową. — Coś mi się tu nie zgadza... Czternaście tysięcy dni? Prawie czterdzieści lat walczyli z tą szarańczą?!

— Nie dysponowali naszymi współczesnymi truciznami, które dają radę każdej żywinie — podsumowała zgryźliwie Malwina. — Doinformowałaś się wreszcie? Ciekawa jestem, kto cię będzie jutro ściągał z łóżka po tej kucanej gimnastyce...

Elizy nie dosięgła złośliwość przyjaciółki, bo zastanawiała się, jak te korce i garnce przeliczyć na dzisiejsze miary. Może rzeczywiście było tego świństwa tyle, że szybciej wybić się nie dało? A może... Może te czternaście tysięcy dni podsumowuje pracę wszystkich, którzy z tą cholerną szarańczą walczyli? Ich dniówki zsumowane razem?

— Rusz się stąd wreszcie, zanim sama skamieniejesz! — Wściekły głos Malwiny wyrwał księgową Barnabę z transu. — Zakupy miałyśmy zrobić!

— A stawy? A koniki? — zaprotestowała Eliza.

— Jak damy radę, zajrzemy w drodze powrotnej — oznajmiła Malwina twardo. — A po zakupy pojedziemy do Zamościa! Ten jeden duży sklep w Zwierzyńcu mnie nie przekonuje. W Zamościu na pewno będzie większy wybór i zrobimy od razu zapasy na kilka dni.

— Ale koniki...

— Nie uciekną ci — ucięła Malwina. — Jutro też możemy tu przyjechać. Pod warunkiem, że odczepisz się od tej choleralnej szarańczy!

— Nie chcę do Zamościa! — zbuntowała się Eliza. — Najpierw obejrzymy to, co bliżej, a potem pchajmy się dalej! — Dojrzała zwiastującą burzę minę przyjaciółki i pośpiesznie dodała: — Nogi mnie bołą od tej szarańczy. Nigdy wcześniej nie zwiedzałam niczego w takiej męczącej pozycji... Może byśmy choć chwilę posiedziały na ławce w tym parku, co? Ciepło jest, ta rzeczka całkiem przyjemnie wygląda... — Rozejrzała się wokół. — Latem tu musi być pięknie. Na razie jeszcze trochę łyso na drzewach, ale za to powietrze aż pachnie. — Pociągnęła nosem.

— Mówiłam, że te kucki ci dokopią — wytknęła z satysfakcją Malwina i łaskawie pokiwała głową. — Możemy posiedzieć. Słońce grzeje porządnie, może złapiemy trochę opalenizny? Zakupy nie uciekną. Do Zamościa stąd niecałe trzydzieści kilometrów. Zdążymy.

Wolnym, spacerowym krokiem — jak przystało na turystki — potruczały ku ławce, nad którą pozieleniałe już gałęzie zwieszała wierzba. Usiadły w milczeniu i wbiły oczy w rzekę Wieprz, migocącą słonecznymi refleksami i przepływającą przez miejski park. Było ciepło i pusto. Z powodu pandemii zwierzynieckie pensjonaty świeciły pustkami, a mieszkańcom miasta piękne widoki były widocznie obojętne (albo do nich przywykli i już przestali dostrzegać), bo przechodzili przez park, nie zwracając na nic uwagi.

— Przeczytałam, że Zwierzyniec jest nazywany miastem w lesie — powiedziała leniwie Eliza, mrużąc oczy przed słońcem. — Tu naprawdę jest mnóstwo drzew. I jechałyśmy też przez las... Może nas latem Domiśka przygarnie na kilka dni. Nie jesteśmy jakoś bardzo uciążliwe. Jeść mogłybyśmy poza domem, a tylko noce spędzać u niej...

— A jak ma być nazywany? — Malwina wzruszyła ramionami, zezując ukradkiem na ekran swojego smartfona. Zajrzała na Wikipedię, by uzupełnić wiedzę. Źle jej robiła świadomość, że przyjaciółka jest lepiej poinformowana. — Przecież jest w lesie. Od samego początku. Zamojscy tu polowali. Mieli tu dwór myśliwski...

— Ciekawe, czy Marysieńka się tu plątała. — Eliza się zamyśliła. — Nigdy za nią specjalnie nie przepadałam, ale w sumie to też jej w tej Rzeczypospolitej słodko nie było. Przyjechała jako dzieciak, wydali ją za dużo starszego Zamojskiego, a kiedy wreszcie została królową, zwałił się jej na głowę szurnięty papa... — Westchnęła, a widząc zaskoczone spojrzenie przyjaciółki, dodała wyjaśniająco: — Czytałam „Listy do Marysieńki” i oglądałam „Ojca

królowej”... Nawet wierzę, że ją ten Jachniczek kochał nad życie, ale też z nim lekko nie miała...

— Płatała się. — Malwina pośpiesznie doczytywała informacje ze smartfona, zaskoczona wiedzą koleżanki ze szkolnej ławy. Eliza nigdy nie była orłem z historii. — Na pierwszym małżonku wymusiła budowę Stawu Kościelnego, bo życzyła sobie mieć teatr na wodzie. Teraz tam chyba stoi ten kościół, który nam Domiśka polecała do zwiedzania.

— Już go kiedyś zwiedzałyśmy. Jako małolaty... Pamiętasz szkolną wycieczkę do Zamościa? Ze Zwierzyńca zapamiętałam tylko ten kościół, bo nam pokazali krypty zakonników... Kurczę, przez kilka nocy bałam się zasnąć.

— A ja dałam wtedy w łeb Markowi, bo mnie w tej krypcie uszczypnęła i myślałam, że to nieboszczyk — przypomniała sobie Malwina. — Faktycznie... Ale wiesz, wtedy mi się to wszystko wydawało jakieś większe — westchnęła.

— Bo my byłyśmy mniejsze... I młodsze... Do kościoła się na razie nie pcham, ale te koniki... — Eliza urwała, bo do jej uszu dotarł podniesiony, piskliwy kobiecy głos, w którym dźwięczały nutki agresji.

Obie kraśniczanki natychmiast rozejrzały się czujnie.

Na drugim brzegu rzeki w jednej z alejek, która pewnie latem wyglądałaby jak zielony tunel, a teraz spomiędzy prawie gołych pni prześwitywała rzeka, stał mężczyzna, zaś wokół niego miotła się kobieta. On, wyraźnie starszy od niej, mówił coś ściszym głosem, próbując uspokoić swoją towarzyszkę. Ona wściekle wymachiwała rękami, jakby kompletnie nie obchodziło jej, że oboje znajdują się w miejscu publicznym.

— Ile mam jeszcze czekać?! Obiecałeś! Mam dosyć! Sama to załatwię, tchórze! Ja się jej nie boję! — wypluła z siebie na koniec, odwróciła się na pięcie i odeszła ze stukotem wysokich szpilek.

Mężczyzna przez chwilę spoglądał za nią z taką miną, jakby chciał ją zawrócić. Potem zacisnął pięści, rozejrzał się niespokojnie, spojrzął z rozpaczą ku niebu i poszedł w drugą stronę.

— Nie mieli maseczek — zauważyła z naganą Eliza i zapytała szeptem: — Jak myślisz? Co to było? Sprzeczką kochanków?

— Możliwe — przyznała Malwina z niesmakiem. — Głupi, stary bałwan! Co on myślał, jak podrywał taką młodą siksę?

— Pewnie to, co każdy bałwan w takiej sytuacji. — Eliza wzruszyła ramionami. — Że będzie miał domowy wikt i opierunek, a na boku młode ciało... Trzeba przyznać, że przystojny cholernik. Mógł się jej spodobać. Pewnie się nabrała na słodkie słówka, na opowieści o koszarnej żonie, na prezenciki... Mam nadzieję, że sobie odpuści dalsze działania.

— On czy ona? — zainteresowała się zgryźliwie Malwina.

— Ona. Facet wygląda na niezłe sytuowanego. Zadbany jest, przyjrzałam się. Pewnie kasy mu nie brakuje. Ta dziewczynina nic nie zyska, jeśli poinformuje małżonkę o swoim istnieniu.

— Zemści się przynajmniej...

— Iii tam — powiedziała Eliza z powątpiewaniem. — Żona pewnie nawet okiem nie mrugnie, jak usłyszy nowinę. Zrobi ewentualnie jakąś awanturę i przypilnuje, żeby nie wydawał kasy na rywalki. Albo może nawet jej pasuje, że chłop ma kogoś na boku i nie zawraca jej głowy...

— Głowy? — Malwina uniosła brwi. — Chyba miałaś na myśli inną część ciała?

Eliza łypnęła na nią z potępieniem i oznajmiła z godnością:

— Nie mam zamiaru wchodzić w szczegóły. Jak zwał, tak zwał. W każdym razie nie wydaje mi się, żeby panienka coś zwojowała. Wszystko zostanie w rodzinie. Państwo się dogadają, a ona straci sponsora.

— Chyba że... Może to jakiś lokalny kacyk? — podsunęła Malwina. — Polityk lub biznesmen? Jak się dziewczyna wścieknie, może mu narobić kłopotów... Chociaż... Takie cwaniaczki przeważnie zabawiają się z dala od swojego terytorium. Żeby swądu nie było... No i żadne z nich nie miało zakrytej gęby, to pewnie czują się tu bezpiecznie...

— On wcale nie musi być stąd — zgodziła się Eliza po namyśle. — Może tu tylko przyjeżdżać w celach rozrywkowych. W takich okolicznościach przyrody sama bym uległa... Tylko nikt mi nie proponuje — dodała z żalem.

— Opuść sobie — fuknęła natychmiast Malwina. — Już jeden dał ci popalić.

— Toteż ja nie marzę o etatowym amancie. Ale raz na jakiś czas byłoby miło, gdyby jakiś wyraził zainteresowanie. — Eliza westchnęła. — Za tobą się ciągle oglądają...

Malwina przewróciła oczami i spojrzała na przyjaciółkę z politowaniem.

— Nie za mną. Za opakowaniem. Ja jako ja ich nie interesuję... Myślisz, że to takie przyjemne? Kiedy ktoś cię ocenia pod względem użyteczności w łóżku? Albo jak trofeum?

— Pewnie nie — przyznała Eliza. — Ale jak jesteś całkiem niewidzialna, to też nie jest miło...

Malwina lubiła rządzić; wobec obcych zakładała kostium nieprzystępnej i oschłej kobiety, ale umiała się zdobyć na empatię, gdy chodziło o ludzi jej bliskich. Teraz uznała, że musi oderwać przyjaciółkę od tych smętnych rozważań. Osobiście była zdania, że lepsza samotność niż źle dobrany partner.

— Chyba sobie odpuścimy dziś ten Zamość. Jutro też jest dzień — oznajmiła, wstając energicznie z ławki. — Chodź. Najpierw zrobimy jakieś zakupy, a potem pojedziemy na stawy. Widziałam w necie, że mają tarasy widokowe. Popatrzymy sobie na te twoje koniki...

Wracały z wycieczki zmęczone, ale zadowolone, choć głodne, bo — ze względu na pandemię — zjadły tylko w samochodzie po porcji zamówionych na wynos ruskich pierogów. Za to udało im się zrobić całkiem obfite zakupy, a potem przez kilka godzin cieszyć się harcami koników polskich, od których obserwacji Elizę trudno było oderwać. Co prawda i Malwina nie narzekała. Stawy Echo ją urzekły. Czysta plaża, plusk małych falek, zapach sosen, cisza,

spokój, żadnych jednostek ludzkich poza nimi dwiema — gdzieś odpłynęła polityka, problemy związane z pandemią i kraśnicka bizneswoman poczuła, że po prostu jest. I że bez takich miejsc świat byłby nie do wytrzymania.

Jechały teraz powoli przez las, zadowolone, że na drodze prawie nie ma ruchu, i pilnowały, by nie przeoczyć skrótów prowadzących do Kolonii. Milczały obie i wcale im to milczenie nie przeszkadzało. Każda chciała jak najdłużej zachować w sobie spokój, jaki wlała w nią roztoczańska natura. I pewnie nie zwróciłyby uwagi na czerwony samochód, który tylko śmignął obok, wyprzedzając ukochaną mazdę Malwiny, gdyby nie to, że minął je o włos.

— Ożeż, ty kretynie zmurszały na mózgu! — wyrwało się Malwinie, która od razu przestawiła się na tryb wojowniczej Amazonki. — Nie myśl sobie, że ci się upiecze! Po coś mi zięć zamontował kamerę!

— Jesteś pewna, że to kretyn? — Eliza pokręciła głową. — Może kretynka?

— Wisi mi jego płęć! — warknęła Malwina, przyśpieszając. — Może być i hermafrodytą! Chcę, żeby się nagrała rejestracja! To bandyta jest!

— To może lepiej zwolnij — przestraszyła się Eliza. — Widziałam w telewizji, jak taki bandyta drogowy rzucił się z kijem bejsbolowym na drugiego kierowcę...

— Nie ma mowy! Ja go zaraz... Co on robi?! Zwariował?!

Obie wbiły oczy w czerwone porsche, którym rzucało po całej — pustej na szczęście — szosie. Malwina przezornie zwolniła, ale czujnie obserwowała sytuację przed sobą. Jadący przed nimi samochód sprawiał wrażenie, jakby kierowca zupełnie stracił nad nim kontrolę. Nieoczekiwanie zjechał z szosy i rąbnął w słupek na poboczu. Rozległ się huk tak głośny, że Eliza odruchowo się skuliła.

Samochód odbił się od słupka, wrócił na szosę, zatańczył na jezdni, uderzył z impetem w rozłożysty dąb, obróciło go i wreszcie stanął w poprzek, tarasując przejazd. Zapadła cisza.

Malwina zahamowała już przy pierwszym uderzeniu i zjechała na pobocze. Słyszała wiele o naćpanych czy pijanych młodych szaleńcach za kierownicą i wołała nie sprawdzać kolejnych pomysłów właściciela porsche na swojej mazdzie. Przez chwilę obie kraśniczanki siedziały w milczeniu, a potem spojrzały na siebie, wysiadły i ostrożnie ruszyły w kierunku auta, jakby się bały, że nagle ruszy. Przyśpieszyły, kiedy — zamiast kierowcy — dojrzały biel wystrzelonych poduszek powietrznych. Ostatnie metry przebyły biegiem.

Malwina pierwsza dopadła drzwiczek pojazdu i szarpnęła za klamkę, ale ani drgnęły. Na szczęście szyba była uchylona, więc pośpiesznie wsunęła rękę do środka, odblokowała drzwi i skinęła na przyjaciółkę:

— Ciągnij je do siebie! Tylko powoli. Stań z tej strony i poczekaj, aż się przesunę, bo może trzeba będzie tego kretyna przytrzymać jakoś, żeby sobie większej krzywdy nie zrobił. Jestem większa od ciebie, łatwiej sobie z nim poradzę.

Eliza posłusznie chwyciła za klamkę, ale powiedziała ściszym głosem:

— Poduszki mu wybuchły, to pewnie żyje. Co zrobimy, jak nas zniecka zaatakuje? Słyszałam, że po narkotykach to im tak szybko nie przechodzi...

— Otwieraj! — syknęła niecierpliwie Malwina. — Potem się zastanowimy.

Księgowa Barnaba na wszelki wypadek nastawiła się na wysiłek fizyczny. Zaparła się nogami o asfalt jezdni, chwyciła mocno klamkę i pociągnęła ku sobie. Bez efektów. Poczowała zapach benzyny i od razu wstąpiła w nią nadludzka siła. Kretyn, bo kretyn, ale należało go ratować, choć nie za cenę własnego życia.

Drzwi puściły.

Malwinie od razu rzuciła się w oczy nieruchoma postać wciśnięta w poduszkę powietrzną i zwisający pas bezpieczeństwa. Zdusiła inwektywy, które rwały jej się na usta, i już miała obmacać kierowcę w poszukiwaniu pulsu, kiedy doleciała ją wyraźna ostra woń benzyny i w tej samej chwili usłyszała przerażony szept przyjaciółki:

— Malwina, myślisz, że to może wybuchnąć?

— Pomóż mi! Szybko! — Złapała za dostępne ramię i zaczęła wywlekać ofiarę z samochodu. — Wszystko mi jedno, co mu uszkodzę! Jak go zostawimy, to pofrunie do nieba razem z tym całym kramem! Liza, ciągnij! To zaraz wybuchnie!

Eliza bez słowa rzuciła się ku otwartym drzwiczkom i przejęła bezwładne brzemie od przyjaciółki, a Malwina z zaciśniętymi zębami wypychała spod poduszki nogi delikwenta. Do obu kraśniczanek przestały docierać jakiegokolwiek bodźce zewnętrzne. Gdyby w tym momencie przeleciało po szosie stado słoni, nie zwróciłyby na nie uwagi. Chciały tylko jak najszybciej znaleźć się jak najdalej od tego cholernego samochodu, nim wybuchnie. Działy jak jedna, idealnie pracująca maszyna — każda złapała za jedno ramię i ciągnęły bezwładne ciało po asfalcie, dysząc z wysiłku. Dopiero za zaparkowanym kilkadziesiąt metrów od miejsca wypadku samochodem Malwiny z ulgą opuściły swoje brzemie na porastającą poboczne trawę i opadły obok.

— To... jednak... kretynka... nie... kretyn... — wydyszała Eliza. — Baba... Na bok... ją chyba... trzeba...

Malwiną, w której wciąż jeszcze buzowała adrenalina, bez słowa jednym gestem przekreśliła nieruchomą delikwentkę na bok, po czym wzięła głęboki oddech.

— Zaskodziła mi ta kretynka — stwierdziła gniewnie. — Jeśli mi wysiądzie kręgosłup, podam ją do sądu za uszczerbek na zdrowiu.

— Chyba już nie zdązysz — powiedziała niepewnie Eliza, która nie mogła oderwać wzroku od twarzy poszkodowanej. — Coś mi się widzi... Oczy ma przez cały czas otwarte. Żaden normalny człowiek nie da rady tak długo...

— Co?! — Malwina wyprostowała się gwałtownie, a potem pochyliła nad nieruchomą ofiarą wypadku, przyjrzała się jej uważnie, wstrząsnęła, gdy rozpoznała widziane poprzedniego dnia oblicze, i pośpiesznie obmacała szyję

w poszukiwaniu pulsu. — Ja pimpolę! Tyle wysiłku na nic! Dźwigałyśmy trupa!
W dodatku znajomego!

Nim Eliza zdążyła zareagować na tę informację, z czerwonego porsche buchnęły płomienie. Przyjaciółki ze zgrozą wpatrywały się w płonący samochód, a kiedy rozległ się głuchy huk, odruchowo obie skuliły ramiona.

— Chyba miałyśmy szczęście — stwierdziła drżącym głosem Eliza. — Mogłyśmy zginąć. I to całkiem głupio, bo z trupem w objęciach. W dodatku niesympatycznym.

— A widziałaś jakiegoś sympatycznego? — zainteresowała się zgryźliwie Malwina, która szybciej doszła do siebie.

— No, jak bliski, to jednak człowiek czuje żal, a nie antypatię...

— Nie poczuwam się do bliskości z Wrednym Kurduplem — oświadczyła Malwina. — I jestem zła, że od razu się jej nie przyjrzałam. Oszczędziłabym swój kręgosłup. Do niego jestem zdecydowanie bardziej przywiązana.

— Masz gaśnicę? — Eliza spojrzała wyczekująco na przyjaciółkę. — Może powinniśmy to jakoś gasić? Tu po bokach las jest...

— Nic nie będę gasić. Samochód się pali na środku szosy. Zaraz zadzwonię pod sto dwanaście. Niech przyślą straż pożarną i policję...

Kiedy Malwina wstała i poszła do swojego samochodu po smartfona, po czym z telefonem przy uchu stanęła na środku szosy, obserwując płonące porsche, Elizie włączył się tryb śledczy i zajęła się zalegającą obok Barbarą Mazurek. Po szybkim namyśle stwierdziła, że już nic jej nie może zaszkodzić, więc przewróciła ciało na plecy i z uwagą je obejrzała. Zakrwawione czoło, złamany nos, wybroczyny w szeroko otwartych oczach oraz siniaki i otarcia zapisała na karb wypadku. Co tam się zadziało wewnątrz Wrednego Kurdupła, nie miała pojęcia, ale z pewnością coś musiało, bo zewnętrzne oznaki mogły najwyżej spowodować utratę przytomności, nie życia.

Barbara Mazurek miała na sobie, cokolwiek sfatygowaną po wypadku, grafitową markową spódnicę i błękitną jedwabną bluzkę z oderwanymi na piersiach guzikami. Podarte pończochy i brak butów zawdzięczała prawdopodobnie pośpiesznej — acz, jak się okazało, bezużytecznej — akcji ratowniczej. Jednak im dłużej Eliza wpatrywała się we wredną za życia nieboszczkę, tym bardziej miała wrażenie, że coś jej umyka.

— No, zgłosiłam! Niedługo powinni tu być. — Zadowolona z siebie Malwina z telefonem w ręce podeszła do mazdy, otworzyła szeroko drzwi od strony kierowcy i usiadła wygodnie, opierając się o zagłówek. — Patrz, jaka byłam przewidująca — pochwaliła się. — Wszystko mają nagrane... Ciekawe, czy ona piła. Niby nie wyglądała na alkoholickę, ale jechała, jakby ją procenty napędzały... Co tak milczysz? — Wychyliła się, spojrzała na zadumaną przyjaciółkę i wzruszyła ramionami. — Nie musisz jej tak pilnować. Sama już nigdzie nie pójdzie, a nie sądzę, żeby ktoś chciał ją ukraść. Chodź do samochodu i odpocznij, bo nie wiadomo, jak długo będą nas tu trzymać...

— Wiem! — krzyknęła Eliza, która na widok apetycznych krągłości

przyjaciółki doznała olśnienia. — Wiem, co mi się nie zgadza! Ona się spłaszczyla!

Malwina najpierw zamarła, a potem ze zdumieniem zapytała:

— Kto, na litość boską?! Liza, zaszkoziło ci?! Przecież już paru nieboszczyków płci obojga w życiu widziałaś! Taszczenie Wrednego Kurdupła to dla nas recydywa! Powinnaś się przyzwyczać!

Do świadomości przejętej swoim odkryciem Elizy nie dotarła jej tyrada.

— Chodź tu! Musisz to sama zobaczyć! — zażądała, machając ponagląco. — No, rusz się! Obejrzałam sobie Wrednego Kurdupła w tej akcji na podwórku. I przyznaję, nawet się zastanawiałam, jak ona utrzymuje pion, bo to jej popiersie jednak mocno przeważało. Aż mi jej przez chwilę szkoda było... A teraz... No, zobacz, Malwina! — wytknęła palec ku nieboszczce. — Nie ma! Znaczy, ma, ale dużo mniej!

— Ach, to... — Malwina z ulgą opadła z powrotem na fotel. — Przecież od razu było widać, że sobie mocno posztukowała ten biust. Coś jej tam przy tych zderzeniach musiało puścić. Albo poduszka się jej przysłużyła... Rany, Liza, nie masz większych zmartwień? Koty musimy nakarmić! Cały dzień nas w domu nie było. Niby mają suche żarcie, ale może im przykro, że tak same siedzą...? Cholera, mogliby już przy... O! — Usłyszała wyjący sygnał wozu strażackiego i ulżyło jej. — Chyba jadą...

Wracały do chałupy Dominiki tak zmęczone i głodne, że nawet już gadać im się nie chciało. Aspirant Maciej Maćkowiak z posterunku w Zwierzyńcu, młody i ambitny, gaszenie samochodu ofiary pozostawił straży pożarnej, a sam jeszcze na miejscu obejrzał nagrany przez Malwinę film, na którym uwieczniona została również akcja ratownicza obu kraśniczanek oraz moment wybuchu. Kamerę skonfiskował, obiecując jej rychły zwrot, po czym zarzucił przyjaciółki gradem pytań na temat ofiary. Długo trwało, nim wyjaśniły, że nieboszczki prawie nie znały, a sąsiednie domostwo zamieszkują tylko chwilowo. Aspirant przyjął wreszcie do wiadomości ich nerwowe tłumaczenia, kiedy Malwina wyniośle oznajmiła, że jest prawdopodobnie najbardziej praworządną osobą w Polsce, jej zięć bowiem pracuje w policji i podetknęła niedowiarkowi pod nos uwieczniony na zdjęciu w smartfonie dyplom dziękczynny podpisany przez kraśnickiego komendanta. A kiedy resztki spalonego samochodu zostały ściągnięte na lawetę, ciało ofiary wypadku zaś zabrane do sekcji, Maciej Maćkowiak wsiadł na motocykl, którym przyjechał, i zażądał pilotowania do miejsca zamieszkania nieboszczki w celu powiadomienia rodziny o jej zejściu. Przyjaciółki, które o niczym bardziej nie marzyły niż o powrocie, potulnie wsiadły do mazdy, jakimś cudem trafiły od razu na skrót i pojechały przodem. Na miejscu Eliza bez słowa wskazała policjantowi siedzibę Mazurków i niespokojna o koty, poszła do chałupy, gdzie po chwili dołączyła do niej Malwina.

Teraz, wykąpane i najedzone, siedziały przy kuchennym stole i spoglądały

na siebie w otępiałym milczeniu. Zadowolone i syte koty porzuciły ludzkie towarzystwo i zaległy na łózkach w pokoju zajmowanym przez kraśniczanki, a one same czuły się tak, jakby ktoś odłączył im zasilanie. Panującą w kuchni ciszę odmierzało tylko tykanie starego rzeźbionego zegara. Jeszcze bardziej obezwładniające umysłowo.

Z transu wyrwał przyjaciółki trzask gwałtownie zamykanych drzwi, odgłos pośpiesznych kroków na drodze, a potem dźwięk kołatki i podszyty emocją kobiecy głos:

— Boguś, otwórz! Przyniosłam ci kolację. Przecież musisz coś zjeść!

Kraśniczanki błyskawicznie przytomniały. Senność minęła jak ręką odjął.

— Popatrz, popatrz — mruknęła zjadliwie Malwina. — Kochająca szwagierka przyleciała pocieszać zboląłego wdowca.

— Rodzina to rodzina — stwierdziła filozoficznie Eliza i wzruszyła ramionami. — Też byśmy pocieszały... Strasznie mnie umęczył ten policyjny młokos. Przez chwilę miałam wrażenie, że nas aresztuje. Co oni za policję mają w tym Zwierzyńcu? Nawet na radiowóz ich nie stać? Jak trafią na bandziora, to go biorą na linkę i musi lecieć za motorem?

— Motocyklem — poprawiła Malwina. — Radiowóz też pewnie mają, ale może motocyklem łatwiej dojechać... Już się nie czepiaj. I bez radiowozu tam nie brakowało samochodów. Mój, nieboszczki, straż pożarna, pogotowie i ten ichni karawan — wyliczyła skrupulatnie i dodała z niechęcią: — Ale faktycznie ten aspirant lotnością nie grzeszy. I przewiduję, że będziemy z nim miały kłopot. Wpadła mi w ucho rozmowa strażaków. Podobno tutejszy komendant policji jest na kwarantannie, a ten smarkacz wykorzystuje jego nieobecność, żeby się wykazać...

— Głupota? — zainteresowała się zgryźliwie Eliza.

— Zdaje się, że głównie — przyznała Malwina z westchnieniem. — Demonstruje, że ma władzę. Taki klon naszego kraśnickiego Styrbuły.

— Ale dlaczego akurat do nas się przyczepił? — sapnęła z irytacją Eliza. — Nie dość, że z narażeniem własnego życia ratowałyśmy nieboszczkę, nie dość, że młody bałwan dostał gotowca w postaci nagrania, nie dość, że...

— Nastaw się od razu, że na żadną współpracę z jego strony nie możemy liczyć — przerwała niecierpliwie Malwina. — Jeśli chcemy się dowiedzieć, co się przydarzyło Wrednemu Kurdupłowi, musimy zacieśnić kontakty z Dorą Zawojką albo z wdowcem. Ich, jako rodzinę, pewnie policja poinformuje.

— Dlaczego mamy się tego dowiadywać? — zdziwiła się Eliza. — Przecież same najlepiej wiemy, co się przydarzyło. Jak się głupio jeździ, to się głupio ginie.

— Ona nie była kierowcą rajdowym, tylko bogatą snobką. — Malwina pokręciła głową. — To porsche było dla niej symbolem zdobytej pozycji. Widziałam, jak jechała i coś...

— Skąd wiesz, że symbolem? Może zabawką? Drogim gadżetem? Może nas zobaczyła, poznała samochód i chciała się popisać umiejętnościami?

— Symbolem. Widowym znakiem statusu, jaki osiągnęła — powtórzyła Malwina stanowczo. — Widziałam, jaką miała minę, kiedy Dora powiedziała, że jej to cudo pomaze farbami Domiśki... Może i chciała się popisać na tej szosie, ale... Liza, sama jeżdżę od lat. Ten wypadek był dziwny. Obejrzałam film z kamery kilka razy, zanim ten młody bałwan raczył do nas podejść. To mi nie wyglądało na poślizg. Jechała zygzakiem, jakby straciła kontrolę nad samochodem. Może ktoś przy nim majstrował?

Eliza spojrzała na przyjaciółkę z niedowierzaniem.

— Naprawdę myślisz, że... Malwina, przestań! Kto majstrował? Mąż? Domiśka mówiła, że to pantoflarz i ciapa!

— Nawet pantoflarz ma swój próg wytrzymałości — mruknęła Malwina i wstała. — Jutro pozmywamy. Dziś już nie mam siły. Musimy jeszcze zadzwonić do Domiśki.

— Po co, na litość boską?!

— Bo jestem ciekawa, jak zareaguje na wiadomość o śmierci Wrednego Kurdupła — powiedziała twardo Malwina i ruszyła do pokoju.

Eliza wiedziała, że nie ma co dyskutować. Kiedy Malwina Letycja Pędziwiatr wbiła sobie coś do głowy, każdy argument odbijał się od niej jak od ściany. Westchnęła i poszła za nią, gasząc po drodze światło w kuchni.

— Co się stało? — zaniepokoiła się na widok przyjaciółki, która stała w drzwiach do pokoju jak posąg.

— Nie jestem pewna, czy tu dziś będziemy spały — mruknęła Malwina i usunęła się na bok. — Sama zobacz.

Frida i August leżały na łóżkach i zawzięcie, metodycznie odpracowywały wieczorną toaletę. Widząc swoje karmicielki, przerwały na moment, obrzuciły intruzki długim spojrzeniem, nawet nie chowając różowych języczków, po czym wróciły do swojego zajęcia.

— Lekceważą nas. Ale usiąść chyba możemy — powiedziała Eliza niepewnie. Przepchnęła się obok Malwiny i ostrożnie przysiadła na swoim łóżku. — Poprzedniej nocy Frida spała u mnie w nogach. Trochę zdrętwiałam, bo bałam się ruszyć, żeby jej krzywdy nie zrobić, ale za to rano jak mruczała na powitanie... One chyba nas lubią. Albo przynajmniej tolerują. Jakoś się z nimi dogadamy.

Malwina podejrzliwie przyjrzała się Augustowi, który z namaszczeniem mył pstrokatą łapkę, i usiadła na swoim łóżku najdelikatniej, jak umiała. Kocur łypnął na nią, zezując, jeszcze raz przejechał ozorkiem po łapie, po czym z głośnym mruzeniem przekręcił się, demonstrując biały brzusek. Na ten widok kraśnicka bizneswoman zapomniała o całym świecie. Ręka sama przyłgnęła do kociego futerka, a mruczenie zadowolonego kota stało się bardziej gardłowe.

— Ja chyba sobie poszukam kota — oznajmiła szeptem. — Czuję to jego mruczenie pod palcami i mam wrażenie, że wszystko złe ze mnie schodzi.

Eliza ostrożnie przysunęła się do Fridy i pogłaskała ją po rudym futerku.

Ulżyło jej, kiedy kocica nie zaprotestowała, tylko podsunęła łebek do pieszczot. A kiedy jeszcze przeniosła się na jej kolana i rozmruczała jak mały traktorek, ogarnęła ją czysta błogość.

— Ja chyba też — odszepnęła. — Ona jest taka ciepłutka. I chyba mnie lubi... To może już dziś nie zwracajmy głowy Domiśce, co? Posiedzimy sobie spokojnie z kotami...

— Posiedzimy — zgodziła się Malwina półgłosem. — Ale z Domišką też pogadamy. Nie wierzę, że chodzi spać z kurami. Dopiero dziesiąta dochodzi.

Eliza już nie protestowała, bo ogarnęło ją błogie rozleniwienie. Kocie futerko przyjemnie grzało jej obolałe nogi, wibrujące mruczenie przenikało w jej ciało i niosło spokój. Ziewnęła raz i drugi.

— Nie śpij mi tu! — syknęła Malwina. — Wytrzymaj chwilę. One pewnie zaraz zasną...

Koty nie zamierzały jednak spać. Zerwały się niespodziewanie, przeciągnęły, zeskoczyły na podłogę i wyszły z pokoju z podniesionymi ogonami.

— Co one będą robiły? — Eliza z niepokojem spojrzała na przyjaciółkę.

— Nie mam pojęcia, ale z domu nie wyjdą, bo wszystko pozamykane. — Malwina wzruszyła ramionami i sięgnęła po smartfona. — Dzwonię do Domiśki. Dam od razu na głośnik. — Wyszukała w telefonie numer koleżanki i przez chwilę czekała niecierpliwie, aż odbierze. — Cześć, Domiśka. Możemy pogadać?

— Co się stało?! — W zadyszczanym głosie Dominiki dźwięczała panika. — Coś z kotami?!

— Koty mają się świetnie — uspokoiła ją Malwina nieco urażonym tonem i poradziła: — Weź głęboki oddech i nie denerwuj się. Dbamy o ich wygodę bardziej niż o własną. Spały dzisiaj z nami. To my rano wstałyśmy połamane, nie one.

— Sorry, ale dopiero teraz po twoim telefonie dotarło do mnie, że jestem bezmyślną kretynką — pokajała się koleżanka samokrytycznie. — Nie przyszło mi do głowy, żeby wam podać numer do mojego weterynarza w razie problemów. A przecież od tego w ogóle powinnam zacząć... Czyli dzwonisz towarzysko, tak? — upewniła się. — Nic złego się nie dzieje? Coś już zwiedziłyście?

— Owszem, zwiedziłyśmy kawałek okolicy, ale nie po to dzwonię, żeby ci o wycieczkach opowiadać — ucięła Malwina. — Ten twój Wredny Kurdupel nie żyje, Domiśka.

Obie kraśniczanki wyraźnie usłyszały, jak rozmówczyni głośno wciąga powietrze. Przez chwilę milczała, a potem zapytała zdławionym głosem:

— Jak nie żyje?

— Całkiem — odpowiedziała uprzejmie Eliza. — Miała wypadek. Samochodowy. Widziałyśmy to na własne oczy.

— To ja już... Dzięki ci, Panie! — wyrwało się Dominice serdecznie, ale

zaraz się poprawiła: — To znaczy... O Jezu, wredna była, ale aż tak źle jej nie życzyłam!

— Życzyłaś, Domiśka, życzyłaś. — Malwina nie zamierzała bawić się w dyplomację. — Miałymy okazję osobiście zobaczyć twoje życzenia.

— J... jak to?

— Nie zamknęłaś pracowni, więc uznałyśmy... — zaczęła przepraszająco Eliza, ale Malwina uciszyła ją machnięciem ręki.

— Widziałyśmy Kurdupła z siekierą we łbie i laleczkę voodoo. Wszystko twojej produkcji — oznajmiła sucho.

— Ale przecież... Przecież mówiłaś, że to był wypadek! — jęknęła Dominika. — Przecież ja dlatego w Kraśniku zostałam, żeby tej cholery nie zabić! Nie mam natury mordercy!

Malwina z błyskiem w oku spojrzała na zaskoczoną Elizę i z satysfakcją pokiwała głową.

— Widzisz? Mówiłam ci od razu, że coś się kryje za tym zaproszeniem. Koty mogła karmić sąsiadka... Dobra, Domiśka. Przestań kombinować i mów prawdę. Wiemy, że nie mogłaś zabić Kurdupła, bo siedzisz w Kraśniku, a na szosie cię nie było ani fizycznie, ani w postaci widma. Ale dlaczego uważałaś, że musisz ją zabić? To jakaś empatia stadna? Poczułaś się odpowiedzialna za spokój reszty tego niewidzialnego towarzystwa?

— Dlaczego niewidzialnego? — zdziwiła się Dominika.

— Bo, oprócz tej twojej Dory i Wrednego Kurdupła, nie miałyśmy okazji zobaczyć ani kawałka pozostałych — wyjaśniła Eliza, do której właśnie dotarło, że mieszkańców osady kompletnie nie zainteresowały nowo przybyłe. Co było dziwne, bo mogły być potencjalnymi klientkami.

— Dlaczego uważałaś, że musisz zabić Wrednego Kurdupła? — przycisnęła Malwina.

— Bo... Zaraz! — Dominika nagle oprzytomniała. — Czemu mnie tak wypytujesz? Mówiłaś, że Baśka zginęła w wypadku, tak? To co ja mogę mieć z tym wspólnego?

— Nie zakładałabym się o to, że to był wypadek — stwierdziła Malwina zimno. — Bardzo możliwe, że ktoś jej ten wypadek ułatwił. Ale tu na miejscu jest jakiś młody bałwan, który sobie ze śledztwem nie poradzi. Same musimy się tym zająć. Dlatego chcę wiedzieć...

— Po co? — przerwała jej Dominika nerwowo. — Baśce życia nikt nie przywróci. I wcale nie jestem pewna, czy jest na świecie choć jedna osoba, która jej żałuje. Nie bez powodu nazywaliśmy ją Wrednym Kurduplem... Dziewczyny, zostawcie to! Zwiedzajcie sobie! Tam jest tyle cie...

— Masz pecha, Domiśka — włączyła się przepraszająco Eliza. — Malwina się uparła, a mnie też już zassało. Jeśli nam wytłumaczysz, dlaczego chciałaś zabić Wrednego Kurdupła, to może odpuścimy, ale...

— Tego się nie da wytłumaczyć! — jęknęła rozpaczliwie Dominika. — Nie da się! Nikt normalny tego nie zrozumie! Dopiero teraz do mnie dotarło, że

dałam się podpuścić Dorze! Nie puszczę pary przez telefon!

— To wracaj — zażądała Malwina. — Ciebie akurat nie podejrzewamy. Puścisz parę tu na miejscu.

— A kogoś podejrzewacie? — W głosie Dominiki dźwięczało napięcie.

— Najczęściej, kiedy ginie żona, macza w tym palce małżonek — wyjaśniła Eliza. — Ale po pierwsze: jeszcze go nie widziałyśmy na oczy, a po drugie: za mało mamy danych. W zasadzie o Wrednym Kurduplu wiemy tylko, że był wredny... No wiem, że to może gramatycznie skomplikowane — westchnęła przepraszająco — ale Wredny Kurdupel z czasownikiem rodzaju żeńskiego strasznie mi nie konweniuje... Więc: był wredny. Niby to wystarczający motyw, ale...

— To musiał być wypadek! — powiedziała żarliwie Dominika. — Musiał! To ja wylosowałam tę cholerną zapałkę, a przysięgam, że nie ruszyłam tyłka z Kraśnika! Mam świadków!

— Zaczynasz bredzić, Domiśka — stwierdziła Malwina nieufnie. — Koniec przesłuchania na dziś. Prześpij się porządnie, a jutro chcemy cię tu widzieć. Jak najwcześniej, bo nie wiadomo, czy ten policyjny bałwan się nie pojawi.

— Muszę? — zapytała Dominika z rozpaczą. — Może ja bym tu przeczeka...

— Musisz! — przerwała twardo Malwina. — Jesteś nam potrzebna. Znasz tu wszystkich.

16 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA

Dominika dotarła, kiedy przyjaciółki spożywały późne śniadanie. Poprzedniego wieczoru jeszcze długo omawiały okoliczności wypadku i niezrozumiałe zachowanie swojej nieobecnej gospodyni, potem musiały posprzątać kocie kuwety i negocjować z kotami możliwość spędzenia nocy w swoich łóżkach. Ukołysane mručeniami zasnęły wreszcie dobrze po północy i wstały dość późno. Kiedy Dominika stanęła w drzwiach, były już po porannej kawie i utyskiwaniu na obolałe kończyny.

— Nas tak nie witały — stwierdziła zazdrośnie Eliza, przyglądając się, jak oba koty wywijają radosne ósemki wokół nóg Dominiki. — Siadaj i częstuj się. Zrobić ci kawy albo herbaty?

— Kawy... Zaraz siądę, tylko ręce umyję. — Malarka pośpiesznie przeszła do łazienki.

— Szybko przyjechała. — Malwina uśmiechnęła się z satysfakcją znad talerza z twarożkiem. — Zaraz nam wszystko wyśpiewa.

— Myślisz? — Eliza uniosła brwi z powątpiewaniem, wstała i włączyła elektryczny czajnik. — Domiśka zawsze była przerażająco lojalna. Pewnie raczej będzie chronić tych swoich artystów.

— Na jej miejscu raczej chroniłabym siebie — mruknęła Malwina. — Tu jest jakoś dziwnie. Sześć chałup obok siebie, a jakby nikogo nie było...

— Już jestem. I trochę dziwnie się czuję. Jak gość. — Dominika stanęła w drzwiach kuchni, spojrzała na koleżanki ze szkolnej ławy i westchnęła. — Miny macie jak dwie wyposzczone hieny.

— Prawda — przytaknęła życzliwie Eliza. — Czujemy niedosyt informacji. I odnosimy wrażenie, że trochę nas wykorzystałaś... Nasyp sobie tej kawy, bo nie wiem, ile i jaką.

Dominika weszła, sięgnęła do szafki po ulubiony kubek, wsypała dwie łyżeczki lavazzy i stanęła przy czajniku w oczekiwaniu na wrzątek.

— Zanim cokolwiek wam powiem, najpierw chciałabym wiedzieć, dlaczego uważacie, że to nie był wypadek. — Spojrzała pytająco na kraśniczanki.

Malwina przeknęła pośpiesznie resztę twarożku, otarła usta papierową serwetką i wyjaśniła:

— Dlatego, że jechała zygzakiem. Rzuciło nią po całej szosie. Cud boski, że nic nie jechało z naprzeciwka... Jak dzwoniłam po pomoc, zdążyłam sobie obejrzeć okolicę. Nie miała prawa wpaść w poślizg. Nie było na czym... Domiśka, sama jeździsz. To wyglądało tak, jakby straciła kontrolę nad samochodem. Porsche było nowe...

— Kupiła je miesiąc temu — przyznała Dominika, która uważnie słuchała. — W autoryzowanym salonie, bo z odzysku by ją kłuło w tyłek.

Nawet musiała czekać, bo życzyła sobie w kolorze czerwieni, a akurat nie było. Baśka była snobką. — Usłyszała szum wody, wyłączyła czajnik i zalała kawę. — Fakt, jeździła ostro, ale była dobra w te klocki. Wcześniej miała volvo. Też czerwone. I nigdy nie miała nawet stłuczki.

— Może jej sprzedali bubla? — podsunęła z nadzieją Eliza, która podróżowała wyłącznie jako pasażerka.

— Zapomnij. — Dominika stanowczo pokręciła głową i usiadła z kubkiem przy stole. — Baśka od dzieciaka znała się na samochodach. Jej ojciec miał warsztat. Dora była odporna na tę dziedzinę wiedzy, ale Baśka siedziała w warsztacie w każde wakacje... Pamiętam, jak raz Ginterowi zastrajkowała ta sraczkowata honda, a ona zajrzała do środka i od razu wiedziała, co nawaliło... Nie. Samochód musiał być w porządku.

— No właśnie — mruknęła Malwina. — Chyba że ktoś go naprawił po swojemu... Ciekawe, gdzie ona była tego dnia. W Zwierzyńcu jej nie spotkałyśmy, a to nie metropolia. To czerwone porsche rzuciłoby się nam w oczy.

Dominika wzruszyła ramionami.

— Mogła być w Zamościu. Na mieszkania popyt nie spada.

— Gdyby nas wtedy nie było na tej szosie — ciągnęła Malwina — spaliłaby się razem z samochodem... Nie wiesz, czy ona zapinała pasy? — przypomniała sobie.

— Nigdy z nią nie jeździłam — wyznała Dominika i upiła łyk kawy. — Baśka miała paskudny zwyczaj napuszczania ludzi na siebie. Tu mogłam ją spławić. W samochodzie musiałabym słuchać. Ale jeździła szybko, więc pewnie zapinała. Dlaczego pytasz?

— Bo jak ją wyciągałyśmy, miała pas przełożony przez ramię, ale nie był dopięty — odparła zamyślona Malwina.

— Może się sam rozpiął. Mówiłyście, że rąbnęła w słupek i drzewo.

— Może... Dobra, Domiśka. — Malwina stanowczym gestem odsunęła talerzyk, rozparła się wygodnie na krześle i wbiła wzrok w koleżankę. — To już wiesz, dlaczego nas ten wypadek nie przekonuje. A teraz gadaj, dlaczego uznałaś, że musisz zabić tego Wrednego Kurdupła.

— Wcale nie chciałam jej zabić — powiedziała z urazą Dominika. — Przeciwnie. Uznałam, że nie dam rady tego zrobić i dlatego wolałam pojechać do matki. Żeby przeczekać. Ten obrazek z siekierą i laleczka voodoo to był taki krzyk bezsilności. Bo wiedziałam, że muszę, ale nie wiedziałam jak. I szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że to się samo załatwi. Bez mojego udziału... O wypadku nie pomyślałam.

— Dlaczego, na litość boską, chciałaś ją zabić? — Eliza patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. — W liceum byłaś normalna. Coś ci po drodze zaszkodziło na głowę?

— Mówię wyraźnie, że nie chciałam! — zdenerwowana Dominika podniosła głos. — Nie chciałam, ale musiałam! Wyciągnęłam tę cholerną zapałkę!

Przyjaciółki popatrzyły na siebie zdezorientowane. Wreszcie Malwina nie wytrzymała.

— Domiška, zawsze cię uważałam za inteligentną. Jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś zabijał z powodu zapałki. Zbikowałaś na tym odludziu?

— Nie zabiłam! — wrzasnęła rozpaczliwie Dominika i o mały włos nie przewróciła kubka z kawą, bo rąbnęła pięścią w stół. — Zrobiliśmy losowanie! Dora przyniosła zapałki! Idea była taka, że kto wyciągnie z łebkiem, ten zabije Wrednego Kurdupła! I jasna cholera, padło na mnie! Dlatego wyjechałam! Może miałam nadzieję, że któreś z nich nie wytrzyma i robi to za mnie, nie wiem! W życiu nikogo nie zabiłam! Nie mam wprawy!

— Nie przejmuj się — pocieszyła ją życzliwie Eliza. — Większość ludzi nie ma wprawy. Trzeba mieć predyspozycje. Albo muszą zajść stosowne okoliczności. Wtedy to się nazywa afekt.

— Już tak nie wrzeszcz, bo chyba cała okolica cię usłyszała — powiedziała karcąco Malwina. — Nawet koty uciekły... Kto wpadł na ten idiotyczny pomysł?

— Dora — odparła Dominika ponuro. — I wcale nie taki idiotyczny. Chodziło o to, żeby nikt nie wiedział, kto wylosował tę cholerną zapałkę. Każdy brał swoją i wtykał do kieszeni. Dopiero w domu zobaczyłam, że... Miałam nadzieję, że nikt nie puści pary i nie będą wiedzieć, że padło na mnie. Wyjechałam do matki, a po powrocie zamierzałam się upierać, że wylosowałam bez łebka...

— No to teraz pytanie za milion dolarów — powiedziała twardo Malwina. — Już wiemy, że Wredny Kurdupel był wredny, ale to za mało. Trzy czwarte ludzkości przestałoby istnieć, gdyby doszło do eliminacji wrodzonej lub nabytej wredoty... Dlaczego chcieliście ją zabić?

— Nie powiem — oświadczyła Dominika i rzuciła jej wrogie spojrzenie. — Powtórzycie policji, dokopią się, czego nie powinni i nas stąd wyrzucą.

— Jakiej policji? — Malwina popatrzyła na nią z politowaniem. — Temu młodemu bałwanowi, który nawet świadków nie potrafi przesłuchać? Zamiast nas pytać o wypadek, przeglądał przez pół godziny nasze dowody, jakby miał nadzieję, że jesteśmy przebranymi bandziorami! Jeszcze dostałyśmy od niego opieprz, że zniszczyłyśmy ślady w samochodzie! Bo wyciągnęłyśmy ofiarę!

— To idiota jest — przytaknęła Eliza. — Nie będziemy z nim współpracować. Nie bój się, Domiška. Cokolwiek powiesz, zostanie między nami. Nigdy w życiu na nikogo nie doniosłyśmy. Wolałyśmy same wymierzyć sprawiedliwość. Poza tym... Wiesz, nam się tu bardzo podoba. Chętnie byśmy cię odwiedziły latem. Nie pasuje nam, żeby cię stąd wyrzucali.

Dominika przyjrzała się podejrzliwie swoim gościom, upiła łyk kawy i niechętnie kiwnęła głową.

— Niech wam będzie. Mam nadzieję, że nie będę musiała żałować swojej szczerości... Ten teren... Kupowaliśmy w szóstkę. Ja, Dora, Bella, Bruno, Miki i Lucjusz. Musieliśmy przekupić paru urzędników, żeby wprowadzili zmiany

w papierach. To teren nadleśnictwa, park narodowy. Tu nie wolno budować. Stąd się wzięły chałupy. Ale przecież musieliśmy mieć prąd i wodę. Nie macie pojęcia, ile się za tym wszystkim nachodziliśmy i ile nas to kosztowało. Na szczęście Bella miała dojścia do odpowiednich ludzi. Decydentów... Gdyby to się wydało... Nie dość, że sami mielibyśmy przechlapane, to jeszcze ich byśmy pociągnęli w dół...

— Na jakim świecie ty żyjesz? — nie wytrzymała Malwina. — Widać, że nie oglądasz telewizji. Masz braki w edukacji... Nie słyszałam, żeby jakiś dzisiejszy decydent poniósł konsekwencje swoich kombinacji. Kradną, oszukują, zgarniają do siebie, przekręt goni przekręt, a włos im z głowy nie spada... Nie chcę mówić o polityce, bo mnie od razu krew zalewa. — Poczzerwieniała z irytacji. — Tyle ci powiem, że Wredny Kurdupel nic wam nie mógł zrobić, jeśli nie miał dowodów.

— Podobno miał... miała... A, wszystko jedno — westchnęła Dominika.

— Podobno? — Malwina uniosła brwi. — Widziałas? Jakie?

— Nie widziałam. Ale Dora mówiła, że Boguś jej wspominał o jakichś papierach, które Baśka trzymała w domowym sejfie.

— Boguś to ten zbolały wdowiec, tak? — upewniła się Eliza.

— Nie jestem pewna, czy akurat zbolały, ale owszem, teraz już wdowiec. — Dominika wyprostowała się nagle i jej oczy rozjarzyły się złością. — Wiecie, dlaczego Bella sprzedała im ten dom? Wcale nie chciała się stąd wyprowadzać! Baśka ją szantażowała! Powiedziała, że doniesie na nas wszystkich! Do skarbowki, do prokuratora, do mediów! Bella się ugięła.

— A po co jej był ten dom? — zapytała Eliza podejrzliwie. — Jej mąż jest notariuszem, chyba nieźle zarabia. Ona sprzedawała mieszkania...

— ...i domy — uzupełniła Dominika ze zgrzytem zębów.

— I domy — zgodziła się Eliza. — Podejrzewam, że stać ich było na luksusowe lokum w Zamościu...

— Pewnie! — prychnęła Dominika. — Kasy mają jak lodu!

— No właśnie. To po co im chałupa na odludziu? W dużym mieście oboje mieliby łatwiejszy dostęp do klientów. Dlaczego chciała akurat tutaj?

Dominika poruszyła się niespokojnie i rozpaczliwie rozejrzała wokół, jakby miała ochotę uciec. Spojrzenia obu przyjaciółek przygoździły ją do krzesła.

— Z powodu Dory — wyznała cicho. — Żeby jej dokuczyć.

— Siostrze? — Malwina pochyliła się ku niej z widocznym niedowierzaniem na twarzy. — Dlaczego?

— To stare dzieje — mruknęła Dominika niechętnie i westchnęła. — Boguś, mąż Baśki, był dawno temu narzeczonym Dory. Nie wiem, jak było z nim, ale Dora świata poza nim nie widziała. No i napatoczyła się Baśka. Ślub się odbył w terminie, tylko panna młoda była inna... Szczerze mówiąc, od tamtej pory nie trawię Bogusia — wyznała. — Uważam, że dostał, co mu się należało. Mógł mieć normalne życie, a wybrał piekło z Baśką... Dora bardzo to przeżyła. Zniknęła na rok. Nikt z nas nie wiedział, co się z nią dzieje. Chodziły słuchy,

że bogaty papa zafundował jej wyjazd do Włoch, żeby młode małżeństwo mogło żyć bezstresowo... — Wzruszyła ramionami. — Nie wiem, czy to prawda. Dora się nie zwierzała, a ja nie pytałam... Odezwała się niespodziewanie, kiedy Bella szukała chętnych do zamieszkania tutaj.

— A ta Bella czym się zajmowała? — zapytała Eliza.

— Wyspecjalizowała się w malarstwie religijnym. Maluje na zamówienie dla kościołów, sprzedaje obrazy w Caritasie. Projektuje też biżuterię religijną. Przeniosła się do Zamościa. Z tego, co wiem, najbliższy kontakt utrzymuje z nią Dora. Przyjaźniły się od zawsze.

— No dobrze, ale czym jej Kurdupel dokuczył? — Malwina spojrzała na koleżankę pytająco. — Bo się tu sprowadził? No i co z tego? Ta wasza Dora powinna mieć satysfakcję!

— Ale nie miała. A Baśka wiedziała, co robi. — Dominika westchnęła. — Dora się gryzła jak cholera. A Kurdupel robiła wszystko, żeby przez cały czas pamiętała, że jej tego durnego Bogusia odbiła tylko z powodu swojego kaprysu. Boguś wypląkiwał swoje nieszczęście na ramieniu Dory, a ona nic nie mogła zrobić. Baśka by mu nie dała rozwodu.

— I dlatego wymyśliła te zapalki — podsumowała Malwina. — Powinna była wypiąć się na oboje. Po co jej taki gamoń?

— To jeszcze nic — powiedziała Dominika ze złością. — Wiecie, że wszyscy się tej cholery opłacaliśmy? Brała swój procent od naszej sprzedaży. Nazywała to prowizją, niech ją cholera!

— Ja pimpole! — Malwina z niedowierzaniem spojrzała na przyjaciółkę. — Liza, słyszysz? Pięcioro dorosłych, chyba inteligentnych ludzi dawało się szantażować głupiemu, cwanemu babsku! Toż, widać, u nas rzeczywiście można żyć po pachy bez specjalnego wysiłku!

— Kurdupel jednak trochę się wysilał — zauważyła Eliza po namyśle. — Sprzedawała mieszkania, jeździła na spotkania z klientami...

— Dużo miała z tego szantażu? — Malwina przerzuciła wzrok na Dominikę.

— Sporo. Wszyscy jesteśmy dobrze umocowani w branży, mamy stałych odbiorców. Teraz mnóstwo wszędzie nowobogackich, którzy lubią mieć na ścianach przodków albo kopie znanych dzieł. Wszystko im można wmówić, bo nie mają pojęcia o sztuce, ale mają kasę. Sama zarabiam dość, żeby jeszcze matce pomagać.

— Nigdy nie zrozumiem, jak to działa — mruknęła Malwina. — Za innych nie ręczę, ale ciebie, Domiśka, znam na tyle, żeby cię uważać za inteligentną jednostkę. Naprawdę dałaś się tak omotać jednej cwanej babie?

— Naprawdę — wyznała Dominika żałośnie. — Płaciłam, bo musiałam. Popęłniłam przestępstwo. Gdyby wyszło na jaw, byłabym skończona w branży i pewnie zasiedlała jakieś więzienie... Nie macie pojęcia, jak mi to leży na sumieniu, ale... Gdybym musiała, zrobiłabym to jeszcze raz — oznajmiła twardo. — Kiedy znaleźliśmy tę enklawę, zaczęliśmy kombinować, skąd wziąć pieniądze. Wtedy jeszcze tak dobrze nam nie szło... Zrobiliśmy... Nie wiem

dokładnie, co inni, ale ja... Namalowałam obrazek w stylu Mehoffera i... podrobiłam jego sygnaturę... Popełniłam fałszerstwo. Świadomie... Dora znalazła jakiegoś bogatego palanta, który urządzał sobie rezydencję. Wcisnęła mu tę podróbkę za duże pieniądze... Nie wiem, jak Baśka się o tym dowiedziała.

— Ja pimpole — szepnęła zszokowana wyznaniem Eliza.

— Może palant się jej pochwalił i załapała — mruknęła Malwina, która nie darzyła nowobogackich specjalną sympatią.

— Baśka się nie znała na malarstwie. — Dominika potrząsnęła głową. — Nie odróżniłaby Chełmońskiego od Witkiewicza. A palant wybudował swój dwór nad morzem. Z tego, co wiem, ona tam nie bywała. Preferowała zagraniczne wojaże... Nie sądzę, żeby ktoś z nas się przed Baśką wypowiadał...

— Czyli w zasadzie każde z was miało powód, żeby się tej gangreny pozbyć — podsumowała Malwina ponuro. — Mąż pewnie nawet bardziej niż wy.

— Boguś? — Dominika parsknęła śmiechem. — Nigdy nie mogłam zrozumieć, co ta Dora w nim zobaczyła. A jeszcze po tym, jak ją zostawił dla Baśki... Znosił wszystko jak potulny baranek. Zero buntu. Zero jakiejś normalnej męskiej reakcji... Nie! — Dojrzała iskrę w oku Malwiny. — Ja nie mówię, żeby walił pięścią w stół i bił po pysku! Ale chyba takiego niewolnika bez własnego zdania byś nie chciała? — Rzuciła koleżance zaczepne spojrzenie. — Lubiłabyś mieć nad chłopem totalną kontrolę? I żeby się przed tobą trząsał jak osika?

— Ale przecież — odezwała się wstrząśnięta Eliza — on jest notariuszem. To chyba dobrze zarabia? Nie mógł jej zostawić? Rozwieść się? Coś mi się zdaje, że ta twoja Dora wszystko by mu odpuściła i przyjęła marnotrawnego narzeczonego. Słyszałyśmy wczoraj z Malwiną, jak się do niego dobijała z pociechą...

— Nie mógł — powiedziała sucho Dominika. — Puściłaby go z torbami. Może i na niego też coś miała... Wiem na pewno, że wydzielała mu pieniądze i awanturowała się o każdą wydaną złotówkę... Jesteście pewne, że ktoś ją zabił? Może to naprawdę był wypadek? — Spojrzała z nadzieją na koleżanki.

— Po tym, co od ciebie usłyszałam, jeszcze bardziej w to wątpię. — Malwina potrząsnęła głową. — W zasadzie dziwię się, że pozwoliliście jej tak długo żyć... Jedno, czego jestem pewna, to to, że ty jej nie zabiłaś, Domiśka. Natomiast co do twoich przyjaciół... Oni zawsze tak się zamykają na trzy spusty przed obcymi?

— Nie — przyznała Dominika. — O tej porze roku wszyscy mają szeroko otwarte drzwi. Poza mną, ale to ze względu na koty. Niby nie pchają się na zewnątrz, ale nie chcą kusić losu. Tu naokoło jest las... Do sklepu też nie jeździmy pojedynczo. Kiedy ktoś się wybiera, informuje resztę i zabiera chętnych. Wpadamy do siebie na pogaduchy, pomagamy, kiedy ktoś zachoruje. A przede wszystkim chwalimy się przed sobą efektami naszej pracy. Tej, z której jesteśmy wyjątkowo dumni, bo chałtury traktujemy jak

okazję do zarobku... Miki i Bruno to zawsze moi pierwsi krytycy, kiedy maluję coś, co zamierzam wstawić do galerii. Albo na konkurs, bo i tak się zdarza. Obaj są bezlitośni. To bardzo mobilizuje...

— A ten twój Lucjusz? — zainteresowała się Malwina.

Dominika prychnęła pogardliwie i wzruszyła ramionami.

— Nie interesuje mnie opinia kogoś, kto żyje z samej chałtury. Od kilku lat zapowiada obraz, który rzuci na kolana wszystkich znawców. I chyba na zapowiedziach się skończy, bo jeszcze żadne z nas nie widziało nawet kreski — powiedziała sucho. — Pomijając fakt, że nie wierzę w talent Gintera, to...

— ...rzadko się zdarza, żeby były mąż powiedział dobre słowo o byłej żonie — dokończyła Malwina ze zrozumieniem. — Co tak zaniemówiłaś, Liza? — Spojrzała na przyjaciółkę, unosząc brwi.

— Bo myślę — mruknęła księżowa Barnaba. — I coś dziwnego mi przyszło do głowy... Ale nie wiem, czy...

— Dawaj! — ponagliła Malwina uszczypliwym tonem. — Jak już ci się przydarzyło, że myślisz... No!

Do Elizy nie dotarła złośliwość. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w okno, za którym znajdowało się domostwo Mazurków.

— Dlaczego oni tak się chowają przed sobą? — rozmyślała głośno. — Tylko ta Dora wyszła, kiedy przyjechałyśmy. I nie była zachwycona, że to my. Powiedziałabym nawet, że wyglądała na... złą? Spodziewała się ciebie? Domiśka! — Spojrzała na koleżankę takim wzrokiem, że ta poczuła się nieswojo. — Jak ona zareagowała, kiedy powiedziałaś, że wyjeżdżasz?

— No... Zła była — wymamrotała Dominika. — Że akurat teraz... Miałam wrażenie, że chętnie by się upewniła, czy to przypadkiem ja nie wylosowałam tej cholernej zapalki, ale umowa to umowa. Miała być tajemnica... Widać było, że jej ulżyło, kiedy powiedziałam, że wrócę za kilka dni.

— Ale ona też wyszła tylko do nas — myślała głośno Eliza. — Pierwszy dzień spędziłyśmy na miejscu. Nie widziałam, żeby ktokolwiek z nich wytknął nos z domu. Jedyne znaki, że ktoś tu mieszka, to był powrót Wrednego Kurdupła jakoś tak po siedemnastej, a potem wieczorem światła w oknach domów... Kurczę, osiedle widmo... Nie wydaje wam się to nienormalne? Wszyscy nagle poczuli wenę i rzucili się do pracy? Dlaczego tak się... Boją się czegoś? Kurdupła już nie muszą. Jak przyjechał ten kretyn z policji, powinni byli jakoś zareagować. W końcu chyba rzadko im się zdarzają takie wizyty... Czego oni się tak... — Urwała i wpatrzyła się w przyjaciółkę szeroko otwartymi oczami.

Malwina, która z uwagą słuchała jej wyводу, wyprostowała się gwałtownie.

— Zapalki! — wykrzyknęły obie i tryumfalnie przybiły żółwika.

— Tak musiało być. — Malwina z satysfakcją pokiwała głową. — Wychodzi na to, że Dora wszystkich oszukała. Może miała nadzieję, że po usunięciu siostry zboląły wdowiec wróci do niej... Ale i tak nie mamy dowodów — westchnęła. — A ten młody idiota nas nie posłucha...

— O czym wy mówicie?! — W głosie Dominiki zadźwięczała nuta hysterii. — Że niby Dora nas podpuściła i sama utłukła Baškę?! Chyba zwariowałyście! Przecież to ja wyciągnęłam zapałkę! Nie było mnie tu, kiedy Baška zginęła! I Dora wiedziała, że mnie nie będzie! Byłaby głupia, gdyby...

— Nie, nie. — Eliza uspokajająco pomachała ręką. — Nie sądzimy, żeby akurat ciebie upatrzyła sobie jako zabójczynię. Wydaje nam się raczej, że zrobiła wszystko, by poszerzyć grono podejrzanych.

— Jak to? — W oczach Dominiki pojawiły się dwa wielkie znaki zapytania.

— To proste, Domiśka — powiedziała Malwina łagodnie. — Wystarczyłoby, żeby pozostali też wylosowali zapałki z czerwonym łebkiem. Ty związałaś do Kraśnika, ale oni tu zostali, więc woleli siedzieć jak myszy pod miotłą, żeby nikt ich nie podejrzewał w razie czego.

Dominika przez chwilę siedziała jak kamienny posąg, a później w jej oczach błysnęła furia. Poderwała się gwałtownie, przewracając krzesło, i wypadła z kuchni. Kraśniczanki usłyszały trzaśnięcie drzwi wejściowych, a zaraz potem wściekły krzyk koleżanki:

— Wyłaźcie! Wszyscy! Szybko, bo zrobię coś strasznego!

Malwina i Eliza nie czekały. Obie runęły ku wyjściu i zakotwiczyły na ganku, prawie nie oddychając, by nie uronić żadnego szczegółu z nadchodzącego spektaklu.

Drzwi chałupy z naprzeciwną otworzyły się szeroko i stanął w nich potężny mężczyzna. Kruczoczarne, bujne włosy do ramion i obfita kędzierzawa broda tej samej barwy sprawiały, że jego twarz wydawała się nienaturalnie blada. Życia nadawały jej ciemne, błyszczące jakimś wewnętrznym ogniem oczy.

— Co w ciebie wstąpiło, nieszczęsna kobieto? — huknął głębokim basem na widok podpartej pod boki Dominiki, która stała na środku szutrowej drogi z miną zwiastującą burzę z piorunami.

Z ostatniej chałupy wyrzał ostrożnie chudy, dobrze utrzymany drągal z kozią bródką i dyskretnym wąsikiem. Miał na sobie błękitny fartuch poplamiony farbami. Wśród plam dominował mocny szkarłat.

— Nie masz pojęcia, jaki tu spokój był bez ciebie — szcęknął złośliwie, ale nie zdążył rozwinąć myśli, bo ze środkowej chałupy wyszedł z rozpostartymi ramionami kudłaty, krępy, rozrośnięty w barach rudzielec.

— Domisia! — zawył radośnie, po czym wypadł na drogę, ujął w łapy jak bochny głowę Dominiki i soczyście ucałował jej policzki. — Dobrze, że jesteś! Potrzebuję fachowej porady. Mój znajomek prosił, żebym mu zrobił łabądka jako podstawę lampy. Kombinuję, kombinuję i nic! Bo, uważasz, ten jego klient chce, żeby mu się dziób świecił! Łabądkowi, znaczy! — Aż parsknął z oburzenia i przestąpił z nogi na nogę. — To jest kicz, Domisiu! Serce boli, bo taka przyjemna kasa by była, ale ten świecący dziób mnie...

— Miki, zrób mu tego łabądka i niech tę lampę zainstaluje w dziobie, żeby zwisała — powiedziała niecierpliwie Dominika i ostrzegawczo uniosła dłoń, kiedy otworzył usta. — Nie teraz! Teraz to ja mam pytanie! Do wszystkich! Kto

jeszcze wylosował zapałkę z czerwonym łbem?! — Potoczyła wokół roziskrzonym wzrokiem.

— Tam są obcy! — syknął czarnowłosy. — To nasze prywatne sprawy!

— Już nie! — warknęła Dominika. — To moje przyjaciółki! Wiedzą, że wyciągnęłam czerwoną zapałkę!

— Ty? — Rudowłosy Mikołaj Gałuszko popatrzył na nią osłupiałym wzrokiem. — Domisiu, coś ci się pomyliło! Ja ją wyciągnęłam! Ale jakoś... — Przeniósł spojrzenie na swoje ogromne łapska. — Nawet myślałem, żeby Kurdupła udusić — wyznał żałośnie i westchnął. — Ale to za proste. Od razu byście wiedzieli, że to ja... No i... jakby się Baśka rozdarła, pewnie bym odpuścił. Wrażliwy jestem.

— Od kiedy jesteś daltonistą? — zainteresował się zgryźliwie brodaty Bruno. — Żadne z was nie mogło wylosować tej cholernej zapałki, bo ja ją wyciągnęłam — powiedział ponuro. — Wyglądam, jak wyglądam, ale nie mam natury psychopaty. Myślałem, myślałem i nic nie wymyśliłem. Mógłbym ostatecznie po zabójstwie opakować Kurdupła w glinę i wypalić w piecu naszego Mikołaja jako rzeźbę, ale... — Wzruszył ramionami. — Nie byłem pewien, jaki będzie efekt...

— Ale ja też wyciągnęłam czerwoną zapałkę! — włączył się pośpiesznie Ginter zwany Lucjuszem. — I też wolałem siedzieć w domu, żeby prze... Zaraz! Myślicie, że to sprawka Dory? Ale przecież Baśka zginęła w wypadku!

Malwina i Eliza stały na ganku nieruchomo jak dwa posągi, ale zmysł wzroku i słuchu u obu pracował na najwyższych obrotach.

— Czyli wszyscy wylosowaliśmy takie same zapałki — podsumowała ponuro Dominika i z wściekłością w głosie dodała: — Zaraz tu będzie drugi trup! Zabiję tę cholere! Przez nią musiałam rzucić robotę i wyjechać do matki! — Obróciła się na pięcie i wrzasnęła w stronę domu swojej sąsiadki: — Dora! Wyłaż, bo jak ja tam wejść, to nie ręczę za siebie!

— Przestań, bo mi głowa pęknie! — Upstrzony krwistymi plamami szkarłatu Lucjusz spojrział na nią z wyraźnym obrzydzeniem. — I tak cię nie usłyszy. Rano zabrała ze sobą Bogusia i gdzieś pojechali.

— Uciekli razem? — zainteresował się Miki.

— To może i Baśkę wspólnie skasowali — podsunął Lucjusz.

— Ha! Dowcip roku! — parsknął pogardliwie Bruno. — Ten notarialny półgłówek musze by nie dał rady, a co dopiero Kurdupłowi! Na sam jej widok zamieniał się w galaretę!

— To gdzie się oboje podziali? — zapytała Dominika, w której furia aż bulgotała.

— Może Dora skasowała siostrzyczkę i wywiozła ukochanego w siną dal. — Bruno wzruszył potężnymi ramionami. — I będą gdzieś sobie żyli spokojnie i szczęśliwi...

— Niekoniecznie! — przerwał Lucjusz i uśmiechnął się złośliwie. — Cicha woda brzegi rwie, jak powiada stara mądrość ludowa. Bogusiowi mogły

wreszcie puścić hamulce, postarał się o wypadek, wszystko Dorze wyśpiewał i poczuła się w obowiązku ratować mężczyznę swojego ży...

Nie dokończył, bo rozległ się warkot silnika i wszyscy zobaczyli rozpędzoną błękitną toyotę. Dominika odruchowo odskoczyła i przywarła do płotu, a pozostali zamarli, wpatrując się w samochód, który z piskiem opon zahamował na środku drogi. Dora Zawojska, która z niego wyskoczyła, straszyla rozmazanym makijażem i czerwonymi od łez oczami.

Stojące na ganku kraśniczanki spojrzały na siebie podeksycytowane i zamarły w napięciu. Obu przemknęła przez głowę myśl, że światek artystyczny jest zdecydowanie ciekawszy niż ich prozaiczna codzienność.

Nim Dora zdążyła otworzyć usta, zaktywizował się zawsze czuły na wszelkie nieszczęścia Mikołaj. Dopadł jej z rozpostartymi szeroko ramionami, przygarnął tkliwie do piersi, cmoknął pocieszająco w rozwianą koafiurę i wielką łapą poklepał po plecach, aż jęknęła.

— Już dobrze, Dorotka. Uciekłaś mu? Nic się nie bój, nie damy ci zrobić krzywdy... Widzicie? — Potoczył zatroskanym wzrokiem po pozostałych. — Lucjusz jednak miał rację. Boguś najpierw załatwił Baškę, a teraz próbował...

Dora wyrwała się z jego uścisku i rzuciła mu takie spojrzenie, że zamarł.

— Co ty pieprzysz, idioto?! — krzyknęła histerycznie. — Boguś nic nikomu nie zrobił! Ani Baške, ani mnie! Bogusia... — Głos jej się załamał. — Zamknęli go! — Chlipnęła głośno, wzięła głęboki oddech i kontynuowała: — Pojechaliśmy, żeby się dowiedzieć, kiedy będziemy mogli Baškę pochować. Zaprowadzili nas do prosektorium, Boguś musiał podpisać jakieś papiery, a potem... Potem ten policjant powiedział, że go wsadzą na czterdzieści osiem godzin, bo jest podejrzanym i może mataczyć! — Z oczu Dory poleciały strumienie łez. — Pomóżcie mi! Trzeba go ratować! Boguś jest niewinny! Nie przeżyje w więzieniu!

Malwina i Eliza popatrzyły na siebie porozumiewawczo. Satysfakcją napawała je myśl, że bezbłędnie oceniły młodego glińiarza.

— Jeśli to ten idiota go wsadził, to małżonek raczej jest niewinny — mruknęła posępnie Malwina. — Będziemy musiały to udowodnić, ale nie wiem...

— No właśnie. To może być problem — westchnęła Eliza. — Z idiotami nie da się dyskutować.

— Jak sobie to wyobrażasz? — zapytał zgryźliwie Lucjusz, unosząc brwi. — Mamy wszyscy jechać do Zwierzyńca, żeby odbić tego gamo... Bogusia? Wszystkich nas wsadzą. Może jemu będzie przyjemnie w towarzystwie, ale nam niekoniecznie. Osobiście nie przepadam za zamkniętymi pomieszczeniami...

— A powiedzieli, co na niego mają? — chciał wiedzieć Bruno.

— Nie — chlipnęła Dora. — Tylko, że na czterdzieści osiem godzin mają prawo. Chyba są pewni, że przez ten czas coś znajdą...

— A znajdą? — zapytała Dominika zimno.

— Co mogą znaleźć?! — wrzasnęła histerycznie Dora i rzuciła jej wrogie spojrzenie. — Przecież Baśka miała wypadek!

— Jesteś pewna? — Dominika uniosła brwi i zniecierpliwiona zaatakowała: — Byłaś wtedy ostatnia. Jaka zapałka została dla ciebie?

Dora wytrzeszczyła na nią oczy, w których błysnęło przerażenie. Szpatycznie złapała powietrze i zaczęła kręcić głową jak popsuta lalka.

— Nie, nie, nie... Nie, Domiśka! Wylosowałam tę zaznaczoną zapałkę, ale przysięgam ci, że nic tej gangrenie nie zrobiłam! Miałam nadzieję, że padnie na któreś z was, nie przewidziałam, że na mnie! Wredna, bo wredna, ale jednak siostra! Zrobiłam sobie listę wszystkich podłości Baśki, żeby się wprowadzić w odpowiedni nastrój — powiedziała z rozpaczą w głosie. — Próbowałam przekonać siebie samą, że oszczędziłabym nerwów wszystkim tym, na których uwiesiła się jak kleszcz... Ale... — Pokręciła głową i obrzuciła znajomą grupkę przepaszającym spojrzeniem. — Wyrzuty sumienia to naprawdę dokuczliwy stan emocjonalny. Wiem coś o tym. Kolejnych bym nie zniosła... Pomyślałam, że jakoś to będzie. Żadne z was się nie przyzna głośno, co wylosowało, a potem może temat sam zniknie...

— Zniknie?! — huknął z furią Bruno, ciskając wzrokiem gromy. — Ty głupia babo! Wiesz, co zrobiłaś?! Każde siedziało w swojej chałupie i...

— Zaraz! — Mikołaj wyglądał na zszokowanego. — To jak to w końcu jest? Czy mnie się dobrze wydaje, że każde z nas wylosowało taką samą zapałkę? Dorotka, to nie wygląda dobrze. O co tu chodzi?

— Dobrze ci się wydaje, Miki — wycodziła Dominika przez zaciśnięte zęby. — Jak to wytłumaczysz, Dora?

Malwina i Eliza chłonęły każde słowo i pilnie rejestrowały emocje całej piątki.

— Ja... Jak to? Wy też?! — Dora była wyraźnie wstrząśnięta. — Ale... To niemożliwe! Sama wybierałam te cholerne zapałki! Tylko jedna była z czerwonym łebkiem! Reszta miała czarne! Przysięgam!

— No to mamy problem — powiedział wolno Bruno, przerywając ciszę, która zapadła po jej słowach. — Jakaś niewidzialna ręka je zamieniła... Nie podoba mi się myśl, że ktoś sobie z nami pogrywa... Cuda jakieś, czy do kogoś ci się wysnęło, Dora? Może do nieutulonego w żalu wdowca?

Zawojska wybuchnęła płaczem, dokumentnie rozmazując to, co zostało ze starannego makijażu.

— Przestań, Bruno! Wierzysz w to, że Boguś byłby zdolny kogokolwiek zabić?! Błagam, zostawmy to na później! Teraz trzeba pomyśleć, jak go uwolnić! Znacie jakiegoś dobrego adwokata?

— Środowisko prawnicze jest mi obce mentalnie — westchnął przepaszająco Miki. — Wszyscy oni są obrzydliwie racjonalni i logiczni. To męczące.

— Nigdy nie miałem powodu, żeby wyrabiać sobie takie znajomości — burknął z niechęcią Lucjusz Ginter i poszedł do swojej chałupy.

— Nie wiem, czy znajdziesz kogoś, kto da radę pomóc tej notarialnej łajzie — stwierdził pogardliwie Bruno. — Boguś ma na gębie wypisane, że jest ofiarą. Sędziowie takich nie lubią...

— To co ja mam zrobić?! — krzyknęła Dora z rozpaczą. — Boguś jest niewinny! Nic wcześniej nie wiedział o moim durnym pomysłe z zapałkami! To był wypadek! Muszę go z tego wyciągnąć!

— Weź się w garść. — Dominika ujęła ją pod ramię. — Chodź. Na szczęście są tu moje przyjaciółki. Pomogą ci. Jeśli Boguś jest niewinny, wyciągną go z tego.

Dorota Zawojcka bezwolnie potruchtała z nią, pozostawiając na środku drogi samochód z otwartymi szeroko przednimi drzwiami. Bruno Szumski sapnął z irytacją, zamknął je głośno, po czym powędrował do własnego domu. Mikołaj Gałuszko po namyśle również zawrócił do siebie.

Kiedy obie kobiety weszły do chałupy Dominiki, w kuchni już krzątała się podekscytowana Malwina. Parzyła znalezione wśród obfitości herbat melisę. Eliza obchodziła pokoje, by sprawdzić, gdzie są koty. Awantura na zewnątrz nie zrobiła na nich wrażenia — zalegały na łózkach w pokoju gościnnym i smacznie spały. Uspokojona wróciła do kuchni.

— Proszę skorzystać z łazienki — poradziła życzliwie, rzuciwszy okiem na upstrzone smugami po makijażu oblicze Dory.

Kiedy Zawojcka wyszła, Dominika opadła na krzesło i spojrzała pytająco na przyjaciółki.

— Czy wy rozumiecie, co tu się dzieje? Bo ja ni cholery. Żyłam w przekonaniu, że to najspokojniejsze miejsce na świecie. — Dojrzała uniesione sceptycznie brwi Malwiny i dodała pośpiesznie: — No tak, Baśka. W moim osobistym rankingu najbardziej nielubianych osób zajmowała zaszczytne pierwsze miejsce. U innych chyba też. Ale na szczęście, większość dnia spędzała poza Kolonią, a w weekendy barykadowaliśmy się w domach albo szliśmy na włóczęgę w lasy. Ona preferowała luksusy, więc czasami mieliśmy spokój... — Pokręciła głową. — Nic nie rozumiem... Najpierw to kretyńskie losowanie, a potem... Jeśli okaże się, że to nie był wypadek, zacznę podejrzewać ludzi, których znam od lat! — jęknęła z desperacją. — To nie do wytrzymania!

Dorota Zawojcka stanęła w drzwiach kuchni. Wyglądała o wiele lepiej, choć widać było, że płakała. Opadła na krzesło, bez słowa sięgnęła po podstawiony kubek z melisą i siorbnęła głośno. Gorący napój sprawił, że gwałtownie złapała powietrze.

— Proszę pić małymi łydkami — poradziła życzliwie Eliza. — Niech się pani nie martwi. Damy radę. Jeśli pani szwagier jest niewinny, dowiedzimy tego.

— Jeśli — podkreśliła z naciskiem Malwina. — Bo na razie jeszcze nie wiemy, co o nim sądzić. Nie widziałyśmy go na oczy... Zaczniemy od pytań. Co panią sprowokowało do tej akcji z zapałkami?

— No właśnie — mruknęła Dominika. — Też bym chciała to wiedzieć.

— Pani siostra — wtrąciła Eliza, widząc, że Zawojcka zaciska usta — od chwili, kiedy się tu pojawiła, budziła duże emocje, jak słyszałyśmy. Mimo to jakoś się wszyscy dogadywaliście. Co się stało, że akurat teraz postanowiła pani się jej pozbyć?

— Boguś... — W niebieskich oczach Dory mignął ponury błysk. — Nie, inaczej... Baśka prowadziła jednoosobową agencję nieruchomości. Była cholernie operatywna, sprzedawała za miliony psią budę, gdyby się uparła. Brała duże prowizje od sprzedaży, ale działała szybko. Klienci, którym zależało na czasie, pchali się do niej drzwiami i oknami. Akty notarialne i wpisy do ksiąg wieczystych załatwiał Boguś. Można powiedzieć, że cała kasa zostawała w rodzinie. — Głos Zawojckiej stwardniał. — Niby wszystko po bożemu, ale ostatnio trafiali do niego jacyś podejrzani klienci. Z polecenia Baśki...

— Przyjeżdżali tutaj? — zapytała Malwina. — Ktoś ich widział?

— Nie. — Dora pokręciła głową. — Wiem od Bogusia, że umawiali się na spotkania w kancelarii, ewentualnie on musiał jeździć do nich...

— Zwierzyniec czy Zamość? — chciała wiedzieć Eliza.

— Zamość. To znaczy tam ma kancelarię, ale czasami życzyli sobie wizyt domowych. Kilka razy jeździł z wysłanym kierowcą. Opowiadał mi, że nigdy nie widział takich wypasionych rezydencji. A raz trafił do domu schorowanej staruszki. Jakieś straszne babsko, które sprawiało wrażenie jej gosposi, podyktowało mu treść testamentu, pomogło babci podpisać dokument i zażądało notarialnego poświadczenia. Boguś był zdania, że testatorka już nie bardzo kontaktowała, ale nic nie mógł zrobić, bo przy łóżku był lekarz, który się upierał, że jego pacjentka jest w pełni sił umysłowych, tylko osłabiona lekami...

Malwina i Eliza popatrzyły na siebie ze zgrozą. Chęć udowodnienia niewinności pana notariusza jakby w nich osłabła.

— A co ma do tego Baśka? — zapytała niecierpliwie słuchająca z uwagą Dominika. — Tobie też podsyłała klientów i jakoś się nie skarżyłaś.

— To co innego. — Dora spojrzała na nią z urazą. — Ja tylko oglądałam mieszkanie albo posiadłość, a potem u siebie robiłam projekt. Po ostatecznych ustaleniach zamawiałam, co trzeba, i w ciągu miesiąca, ewentualnie dwóch klient odbierał gotowe lokum. Od lat pracuję z zaufanymi ludźmi; wiem, że nikt nie nawali... Owszem, nie skarżyłam się, ale szlag mnie trafił, kiedy musiałam jej płacić haracz!

— Wszyscy płaciliśmy. — Dominika wzruszyła ramionami. — Za dużo od ciebie wołała?

— Nie! Po prostu... Niedawno Boguś chciał zrobić przelew ze swojego konta. Na dziesięć tysięcy. I okazało się, że nie może! Bo ma tylko tysiąc złotych! Sprawdził wypłaty i zobaczył, że Baśka wszystko przelała na swoje konto! Bez jego wiedzy!

— Jak to? — wyrwało się Elizie.

— Tak to! Miała upoważnienie! — sapnęła Dora, zgrzytając zębami. — Ta krowa, moja siostrzyczka, ukradła mu prawie trzysta pięćdziesiąt tysięcy złotych! Boguś o mało zawału nie dostał! Ten przelew był pilny, więc przyleciał do mnie...

— Pożyczyłaś mu — stwierdziła z niesmakiem Dominika i westchnęła. — Oj, Dora, Dora... I dlatego chciałaś ją zabić? Ty? Boguś nie mógł wydusić tej kasy z powrotem?

Dorota Zawojska przewróciła wymownie oczami i fuknęła rozdrażniona:

— Przestań! Mówisz, jakbyś nie znała Baški! Nigdy nie oddawała tego, co już sobie przywłaszczyła! A Boguś... — Machnęła tylko ręką. — Od razu do niego dotarło, że w żadnym sądzie nie ma szans. Powiedział... — Głos jej się załamał. — Powiedział, że jeśli nie zrobi tego przelewu, to równie dobrze może już szukać sznura, bo jest skończony... Nie wiem, o co chodziło. Nie chciał mówić, to wolałam nie pytać. Baśce tylko wygarnęłam, co o niej myślę, ale się nie przejęła. Stwierdziła, że nie ma zamiaru całe życie gnąć na tym zadupiu, a ta kasa jest jej potrzebna, żeby zacząć od nowa w jakimś ustabilizowanym ekonomicznie kraju. I bezczelnie dodała, że zostawi mi Bogusia w spadku, bo znalazła zastępcę! — Zacisnęła dłoń na kubku, aż jej palce pobiełały. — Wtedy już mnie całkiem miłosierdzie opuściło — powiedziała z pasją. — Na zimno wykalkulowałam, że jeśli Baśce przytrafi się coś ostatecznego, to po niej dziedziczy Boguś. Tylko trzeba to zrobić tak, żeby nie padło na niego żadne podejrzenie. Odzyskałby swoje pieniądze i jeszcze dodatkowo ekwiwalent za te lata piekła z gangreną... Powiem szczerze — dodała wyzywająco — że żadna kwota nie wydawała mi się wystarczająca. Nawet gdyby odziedziczył miliony, uznałabym, że mu się należą!

— A wtedy mogliby państwo żyć razem długo i szczęśliwie — podsumowała sucho Malwina.

Dora Zawojska spojrzała na nią i ku zdziwieniu całej trójki, wybuchnęła śmiechem. Kiedy się opanowała, pokręciła głową i stanowczo oświadczyła:

— Nigdy w życiu. Ja jestem jak pies Pawłowa: raz oberwałam, drugi raz łba nie podstawię, bo już wiem, że będzie bolało... Jestem za stara na niańkę, a Boguś potrzebuje całodobowej opieki. Nie dałabym rady na dwóch etatach. — Uniosła głowę i spojrzała Malwinie prosto w oczy. — Pewnie uzna mnie pani za naiwną... Wszyscy oni — skinęła w stronę zaskoczonej Dominiki — myślą, że miota mną zazdrość, bo on wybrał Baškę. A ile można się gryźć? Swoje odpracowałam. Nikomu nie życzę tego, co przeszłam. Miałam szczęście, bo znalazł się ktoś, kto mi podał rękę, kiedy tonęłam. Ale nigdy więcej — powiedziała twardo. — Pomagam Bogusiowi tylko z jednego powodu. Gdyby nie ja, nie spotkałby Baški i może miałby normalne życie. Czuję się winna.

— Chyba ci na rozum padło! — nie wytrzymała Dominika. — Ty się czujesz winna?! Sam tak wybrał! Tworzysz jakąś wynaturzoną filozofię!

— Może. — Dora wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się smutno. — Ale tak

mam i nic nie poradzę. Nie wiesz wszystkiego... — Przeniosła wzrok na kraśniczanki. — O coś jeszcze chciałyby panie zapytać? Jest w ogóle jakaś możliwość, żeby go wyciągnąć z tego więzienia? Może kaucję trzeba wpłacić?

— Nie. — Malwina zdecydowanie potrząsnęła głową. — To jest tylko zatrzymanie. Nie wierzę, że ten młody bałwan coś na niego ma. Na razie kombinuje, jak mu coś przyłożyć. Na areszt musiałby mieć zgodę prokuratora, a prokurator jej nie da bez postawienia zarzutów. Na wszystko musi być paragraf... Mazurek był kiedykolwiek karany?

— Nigdy — odparła Dora bez wahania.

— No właśnie... Wątpię, czy ktokolwiek zaryzykuje areszt. Do tej pory to pewnie jeszcze nie mają pojęcia, co się wydarzyło na tej szosie. Zanim laboratorium... — Machnęła ręką. — Czterdzieści osiem godzin pan notariusz wytrzyma... Pani Doro, czy pani siostra mogła trzymać w domu jakieś podejrzone papiery?

— Podejrzone? — Zawojska wyglądała przez chwilę, jakby chciała się roześmiać, ale zaraz przygryzła usta. — Nie wiem. Staralam się u nich bywać jak najrzadziej. Zwykle to Boguś przychodził do mnie z lamentami... Jeśli chodzi o Baškę, to już nic by mnie nie zdziwiło. Wiem tyle, że mieli sejf, do którego szyfr znała tylko ona. Nie mam pojęcia, co w nim jest. Nigdy mnie to nie interesowało.

Dominika zbladła i zakłęta pod nosem.

— Boisz się, że coś na ciebie miała? — Dora poklepała ją po ramieniu i kontynuowała: — Nie sądzę. Znam... Znałam tę cholere od dziecka. Zawsze była wredna. Podśluchiwała, kombinowała, insynuowała, manipulowała faktami. W tym była dobra. Ci bardziej kumaci ją spławiali, ale... Nie ma człowieka, który nigdy nie popełniłby jakiejś głupoty. Uczciwy zawsze bardziej się boi, że wyjdzie na jaw, niż łajdak.

— Ale pani też się jej oplacała — zauważyła ostrożnie Eliza.

— Owszem. Nic na mnie nie miała. Płaciłam, żeby odcepiała się od kogoś, wobec kogo mam dług wdzięczności... Coś jeszcze? Bo muszę się jakoś zregenerować i wziąć do pracy...

— Jak się pani już zregeneruje, to proszę się dobrze zastanowić, która z mieszkających tu osób mogła być informatorem nieboszczki — powiedziała sucho Malwina.

— Myśli pani... — Dora wyglądała na wstrząśniętą.

— Myślę. Wnioskując z gorliwości, z jaką państwo zaakceptowali plan zabicia Barbary Mazurek, jestem pewna, że wszyscy jej płacili — oznajmiła Malwina bez ogródek. — Proszę to przemyśleć. Będziemy wdzięczne za wszelkie sugestie. Od czegoś musimy zacząć. — Wstała i skinęła na skamieniałą Dominikę. — Domiśka, odprowadź panią. Dużo dziś miała wrażeń, niech odpocznie.

Kiedy kobiety wyszły, Malwina i Eliza spojrzały na siebie. Oczy im błyszczwały z ekscytacji.

— Za każdym razem, kiedy gdzieś wyjeżdżamy razem, coś się dzieje — stwierdziła Eliza z zadowoleniem. — Przyjemne z pożytecznym.

— Morderstwo uważasz za przyjemne? — Malwina uniosła brwi, siadając z powrotem. Nie wyglądała jednak na zbulwersowaną.

— Za przyjemne uważam zwiedzanie. Za pożyteczne prowadzenie śledztwa — wyjaśniła z godnością Eliza i od razu dodała: — No, patrz. Też mi się wydawało, że Dorze wciąż zależy na tym niewidzialnym notariuszu. Zaskoczyła mnie.

— Pozory często mylą — mruknęła zamyślona Malwina. — Mam wrażenie, że dowiedziałyśmy się bardzo istotnych rzeczy, tylko na razie nie bardzo umiem to poskładać... Ja pimpolę, że też musiałyśmy trafić na zwierzynieckiego Styrbułę. Lokalna policja nam nie pomoże. Szkoda, że nikogo tu nie znamy...

— A dlaczego właściwie tak się upierasz, że to nie był wypadek? — Eliza spojrzała na nią pytająco.

— A dlaczego ty się upierałaś, że ta twoja sąsiadka nieboszczka nie popełniła samobójstwa, tylko została zamordowana?

Eliza zastanowiła się uczciwie.

— Bo z nią wcześniej rozmawiałam. Intuicja też mi podpowiadała, że to nie samobójstwo.

— No właśnie. A moja mi podpowiada, że to nie wypadek. Bo widziałam wszystko na własne oczy. I jestem pewna, że albo coś się zadziało z samochodem, albo z Kurdupem — oświadczyła Malwina i z żalem dodała: — Ten młody bałwan sobie nie poradzi... Skąd oni się biorą w tej policji... Chyba powinniśmy pomyśleć o jakimś obiedzie. Dziś już raczej nigdzie nie pojedziemy, ale może Domiśka by nas wzięła na spacer do la... — Urwała, słysząc dźwięk komórki.

Sięgnęła po zwisającą z oparcia kuchennego krzesła torebkę, wyjęła telefon i podejrzliwie zerknęła na ekran. Numer, który zobaczyła, był jej nieznany. Już miała odrzucić połączenie, bo ostatnio prześladowały ją chmary bardziej niż zwykle nachalnych akwizytorów, ale zwyciężyła ciekawość.

— Słucham — powiedziała ostrożnie, gotowa w każdej chwili przerwać rozmowę.

— Czy rozmawiam z panią Malwiną Pędziwiatr? — Głos był męski i przyjemny dla ucha, a kiedy Malwina przytaknęła, kontynuował: — Nazywam się Adam Storosz i jestem komisarzem policji w Zamościu. Wiem, że pani i Eliza Barnaba byłyście świadkami wypadku, w którym zginęła Barbara Mazurek. Czy moglibyśmy spotkać się w jakimś neutralnym miejscu? Bardzo mi zależy, żeby z paniami porozmawiać.

— A skąd ja mogę mieć pewność, że jest pan tym, za kogo się podaje? — zapytała zimno Malwina, choć prawie tchu jej zabrakło z emocji.

Eliza, widząc napięcie na twarzy przyjaciółki, spojrzała na nią pytająco.

— Nie może pani — przyznał głos nieco rozweselony. — Moje nazwisko

znajduje się wprawdzie na stronie zamojskiej policji, ale... Czy rekomendacja komisarza Wernera panią przekona? Przed chwilą z nim rozmawiałem o paniach. Wcześniej obejrzałem film z tej akcji ratowniczej i byłem pod wrażeniem...

— A dlaczego pan o nas rozmawiał? — przerwała Malwina podejrzliwie. — I skąd pan zna komisarza Wernera?

— Nie znam. Zadzwoiłem na kraśnicką komendę z czystej ciekawości. Trochę już pracuję w policji, niejedno widziałem, ale po raz pierwszy w takiej akcji zobaczyłem dwie kobiety... To, czego się o paniach dowiedziałem, podsunęło mi pewien pomysł. Dlatego bardzo mi zależy na dyskretnym spotkaniu. Zaproponuje pani jakieś miejsce? Byle nie w Zamościu. Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś nas razem zobaczył.

Malwina poczuła na plecach znajomy dreszczyk. Uśmiechnęła się szeroko do wpatrzonej w jej twarz przyjaciółki i zaproponowała:

— Zwierzyniec pewnie pan zna. My już trochę też. Znajdzie nas pan przy pomniku tego historycznego robala. W parku. Będziemy — spojrzała na zegarek — za jakieś dwie godziny, bo jeszcze musimy coś zjeść. Przez tę pandemię musimy się same dożywiać.

W odpowiedzi usłyszała śmiech, a potem rozmówca zapytał niewinnie:

— Nie chce pani wiedzieć, jak panie rozpoznam? A może powinienem mieć przy sobie jakiś znak rozpoznawczy?

— No co pan ze mnie głupią robi? — obraziła się Malwina. — To nie film kryminalny! Jak pan oglądał nagranie, to pan nas rozpozna! Za dwie godziny będziemy koło robala — oznajmiła krótko i rozłączyła się, nie czekając na reakcję interlokutora.

— Mów! — zażądała gorączkowo Eliza, kiedy tylko przyjaciółka odsunęła smartfon od ucha.

— Cuda się zdarzają, Liza! — Malwina wyglądała, jakby właśnie wygrała milion dolarów. — Mamy normalnego gliniarza! Komisarz Adam Storosz z Zamościa! Wypytywał o nas Wernera! Musimy się szybko zastanowić, co wiemy i o co będziemy go pytać, żeby wiedzieć więcej! Intuicja mi podpowiada, że to jakaś grubsza sprawa! — Schowała telefon do torebki i rozejrzała się po kuchni. — Obiad zrobimy późno, bo nie wiem, ile nam tam zejdzie, ale przed wyjazdem musimy coś wrzucić na ruszt... Wiem, usmażę placki ziemniaczane! Będzie szybko... Ty pozmywaj, bo po śniadaniu wszystko tylko przełożyłam do zlewu, a ja się wezmę... O, dobrze, że wróciłaś, Domiśka! — Zamachała energicznie ku Dominice, która właśnie stanęła w drzwiach kuchni. — Siadaj! Będiesz jadła placki ziemniaczane? Jeśli nie masz ochoty teraz, zostawię ci na półmisku, to sobie potem odgrzejesz w mikrofalówce. Jedziemy z Lizą do Zwierzyńca.

Dominika opadła na krzesło i spojrzała na nią ze strachem.

— Chcecie wyciągnąć Bogusia z mamra?

— Nie dzisiaj. — Stojąca przy zlewie Eliza odwróciła się ku niej, trzymając

w dłoni mokry kubek. — Mamy umówione spotkanie. W razie gdybyśmy nie wróciły, pamiętaj, żeby szukali świadków w parku zwierzynieckim. Przy robalu...

— Zwariowałaś chyba! — syknęła Malwina, podrywając głowę nad ziemniaków, które obierała. — Dlaczego mamy nie wrócić?!

— Sama mówiłaś, że to grubsza sprawa — wytknęła jej przyjaciółka. — Może on i gliniarz, może rozmawiał z Wernerem, a może cię oszukał. Jeśli ja zdążyłam sprawdzić, że na stronie zamojskiej policji naprawdę figuruje takie nazwisko, to on mógł sobie sprawdzić, kto rządzi w Kraśniku...

— Mówił, że widział moje nagranie! Myślisz, że policja pokazuje dowody w sprawie każdemu, kto ma ochotę?! — wrzasnęła wyprowadzona z równowagi Malwina.

— Musimy być ostrożne — uparła się Eliza, sięgając po talerzyk. — Policja może i nie pokazuje, ale ten młody bałwan... Może to jakiś cwany dziennikarz chce wyciągnąć od nas informac...

— Co wy do mnie mówicie?! — jęknęła z rozpaczą Dominika, wodząc błędnym wzrokiem od jednej do drugiej. — Kto to jest Werner?! Przy jakim robalu?!

— Nie przejmuj się jej gadaniem. — Malwina lekceważąco machnęła ręką, w której trzymała nóż. — Naoglądała się filmów kryminalnych... Mamy w Zwierzyńcu umówione spotkanie. Z gliniarzem z Zamościa. Może przejmują sprawę i będą prowadzić normalne śledztwo? Choć to by było dziwne... A może i nie dziwne... Coś tam musi być na rzeczy...

— Powiecie mu wszystko? — Dominika zbladła.

— Na pewno tyle, że może cię wykreślić z listy podejrzanych... Nie bój się. Najpierw posłuchamy, co on nam powie. A potem zobaczymy... Przez telefon brzmiał jak inteligentny facet...

16 KWIETNIA, ZWIERZYNIEC

Droga do Zwierzyńca upłynęła przyjaciółkom błyskawicznie, bo uzgadniały — kłócąc się oczywiście — które informacje mogą przekazać przedstawicielowi zamojskiej policji, a które zatrzymać dla siebie. Wreszcie ustaliły, że na pewno nie pisną słowa na temat artystycznych koncepcji Dominiki zainspirowanych chęcią ubicia Wrednego Kurdupła. Decyzję co do spożytkowania pozostałej wiedzy miały podjąć w trakcie rozmowy z zamojskim komisarzem. Jeśli okaże się inteligentny i chętny do współpracy, podzielią się informacjami. Jeśli nie, wyciągną z niego, co się da, i same zajmą się śledztwem. Najwyżej Dominika będzie musiała gościć je nieco dłużej.

Kiedy zmierzały w stronę pomnika, dyskretnie rozglądały się na boki, wypatrując ewentualnego zagrożenia i komisarza.

— Może to ten? — Eliza spojrzała na mężczyznę w podeszłym wieku, który stał obok prostopadłościanu pomnika, dzierżąc w dłoni smycz. Na jej końcu znajdował się czarno-biały kundelek zajęty aktualnie podlewaniem historycznego kamienia.

— Nie sądzę. — Malwina potrząsnęła głową. — Głos brzmiał dość młodo i energicznie. Poza tym... Policjant chyba raczej nie pozwoliłby psu na bezczeszczenie pomnika. Nawet takiego kucanego. Tam obok są krzaczki.

— Młody, mówisz? Nie wiem, czy to dobrze — zastanowiła się Eliza. — Ten bałwan ze Zwierzyńca też jest młody. Może lepiej, żebyśmy trafiły na starszego?

— Pięćdziesięciolatek może być? — Rozbawiony męski głos, który rozległ się za nimi, sprawił, że obie odwróciły się gwałtownie.

Nieznajomy miał na sobie sportowe legginsy, jasnoszary podkoszulek, czapkę z daszkiem i mały plecak zarzucony na ramiona. Buty do biegania dopełniały stroju. Spod czapki wymykały się kosmyki ciemnych włosów. Połowę twarzy zakrywała maseczka, a nad nią błyszcząły ciemnoszare oczy. Był dość wysoki, dobrze zbudowany i ewidentnie dbał o formę, bo opięty podkoszulek podkreślał muskulaturę.

— Pan to... pan? — wyrwało się Elizie, która nie mogła od niego oderwać wzroku. Nie miał w sobie nic z policjanta. Wyglądał jak typowy biegacz, który właśnie wybrał się do parku, by zaliczyć codzienną normę.

— Adam Storosz we własnej osobie. — Oczy mu błysnęły wesołością. Zsunął z ramion plecak, wy dobył z niego legitymację. — Proszę. Nie muszą panie wierzyć mi na słowo.

Malwina natychmiast chwyciła dokument. Obie przyjaciółki przestudiowały go z uwagą, spojrzały na zdjęcie i przeniosły wzrok na komisarza.

— Góra niby podobna — stwierdziła Eliza — ale reszta...

Roześmiał się w głos i obsunął maseczkę.

— A teraz?

— Teraz się zgadza — odparła Malwina i skinęła głową. — Choć w ogóle nie wygląda pan na policjanta. Przez chwilę obawialiśmy się, że może jakiś brukowy reporter chce od nas wyciągnąć informacje na temat tego wypadku. Nie zależy nam na takiej sławie.

— Mnie również. Przeciwnie. Zależy mi, żeby jak najmniej osób wiedziało, kim jestem... Będziemy spacerować czy wolą panie gdzieś usiąść?

— Tu niedaleko jest całkiem przyjemna ławka — podsunęła Malwina, która zdecydowanie wolała siedzieć, niż chodzić. — Ta pod wierzbą, z widokiem na rzekę.

— Dlaczego Zamość przejął sprawę? — nie wytrzymała Eliza, ledwie zawrócili w stronę rzeki. — Chyba i bez tego macie co robić? Pandemia, nie pandemia, ludzie i tak popełniają przestępstwa.

— Ma pani rację — zgodził się komisarz. — Rzecz w tym, że ten wypadek pomieszał mi szyki. Barbara Mazurek była... Może nie tak. Miałem nadzieję, że doprowadzi mnie do pewnej osoby.

Kraśniczanki popatrzyły na siebie z zastanowieniem.

— Czyli Wredny Kurdupel był bardziej wredny, niż się wszystkim wydawało — stwierdziła Malwina i z ulgą usiadła na znajomej już ławce. — Tak ją nazywali mieszkańcy Kolonii. Nawet rodzona siostra — wyjaśniła, widząc uniesione w zdumieniu brwi komisarza. — Pan też uważa, że to nie był wypadek?

— Nie uważam. Ja to wiem. — Storosz odczekał, aż Eliza zajmie miejsce, i dopiero wtedy przysiadł z brzegu. — Kiedy prokurator, którego Maćkowiak... Jak to panie określiły? Ten bałwan ze Zwierzyńca... No więc kiedy Maćkowiak zaczął namolnie naciskać prokuratora, żeby dał zgodę na areszt, ten skontaktował się ze mną. Nazwisko pani Mazurek przewijało się w sprawie, którą obaj prowadzimy. Nie będę się rozwodził nad szczegółami. Powiem tylko, że sekcja wykazała obecność dużej dawki psychotropów w żołądku i krwi denatki. Ktoś ją nafaszerował środkami uspokajającymi...

— Mówiłam ci! — Malwina rzuciła przyjaciółce pełne satysfakcji spojrzenie. — Jechała zygzakiem! Jakby nie panowała nad tym, co robi! Cud boski, że na tej szosie nikogo poza nami nie było! A samochód? — przeniosła wzrok na policjanta. — Nic mu nie dolegało?

— Tego jeszcze nie wiem. W tej chwili sprawdzają go fachowcy, ale to potrwa. — Komisarz westchnął, a potem pokręcił głową. — Bardzo panie ryzykowały.

— Nie wiedziałyśmy, że wybuchnie — powiedziała Eliza obronnym tonem. — A kiedy poczułyśmy benzynę, to już tylko myślałyśmy, żeby działać jak najszybciej. Gdybyśmy wiedziały, że ona nie żyje...

— Ale dzięki temu, że ją stamtąd wywlokłyśmy, mogliście zrobić normalną sekcję! — fuknęła natychmiast urażona Malwina. — Nie wiem, czy tak łatwo

by wam poszło, gdyby się spaliła!

— Toteż ja nie narzekam, tylko podziwiam odwagę pań — stwierdził Storosz łagodząco i szybko zmienił temat: — Jestem pewien, że zdążyły panie wyrobić sobie opinię na temat mieszkańców Kolonii i denatki. Chętnie posłucham.

Przyjaciółki spojrzały na siebie niepewnie. Zdały sobie sprawę, że ich wiedza niewiele jest warta, a bardzo chciały uzyskać jak najwięcej konkretnych informacji od przedstawiciela policji.

— Zaraz! — Malwina zmarszczyła brwi. — Pan też uważa, że to mąż chciał się pozbyć Wrednego Kurdupła?

Komisarz rozłożył ręce.

— Nie jestem wróżką. Ktoś ją tymi prochami nafaszerował...

— To nie on — wtrąciła gorączkowo Eliza. — Poza domem mu nie przeszkadzała, bo pewnie darła się na innych. Nie wierzymy, że to on. To podobno straszna ciapa jest.

— Podobno? — podchwycił Storosz.

— Nie widziałyśmy go na oczy — wyjaśniła Malwina i sapnęła z irytacją. — Cholera, już widzę, że to będzie trudniejsze, niż myślałam... Panie...

— Adam — odpowiedział szybko. — Pozostańmy przy imieniu. Jeśli mój pomysł wypali, możliwe, że spotkamy się w innych okolicznościach i nie chciałbym, żeby któreś z pań wyrwało się, gdzie pracuję.

— Panie Adamie, czy może nam pan jakoś przybliżyć tę sprawę, nad którą pan pracuje? Bo te informacje, które zebrałyśmy do tej pory, są dość... prywatne. I skomplikowane. I dotyczą nie tylko działalności Wrednego Kurdupła, ale i koleżanki, u której mieszkamy. Nic złego nie zrobiła, nawet jej tu nie było, kiedy zdarzył się ten wypadek, ale... No, to jednak strasznie głupie jest. Ludzkie, ale głupie... Gdybyśmy wiedziały, o co chodzi, może mogłybyśmy jakoś wydłubać to, co może się panu przydać.

Komisarz milczał przez chwilę, wreszcie skinął głową.

— Mieszkają panie u Dominiki Kurlej, tak? — Kiedy obie przytaknęły i wpatrzyły się w niego podejrzliwie, zapytał: — Jak dobrze ją panie znają?

— Na tyle dobrze, że nie obawiała się nas wpuścić do swojego domu bez nadzoru! — oznajmiła ostro Malwina. — Znamy się jeszcze ze szkoły. Domiśka też kraśniczanka... Tak, wiemy. — Machnęła lekceważąco ręką. — Ludzie się zmieniają, ale mimo że nie widziałyśmy jej od lat, nie poczułyśmy przy spotkaniu żadnej obcości. Wie pan, tak jakby tych lat w ogóle nie było...

— A jak to się stało, że panie się tu zjawiły?

— Skorzystałyśmy z okazji — włączyła się Eliza. — Malwina i tak musiała zamknąć biznes z powodu pandemii, a jak nam Domiśka zaproponowała wyjazd na Roztocze, to długo się nie zastanawiałyśmy. Ona musiała zająć się matką, a my miałyśmy dopilnować kotów, bo ma dwa.

Komisarz patrzył na nie wzrokiem, który sugerował, że nie do końca wierzy w tę opowieść. Malwina westchnęła ciężko i przyznała niechętnie:

— No, owszem. Myśl o zwiedzaniu Roztocza nam się podobała, opieka nad

kotami też, ale był jeszcze jeden powód.

— Jaki?

— Chciałyśmy sprawdzić, dlaczego Domiśka woli zostać w Kraśniku, niż wracać do domu — wyjaśniła niepewnie Eliza. — Bo poprosiła nas o przysługę dopiero wtedy, kiedy dowiedziała się, czym się zajmujemy. Amatorsko.

Uśmiechu, który przemknął po ustach komisarza, nie mogły zobaczyć, bo ukryła go maseczka.

— I do jakich wniosków panie doszły?

— Nie powiemy! — zbuntowała się Malwina. — Bo nie wiemy, czy nie użyje ich pan przeciwko Domiśce! Nic złego nie zrobiła! Czemu tak pan o nią wypytuje?

— Bo zastanawiam się, czy ja również mógłbym skorzystać z jej gościnności. To jest bardzo hermetyczna społeczność. Popytałem we wsi. Podobno niechętnie i podejrzliwie reagują na obcych...

— Jasne! — nie wytrzymała Eliza. — Kto to panu powiedział? Proboszcz? Bo mu nie chcieli za darmo namalować obrazu do kościoła? Bo takie antychrysty, że na mszach nie bywają? Bo jak artyści, to od razu Sodoma i Gomora? Bo jakaś głupia baba wzięła któreś z nich za cmentarnego upiora? Lubiłby pan, żeby pana nachodzili tacy ludzie i obserwowali jak zamorskie dziwo? Też by ich pan gonił!

Komisarz przez chwilę przyglądał się jej dziwnym wzrokiem. Potem pokręcił głową.

— Skąd panie to wszystko wiedzą? — W jego głosie dźwięczało zaskoczenie. — Przecież są tu panie ledwo od paru dni!

— Ale wzrok i słuch nam działają — poinformowała go wyniośle Malwina. — Logika też. No i dziś miałyśmy okazję ich wszystkich zobaczyć na żywo. Tylko mąż Wrednego Kurdupła nas ominął, bo siedzi w mamrze, a wcześniej nosa nie wytknął z domu... Zaraz! Co panu da gościnność Domiśki? I tak będzie pan dla nich obcy. Domiśka nie prowadzi pensjonatu. Co im powie? Może pan najwyżej pojawić się jako klient, który chce kupić od niej obrazy.

— To mnie nie urządza. Chcę powęszyć na miejscu.

— To już niech pan przestanie kombinować i powie po ludzku, w czym rzecz — zażądała Malwina. — Śmierć Wrednego Kurdupła popsła panu śledztwo, a ślad prowadził do Kolonii, tak? I teraz ma pan nadzieję, że przydybie któregoś z mieszkańców na gorącym uczynku? To co oni tam robią?

Komisarz Storosz przypomniał sobie rozmowę z kraśnickim komendantem i mimo ciepłego popołudnia, poczuł, że zimny dreszcz przelatuje mu po plecach. Rafał Werner bardzo chwalił skuteczność kraśnickiego duetu, ale też ostrzegął, że trudno nad nim zapanować. Właśnie doświadczał tego osobiście. Jego policyjna ranga nie robiła na obu paniach żadnego wrażenia. W dodatku z jego wypowiedzi wyciągały przerażająco logiczne wnioski. W zasadzie wszystko to mu pasowało. Był tylko jeden szkopał. Nie pracowały w policji, a on nie miał prawa narażać cywilów.

— Czy panie się nie boją? — zapytał z niedowierzaniem.

— Czego mamy się bać? — zdziwiła się Eliza. — Przecież nie robimy nic złego. No, owszem, nie jesteśmy głupie i wiemy, że bandziory wszelkiego autoramentu bywają uciążliwe, ale przecież osobiście ich nie łapiemy.

— Dlatego zawsze staramy się współpracować z policją — dodała z naciskiem Malwina. — Interesuje nas tylko rozwiązanie zagadki. Prace fizyczne zostawiamy organom do tego przeznaczonym, czyli wam.

— Dobrze. — Komisarz zepchnął w najgłębsze czeluście sumienia swoje obawy i podjął decyzję. — Od ponad roku walczymy z przemytem ikon. Kradną u nas. Cały wschodni pas: podkarpackie, lubelskie i podlaskie. Tu jest mnóstwo małych cerkiewek, do których łatwo się włamać. Próbowaliśmy namierzyć złodziei, ale to nie takie proste...

— Dlaczego? — wyrwało się z oburzeniem Elizie, która słuchała prawie na bezdechu.

— Ja ci powiem. — Malwina nie czekała na odpowiedź komisarza. — To rejony turystyczne. Mnóstwo obcych się pęta i nikt nie sprawdza, czy zwiedzają, czy robią rozeznanie. Cerkwie stare, to pewnie i ikony cenne, a nowi Ruscy dobrze płacą. Żeby takich bandziorów złapać, trzeba współpracować. To w końcu trzy duże województwa. A policja nie ma czasu ani ludzi, bo musi biegać za strajkującymi kobietami i za tymi, którym się nie podobają rządowe pomysły. To im od razu podnosi statystyki, a śledztwa długo trwają i trzeba się przy nich napracować. W dodatku nie wiadomo, czy jakiś prokuratorzyna wyświęcony przez naszego najbardziej prawego ministra nie wypuści złapanego z powodu niskiej szkodliwości czynu albo innej głupoty... Dobrze mówię? — Spojrzała na skamieniałego policjanta.

— Skąd, na litość boską, wie pani takie rzeczy? — Storosz z wysiłkiem otrząsnął się ze stuporu i po raz kolejny pomyślał, że nie docenił mądrości kraśnickiego komendanta, który ostrzegał przed tym upiornym damskim tandemem.

— Zięc pracuje w policji — wyjaśniła zadowolona z siebie Malwina. — Dyskutujemy sobie na różne tematy, bo czasem mamy inne punkty widzenia.

Komisarz tylko pokręcił głową i westchnął.

— Na Podlasiu — podjął opowieść — udało się złapać jednego złodzieja. I było prawie tak, jak pani mówi. Delikwent wykonał jeden telefon, pojawił się adwokat ze zgodą prokuratora, wpłacił kaucję i po złodzieju ślad zaginął. Jedną ikonę skradzioną z małej cerkiewki na Podkarpaciu udało się nam odzyskać. Przypadkiem — wyznał. — Nasza drogówka dorwała gówniarza, który jechał jak rajdowiec. Na tylnym siedzeniu leżał pakunek. Myśleli, że to zioło lub jakieś nielegalne dopalacze, bo młody wyglądał na naćpanego, i zajrzeli. Znaleźli obraz i wysłali mi zdjęcie. To była ikona z XVIII wieku. Piękna... Wziąłem smarkacza na rozmowę, ale dowiedziałem się tylko tyle, że zleceniodawcy na oczy nie widział, a łup miał dostarczyć na konkretny adres i dopiero wtedy zainkasować zapłatę.

— Biuro Wrednego Kurdupła? — spytała przejęta Eliza.

— Nie. To był adres kawiarni, której właścicielem jest pewien świetnie dziś prosperujący zamojski biznesmen. Doskonale znany policji z wcześniejszej działalności, a teraz brylujący wśród lokalnych polityków...

— Nowa elita — mruknęła z obrzydzeniem Malwina.

— Zaczęliśmy się przyglądać klientom lokalu — kontynuował Storosz. — I tak trafiłem na Barbarę Mazurek. Szybko ustaliłem, czym się zajmuje i gdzie mieszka. Dowiedziałem się, że niejaka Dorota Zawojska, siostra pani Mazurek, urzędowała naszemu biznesmenowi rezydencję, a Bogusław Mazurek, jej mąż, rejestrował w sądach wpisy nabywanych przez niego nieruchomości do ksiąg wieczystych...

— Dorze zlecenia podrzucała siostra. Brała od tego prowizję, a była pazerna — zachnęła się Malwina. — Dora robiła projekt, czekała na zatwierdzenie przez klienta, a resztą zajmowała się opłacana przez nią ekipa. Sama zamawiała tylko wybrane wyposażenie i na koniec sprawdzała efekt pracy. Miała kontakt z klientem na początku przy podpisywaniu umowy i na końcu, kiedy oddawała gotowy lokal. Poza tym... Wie pan, tak się zastanawiałam i myślę, że gdyby chciała ubić Wrednego Kurdupła, zrobiłaby to dawno temu. Teraz już jej się wszystko uleżało... Niech pan tak na mnie nie patrzy, bo więcej i tak nie powiem! — fuknęła, kiedy zerknął na nią pytająco. — Nie wierzę, że Dora pozwoliłaby sobie na jakieś lewizny. Znała tę gangrenę od dziecka. Nie dałaby siostrze bronii przeciwko sobie.

— Zawojska robiła dla niego tylko jeden projekt. Tę rezydencję. Szybko z niej zrezygnowałem — uspokoił ją komisarz. — Sprawdziłem te wpisy do ksiąg wieczystych. Wszystko się zgadza. Facet lokował kapitał w nieruchomościach. Kupował mieszkania notarialnie, jego prawo. — Wzruszył ramionami. — Ale Barbara Mazurek bywała u niego dużo częściej niż inni, a te wizyty trwały dziwnie krótko.

— Myśli pan — Elizę aż zatchnęło z wrażenia — że była zamieszana w ten przemyt? Że coś mu dostarczała albo od niego odbierała? I przez nią chciał pan dopaść tego szemranego biznesmena?

— Szemrany biznesmen ma układy i stać go na dobrego adwokata... Nie. Chciałem się dowiedzieć, jak oni to robią. Bo jestem pewien, że ikony od nas wychodzą, ale nie wiem jak. Jeśli się tego dowiem, za jednym zamachem dorwę kuriera i zamknę kanał przerzutu. Ktoś zacznie mówić. I może uda się odzyskać przynajmniej część skradzionych obrazów. — Storosz zacisnął pięści.

— Gdyby ukradli cokolwiek z pałacu biskupiego, połowa policji miałaby zajęcie — mruknęła ponuro Eliza.

— Uważa pan, że Wredny Kurdupel miał współnika w tej artystycznej Kolonii — stwierdziła po namyśle Malwina i pokiwała głową. — Może pan mieć rację. Też myślę, że mają u siebie jakąś czarną owcę. I chyba mam na to dowody... Nie! — Zamachała gwałtownie rękami. — Jeszcze nie wiemy, kto to

jest, ale jest na pewno. I na razie nic więcej nie powiem, bo muszę najpierw pogadać z Domišką. Wytrzyma pan do jutra?

— Wytrzymam. — Komisarz wziął głęboki oddech i wypalił: — Czy mogłyby panie poprosić panią Dominikę, żeby mnie przez kilka dni traktowała jak dalekiego kuzyna? Będę miał papiery na nazwisko Zawada i w ramach turystyki zwiedzał Roztocze. Nie muszę nocować w domu. Mogę rozbić namiot w pobliżu, żeby pań nie krępować. Chodzi tylko o to, żebym mógł legalnie kręcić się po Kolonii bez zwracania na siebie większej uwagi... Wiem, że to może być trudne... I właściwie nie mam prawa o to prosić...

Nie umknęło jego uwadze, że w oczach obu kraśniczanek błysnęła ekscytacja i coś, czego nazwać nie potrafił, ale co go zaniepokoiło.

— Myślisz, że damy radę przekonać Domiškę? — W głosie Elizy dźwięczała niepewność.

— We dwie? No jasne! — Malwina nie miała cienia wątpliwości. — Zawsze potrafiłyśmy ją namówić na każdą głupotę. Na tym odludziu za dużo okazji nie miała, powinna się skusić.

— Ostatnio jakby trochę się skusiła — szepnęła Eliza niespokojnie.

— No widzisz? Każdy ją namówi do głupoty... Udawać umie. Działała razem z nami w szkolnym teatrzyku. Tylko najpierw musimy zrobić próbę generalną, żeby nie wyszło sztucznie... Imię pan sobie zostawia?

— Zostawiam. — W komisarzu narastało coraz większe z wątpienie. Najchętniej by się wycofał ze swojej propozycji, ale już widział, że to niemożliwe. Upiorne baby złapały haczyk i trzymały go mocno. — To może być niebezpieczne — wyszemrał. — I nikt nie może się dowiedzieć, kim naprawdę jestem.

— Już pan to mówił — przypomniała Malwina niecierpliwie. — Coś jeszcze Domiśka musi wiedzieć o tym niby kuzynie?

— Adam Zawada, lat czterdzieści sześć, wypalony pracownik korporacji prawniczej, od dwóch lat bez etatu. Żyje z wypracowanego wcześniej kapitału, mieszka w Lublinie. Większość roku spędza na łonie natury — wyrecytował Storosz i od razu zapytał: — Ja też powinienem coś więcej wiedzieć o kuzynce? Bo wiadomo mi, że Dominika Kurlej, córka Jana i Celiny, pochodzi z Kraśnika, w Krakowie skończyła ASP i jest rozwódką.

— No i tu może być problem — zatroskała się Eliza. — Bo wie pan, Ginter, ten jej były, też mieszka w Kolonii. Z tego, co Domiśka mówiła, długo ze sobą nie byli, ale pewnie poznał jakąś jej rodzinę. Może się zdziwić, jak mu się nagle objawi nieznany kuzyn.

— Bo to najpierw trzeba przemyśleć — oświadczyła stanowczo Malwina. — Ogólne zarysy przedstawienia są, ale trzeba rozpisać role... Zrobimy tak: wracamy do wsi, pogadamy z Domišką, dopracujemy szczegóły i zadzwonimy do pana. Tylko musi nam pan dać namiary na siebie.

16 KWIETNIA, PÓŹNE POPOŁUDNIE, RADLINIEC-KOLONIA

— Nie! Nie ma mowy! Zwariowaliście chyba! — Dominika wymachiwała rękami, jakby chciała odpędzić od siebie to, co właśnie usłyszała. — Mam wpuścić do domu obcego faceta i udawać, że to moja rodzina?! Mam oszukiwać ludzi, z którymi mieszkam od kilku lat i którym ufam?! — Złapała się za głowę w geście rozpacz. — Przecież wiecie, że ja jestem szczerą Kaśką! To gliniarz! Co będzie, jak chłapnę jedno słowo za dużo?! Wszyscy pójdziemy siedzieć! Nie ma mowy! Nie chcę o tym więcej słyszeć! Boże, po co ja was tu ściągnęłam?! I nawet nie mogę was wyprosić, bo jestem, cholera, dobrze wychowana!

— Przystań się miotać jak jakiś paralytyk! — zniecierpliwiła się Malwina, na której ta perora nie zrobiła wrażenia. — Siadaj i słuchaj! Ten gliniarz ma w nosie wasze durne przekręty. Wredny Kurdupel był bardziej pazerny, niż wam się wydawało! Dorabiał sobie w przemyście!

Dominika zastygła, otworzyła szeroko oczy i opadła na kanapę. Przez chwilę milczała, wyraźnie wstrząśnięta, wreszcie zapytała słabym głosem:

— Co powiedziałaś?

— Że w przemyście sobie dorabiał. Wredny Kurdupel — powtórzyła komunikat Eliza, w której myśl, że one też powinny wykazać się dobrym wychowaniem, spakować manatki i czym prędzej zniknąć, walczyła z chęcią osobistego udziału w ulubionej rozrywce.

— Przemyście? Jakim przemyście? — Oczy Dominiki robiły się coraz większe.

— Ikon. Ikony przemycali do Ruskich — wyjaśniła Malwina sucho. — Kradli w cerkwiach na terenie trzech województw, a potem po cichutku przierzucali na Wschód. I nikt ich nie złapał na tej operacji.

— Ale... Baśka?! — Zielone oczy Dominiki osiągnęły szczyt możliwości; wydawało się, że zajmują już pół twarzy i Elizie przemknęło przez myśl, że najmniejszy dodatkowy wstrząs sprawi, że z niej wystrzela.

— Domisiu — podpowiedziała serdecznie — weź głęboki oddech albo chłapnij sobie coś na wzmocnienie, bo nam tu zejdziesz.

Dominika zamrugała, potrząsnęła głową, jakby chciała coś z niej zrzucić, podniosła się ociężale i nieco chwiejnie podeszła do kredensu.

— Wy też? — Wyjęła butelkę Martella i zakołysała nią zapraszająco.

— My nie — odmówiła stanowczo Malwina. — I ty też nie przesadzaj, bo czeka nas jeszcze dużo roboty.

Dominika bez słowa wyjęła z kredensu pękaty kieliszek, z aptekarską precyzją napełniła go w jednej trzeciej, odstawiła z powrotem butelkę i wróciła na kanapę. Odchyliła głowę i wypila jednym łykiem zawartość kieliszka. Złapała oddech, odstawiła naczynie na stół i nieco przytomniej

spojrzała na koleżanki.

— Teraz chyba dam radę — stwierdziła z nadzieją. — Jeszcze raz... Mówicie, że Baśka przemycała ikony, tak? To się kupy nie trzyma! Jak je przemycała? Jechała do granicy i wtykała komuś pod nosem celników...? Zaraz! — Uniosła dłoń, kiedy Malwina otworzyła usta. — Byłam kiedyś w Łańcucie i Supraśli. Obejrzałam ich zbiory. Wiem, że większość tych ikon pochodzi właśnie z odzysku, od tych, którym je skonfiskowano w czasie próby przemytu. Ale to już przeszłość. Granice są szczelne, a celnicy wiedzą, jak szukać. Bella mówiła, że na ikony i zabytki są szczególnie wyczuleni...

— A ta Bella się na tym zna? — przerwała jej Malwina z przekąsem.

— Zna się. Ma bzika na punkcie sztuki sakralnej. Kiedyś nawet myślała, żeby pisać ikony, ale uznała, że inni to robią lepiej od niej i odpuściła. Ma kilku znajomych ikonopisów. Tworzą naprawdę piękne rzeczy, widziałam. Ale to są współczesne ikony. Tych cennych już prawie nie ma poza muzeami, bo i czynnych cerkwi coraz mniej. To skąd ten przemyt?

— O to możesz zapytać Storosza, jak będziesz z nim rozmawiać — odpowiedziała Eliza.

— Ale ja jeszcze nie zdecydowałam, czy będę z nim rozmawiać! — W zielonych oczach Dominiki błysnęła wrogość. — Baśka nie znała się na malarstwie! Jakim cudem mogła się spiknąć z przemytnikami?

— A jakim cudem rozmnożyły się wam te zapałki z czerwonymi łbami? — zapytała sucho Malwina. — A skąd ona wiedziała o was tyle, że wszyscy woleliście płacić, żeby mieć spokój? Może miała tu, na miejscu, pomagiera? Może uznał, że mu już niepotrzebna i dlatego ją skasował? Nie chciałabyś wiedzieć, kto jest tą czarną owcą?

Dominika rzuciła jej złe spojrzenie i zmarszczyła brwi.

— Nie wiem, co bym chciała — stwierdziła po namyśle. — Najbardziej to chyba, żeby było jak kiedyś. Żeby, zamiast Mazurków, mieszkała tu Bella i żeby było normalnie.

— Ale już pozamiatane — zauważyła logicznie Eliza. — Jeden Mazurek siedzi, drugi zszedł. A czarna owca czuje się bezpieczna, bo zatarła ślady i Storosz jej nie capnie. Odczeka trochę i zacznie odrabiać straty. I na Wschód powędrują kolejne nasze zabytki...

— To było wredne, Liza! — Dominika aż podskoczyła. — Dobrze wiesz, jak mnie ten temat wkurza! Za każdym razem, kiedy podają, że znowu coś nam ukradli... Ale nie wierzę, że ktoś z nas przykłada do tego rękę! Baśka może i tak, ale reszta... To niemożliwe!

— Dasz za to głowę? — zapytała cierpko Malwina i dodała niewinnie: — Omówiliśmy temat w drodze powrotnej. Ja bym stawiała na malarza. Podejrzewam, że Storosz myśli tak samo, bo nie bez powodu się tu pcha. Co to za problem zamalować prawdziwy obraz jakimś bohomazem i wypuścić jako legalnie kupiony? Tu jest dwoje malarzy. Ciebie wykluczam, ale nad twoim byłym już bym się zastanowiła.

Dominika spojrzała na nią i zastygła w bezruchu. Prawie było słycać, jak w jej głowie obracają się trybiki, a od furii, która czerwienią rozlała się na jej policzkach, gęstnieje powietrze.

Przyjaciółki obserwowały ją z napięciem i na bezdechu, zaciskając ukradkiem kciuki.

— Aaaaa! — zawyła nagle wściekle Dominika i zerwała się z kanapy. — Zabiję gada! Dawajcie tego gliniarza! Wszystko mu powiem! To, co wiem, i to, co mi się wydaje! Opluję gada jak lama! Z każdej strony!

— A co wiesz? — zainteresowała się ostrożnie Eliza.

— Przyjeżdżała tu taka jedna. — Dominika zaczęła chodzić po pokoju, wymachując rękami. — Klientka. Lucjusz się przechwalał, że wielbicielek abstrakcji. I że dobrze płaci. Na pewno jej coś sprzedał, bo widziałam, że wychodziła od niego z pakunkiem... Jak mogłam być taka głupia! Nikt normalny by czegoś takiego nie powiesił w domu! W obejściu też nie, bo każdy byk dostałby szału!

— Dlaczego akurat byk? — nie zrozumiała Eliza.

— W swojskich obejściach hodują zwykle nierogaciznę na użytek własny. Byki są chyba dość kłopotliwe — mruknęła Malwina, rzuciła przyjaciółce ostrzegawcze spojrzenie i zniżyła głos: — Obawiam się, że przy tym Lucjuszu mózg jej się zacina. Nie ciągnij tego tematu, Liza.

Dominika w ogóle nie zarejestrowała ich wypowiedzi i kontynuowała:

— Stado zaspanych bawołów poderwałoby się do ucieczki na widok tej obfitości czerwieni! Gdyby nieboszczyka przytrzasnęli Lucjuszowym arcydziełem zamiast wieka, przelałby pod ziemią na inną kwaterę, byle go nie oglądać! Najspokojniejszy człowiek na świecie zamieniłby się w agresywną bestię, gdyby musiał codziennie patrzeć na te bohomazy! — Zatrzymała się gwałtownie, spojrzała na pusty kieliszek i tęsknie powiodła wzrokiem po kredensie. — Nie! — Potrząsnęła energicznie głową. — Uchlam się ze szczęścia dopiero, jak go wsadzą! Baśka niech mu lekką będzie, ale przemytu nie daruję zwyrodniałemu beztalenciu! — Zrobiła zwrot w tył i obdarzyła milczące kraśniczanki spojrzeniem o dużym amperażu. Wyglądała jak rozwścieczona walkiria. — Dawajcie tego gliniarza! Niech przyjeżdża jak najprędzej!

— Wyluzuj, Domiśka — powiedziała stanowczo Malwina. — Siadaj, bo musimy dopracować szczegóły, zanim pogadasz ze Storoszem. — Kiedy pod naciskiem jej wzroku rozszalała Dominika klapnęła ciężko na kanapę, kontynuowała: — Teraz słuchaj, bo to ważne. Wyobraź sobie, że to przedstawienie, jak w liceum. On się nazywa Adam Zawada, ma czterdzieści sześć lat i jest twoim kuzynem. Dalekim, ale jednak. Nie widziałas go od lat. Coś tam ci się obilo o uszy, że skończył studia i pracował w lubelskiej korporacji prawniczej...

— I świetnie mu się powodziło — wtrąciła Eliza.

— Zgadza się. — Malwina kiwnęła głową. — No więc kasy miał jak lodu, bo

singiel i nie musiał utrzymywać rodziny, ale nagle stwierdził, że ma dość i rzucił robotę. Pamiętasz z dzieciństwa, że zawsze ciągnęło go do przyrody. Nie odpuścił żadnego obozu wędrownego. — Malwina puściła wodze fantazji, by nadać postaci fikcyjnego kuzyna więcej cech prawdopodobieństwa. — Razem włóczyliście się w czasie wakacji po okolicy, nocowaliście w lesie. Nauczył cię obserwować przyrodę... Kurczę, przydałyby się jakieś wspomnienia, żeby to kuzynostwo jakoś ożywić... Żebyś się bardziej wczuła...

— Raz mnie wrzucił do stawu koło domu dziadków — podsunęła słuchająca z uwagą Dominika. — Przestraszył się, jak zaczęłam się topić, więc nauczył mnie pływać.

— Umiesz? — Eliza spojrzała na nią z zazdrością.

— Pewnie! Jak ryba! — zaśmiała się koleżanka. — Dawaj dalej, Malwina! Czuję się, jakbym znowu była w liceum!

— Sama dawaj. — Malwina powstrzymała uśmiech zadowolenia.

— Czekaj, może to kuzynostwo niech będzie takie przyszywane, co? — Dominika rzuciła jej pytające spojrzenie. — Że niby mieszkał po sąsiedzku z moimi dziadkami, a na jego rodziców mówiłam ciocia i wujek? Też mógł przyjeżdżać na wakacje do rodziny. Może przesadzam, ale gdyby Ginter zadzwonił do mojej matki, to ona wyklepałaby mu całą rodzinną genealogię.

— To ona z nim rozmawia? — zgorszyła się Eliza. — Po rozwodzie powinna słuwać na jego widok!

— Toteż on u niej nie bywa, tylko dzwoni okazjonalnie. Z życzeniami świątecznymi albo imieninowymi. Jest zbyt dobrze wychowana, żeby rzucać telefonem. No i w sumie to ja się rozwiodłam, bo nie miałam ochoty dopieszczać jego artystycznych dołów... Jak myślisz, Malwina? Dobrze wymyśliłam?

— Dobrze wymyśliłaś. O kuzynie powinnaś wiedzieć więcej z rodzinnych opowieści, a z takich dziecińczych znajomości przeważnie się wyrasta. Gdybyście musieli publicznie coś sobie przypominać, macie prawo do pomyłek. Każde może pamiętać co innego. Tylko miejsce musicie uzgodnić. Dziadków miałaś w Urzędowie, o ile dobrze pamiętam?

— Dobrze pamiętasz — przytaknęła Dominika. — I oboje już nie żyją, a dom dawno sprzedany. Zresztą Ginter nigdy tam nie był. Matka wolała się nie chwalić moim szybkim małżeństwem i jeszcze szybszym rozwodem. W rodzinie funkcjonuję jako stara panna. Albo zaprzysięgła singielka. Ewentualnie jako trzepnięta na umyśle malarka z bożej łaski... Zaraz! Czekaj! — ocknęła się nagle. — On tu ma zamiar trochę posiedzieć, tak? To gdzie ja go położę? Wy śpicie w jednym pokoju, ja w drugim. Niby miejsce jest, bo dwie kanapy, ale jakoś tak głupio z obcym facetem... Na strychu nie ma na czym spać... Kurczę, może być problem...

— Na wszelki wypadek utknij gdzieś ten obrazek z siekierą w Mazurkowym łbie — poradziła Eliza. — Zobacz niechęć i pomyśli, że psychopatka jesteś.

— W razie czego przeniesiemy się do ciebie — stwierdziła Malwina. — Te

parę dni na jednej kanapie jakoś wytrzymamy, a on zajmie nasz pokój.

— A koty? — zatroskała się Eliza.

— Koty mu szybko wytłumaczą, kto tu rządzi. — Malwina wzruszyła ramionami.

— No to dzwo... Nie! — Dominika zmarszczyła brwi. — Jeszcze jednego mi nie powiedziałyście. Jak on wygląda? Jakiś wybrakowany? Bandycka mordą? Tępy gliniarz?

— Przestań! — Eliza przewróciła oczami. — Przystojny facet, sportowo zadbany, inteligentny i z poczuciem humoru. Wcale nie wygląda na gliniarza!

— No dobra. To dzwońmy. — Dominika odetchnęła z wyraźną ulgą i podejrzaną satysfakcją.

17 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA

Wszystkie trzy wstały niewyspane i przy śniadaniu ziewały rozdzierająco. Dominika przez pół nocy wyobrażała sobie byłego małżonka siedzącego w jednej celi z mało przyjemnymi wizualnie i kulturowo przedstawicielami najgorszego marginesu. Choć głośno nigdy by się do tego nie przyznała, świadomość własnej głupoty gryzła ją do dziś. Co jej w ogóle strzeliło do głowy, żeby wychodzić za Lucjusza? Bo wiecznie potrzebował pomocy, a ona jakoś musiała zagospodarować swoją empatię? Bo, ugłaskana wyszukаныmi komplementami, z zapałem i dumą wykorzystywała swój talent, ślęcząc po nocach nad rysunkami i szkicami, które potem przedstawiał jako własne? Bo, zanim przestało mu zależeć, wykazywał się w łóżku dużą inwencją? Bo twierdził, że wielbi jej tycjanowskie włosy, których barwa napsuła jej tyle krwi w liceum? Dlaczego od razu nie dostrzegła fałszu w tym wszystkim? Dora akurat wtedy nie widziała świata poza swoim Bogusiem, ale Bella radziła, żeby Domiśka nie śpieszyła się z małżeństwem, dopóki porządnie nie przetestuje przyszłego ślubnego. Cholera, mogła wyjść za Mikołaja. Może on i nieogarnięty życiowo, ale serce ma na dłoni, a o obłudzie nigdy nie słyszał... Swoją drogą... Ciekawe, kto Lucjuszowi dał cynk, że zamierzają się tu osiedlić? Na pewno nie Bella, tego Dominika była pewna. Bella była mądra i doskonale знаła się na ludziach, a za Ginterem nigdy nie przepadała. Dora? Miki? Bruno? Może i Dora. Oszałała na punkcie tego miejsca, a gdy wyliczyli, że potrzebują minimum sześciorga osadników... Tak, Dora na swój sposób była równie bezwzględna, jak Baśka, kiedy czegoś chciała. Nigdy się nie poddawała, jeśli na czymś jej zależało...

Malwina i Eliza w nocy długo dyskutowały, nim wreszcie zasnęły. Próbowaly dopasować uzyskaną od Storosza wiedzę do własnych obserwacji. W końcu doszły do wniosku, że najbardziej podejrzany jest rzeczywiście były małżonek Dominiki. Jako ostatni przyznał się do wylosowania felernej zapalki, więc może zamiana była jego sprawką. Domiśka upierała się, że jego obrazy niespecjalnie się sprzedawały. Mógł sobie dorabiać przemysłem, a Wrednego Kurdupła ubił, żeby się nie dzielić... Tyle wymyśliły, nim zmorzył je sen. Obie wstały niewyspane, bo śniło im się, że osobiście brały udział w akcji zatrzymania na granicy grupy przemytniczej i zdołały tego dokonać, nim pojawił się komisarz ze wsparciem.

Teraz, po wypiciu kawy, wszystkie trzy siedziały na schodkach ganku, niecierpliwie wypatrując przybycia Adama Storosza. W Dominice rosła determinacja, by wyrzucić na nim jak najlepsze wrażenie. Nie tylko dlatego, że głos, który usłyszała przez telefon, wydał się jej bardzo przyjemny w odbiorze — w przeciwieństwie do Lucjuszowego, który przypominał krótkie

szczeknięcia. Dominika doskonale pamiętała, jak bardzo to małżeństwo podkopało jej poczucie wartości. Po rozwodzie doszła do wniosku, że nie zaryzykuje drugi raz. Optymizm, empatia i wrodzona pracowitość to nie jest dobry posąg dla kobiety. Były małżonek nie omieszkał jej tego wytknąć. To, co zawsze uważała za zalety, określił mianem głupoty, a ona wcale nie miała pewności, czy przypadkiem nie miał racji. Dziś zamierzała udowodnić całemu światu — a przede wszystkim sobie — że wcale nie jest taka głupia, jak niektórym się wydaje. A wisienką na torcie będzie uświadomienie tego faktu cholernemu Lucjuszowi. Będzie miał co rozpamiętywać w celi.

Malwina i Eliza ukradkiem obserwowały wyrazistą twarz Dominiki, obawiając się, że w ostatniej chwili zrezygnuje i nie tylko pozbawi je rozrywki, ale i popsuje śledztwo. Dopóki w zielonych oczach co jakiś czas migotały bojowe błyski, wszystko było w porządku. Ale jednak komisarz powinien się sprężyć z przyjazdem. Jeszcze z czasów licealnych przyjaciółki pamiętały, że Domiśka miewała zmienne nastroje.

Drzwi domostw po drugiej stronie drogi były szeroko otwarte. Od chwili, kiedy wyszło na jaw zapałkowe fałszerstwo, mieszkańcy Kolonii powrócili do normalnego życia. Z chałupy, którą zajmował Mikołaj Gałuszko, dochodziło melodyjne, skoczne pogwizdywanie.

— Ten wasz Miki to taki trochę nieogarnięty życiowo, co? — zagadnęła ostrożnie Malwina, zerkając pytająco na zamyśloną Dominikę.

— Co? — Koleżanka, wyrwana z zadumy, zamrugała oczami, a kiedy dotarła do niej treść pytania, zjeżyła się wyraźnie. — A niby dlaczego? Sam zarobił na mieszkanie tutaj. Razem odnawialiśmy te starocie, co u mnie stoją. Z Brunonem pomagali nam stawiać płoty. Jak trzeba było kogoś odpowiednio zmiękczyć, zawsze wysyłaliśmy Mikołaja. Jego uśmiech, taki z samego serca wydłubany, na każdym robi wrażenie... Cholera! — Zesztywniała nagle. — Jak ma na imię ten mój niby-kuzyn?

— Adam. Jak ten bałwan z rajy — przypomniała Malwina i spojrzała na nią z obawą. — Domiśka, nie wariuj. To nie jest rola na Oscara. Najwyżej podziękowania od policji dostaniesz.

— Adaś. Jak ten od Makuszyńskiego — podpowiedziała z rozmarzeniem Eliza. — Pamiętasz? Adaś i Wanda... Mój Boże, jacy oni oboje piękni byli...

— Liza, dzięki! — Oczy Dominiki błysnęły. — Zrobiłaś mi rolę! Już wiem, jak wiarygodnie zagrać początek. Potem to już pełna improwizacja, ale początek musi być wiarygodny. Wszyscy będą się na nas gapić, nie mogę tego skopać...

Zanim Malwina zdążyła się upewnić, co dokładnie ma na myśli, z domu naprzeciwko wypadł, klnąc głośno, obrośnięty Bruno.

— Co się stało? — Empatia Dominiki natychmiast poderwała ją ze schodka. — Zraniłeś się w rękę?

— W konto się zraniłem! — huknął Bruno, wyrzucając w geście bezsilności ręce ku niebu. — Ta cholerna pandemia! Zamykają galerie! Kogo obchodzi sztuka?! Wszyscy kupują tylko żarcie i leki!

— Skąd wiesz? — zapytał zaskoczony Mikołaj, który usłyszał jego podniesiony głos i od razu przybiegł, by zdusić konflikt w zarodku.

— Dzwoniłem do Pauliny, żeby się dowiedzieć, kiedy mogę się spodziewać kasy za te dwie rzeźby, które ma u siebie. — Głos Brunona był ponury. — Powiedziała, że nieprędko. Turystów ani śladu, a galerie, wystawy i muzea pozamykane i nie wiadomo, kiedy otworzą. Z powodu pandemii...

— Bo mówiłem, że trzeba się cenić. — Ginter, który pojawił się za nim jak duch, spojrzał z wyższością na wszystkich. — Ja maluję tylko na zamówienie i od razu biorę zaliczkę!

— Bruno, nie denerwuj się. — Dominika rzuciła byłemu mężowi złe spojrzenie i złapała za ramię rzeźbiarza, który już zaczął się odwracać z miną sugerującą mało przyjazne zamiary. — Jak jesteś pod kreską, to ci pożyczę. Oddasz, kiedy będziesz miał... A w ogóle to musimy pomyśleć i wykombinować jakąś alternatywę, żeby przetrwać najgorsze. Bo rzeczywiście może być nieciekawie.

Siedząca na ganku Malwina szturchnęła zagapioną przyjaciółkę.

— Cholera — mruknęła zirytowana — akurat teraz musiał wyskoczyć z tymi problemami egzystencjalnymi. Za grosz wyczucia! No, ale czego się spodziewać po facecie...

— A co on winien, że teraz go dopadło? — oburzyła się Eliza. — Ma kłopot, to się wywnęrzył.

— No właśnie! — fuknęła ze złością Malwina. — I Domiśka, zamiast wczuwać się w rolę, zafiksuje się na cudzych problemach!... Ten Storosz na piechotę idzie czy co? Już powinien tu być!

Eliza syknęła ostrzegawczo, bo z chałupy obok wyszła Dora Zawojska. Wyglądała, jakby całą noc nie spała.

— Co się stało? — Spojrzała ze strachem na stojącą na drodze gromadkę.

— Jeszcze nic, ale jak nam się kasa skończy, to możemy mieć problem — poinformowała ją z westchnieniem Dominika. — Paulina zamknęła galerię. Z powodu pandemii. Możemy się chwilowo pożegnać z zarobkiem.

Dora wzruszyła ramionami.

— Jest nas sześcioro...

— Pięcioro chyba — zauważył przytomnie Miki. — Wredny Kurdupel nie żyje, a Boguś...

— Myślałam raczej o Belli. Jestem pewna, że w razie czego nam pomoże...

— Mnie nie licz! — zażądał kategorycznie Lucjusz Ginter. — Mam swoje plany i każdy grosz jest mi potrzebny!

— Lucjusz! Spieprzaj stąd, ty samolubna gnido! Ale już, bo cię uduszę gołymi rękami! — warknęła wściekle Dominika i oczy jej się rozjarzyły furją, kiedy spojrzał na nią lekceważąco.

— Ja ci pomogę — powiedzieli jednocześnie Bruno i Mikołaj, zaciskając pięści.

Dopiero wtedy Ginter pośpiesznie ewakuował się do domu i zatrzasnął za

sobą drzwi. Dora westchnęła.

— To idiota... Pogadam z Bellą. Nie narzeka na brak zamówień. W razie czego podrzuci nam jakąś chałturę. A na razie... Biedy nie cierpię. Podzielę się z wami tym, co mam. Rozliczymy się, jak to wariactwo się skończy...Są gorsze rzeczy... — Urwała raptownie. — Damy ra...

Tym razem przerwał jej warkot samochodu. Wszyscy odruchowo z niepokojem skierowali spojrzenia w stronę, z której dochodził, i zobaczyli nadjeżdżające wolno, dziwnie wyglądające auto. Na jego dachu zamontowany był bagażnik, a w nim tkwił solidnie przymocowany rower.

— Pan Samochodzik przyjechał w odwiedziny? — wyrwało się Mikołajowi, który wielkimi oczami wpatrywał się w pojazd.

Samochód zatrzymał się przed domostwem Mazurków. Przez chwilę nic się nie działo, a potem wyskoczył z niego sportowo ubrany mężczyzna w czapce z daszkiem. Nie zwracając uwagi na zgromadzenie, pośpiesznie przeszedł na stronę pasażera, otworzył szeroko drzwiczki i głośno powiedział:

— No i dojechaliśmy. Wygląda, jak wygląda, ale jeszcze nigdy mnie nie zawiodła. — Odczekał, aż jego pasażer wygramolił się na zewnątrz i dopiero wtedy rozejrzał się wokół. Na widok wiejskich chałup rodem z głębokiego PRL-u oczy mu się zaokrągliły, a kiedy dostrzegł wpatrzoną w siebie gromadkę, odezwał się grzecznie: — Dzień dobry, pań... — Nie dokończył, utkwiał wzrok w Dominice i niepewnie zapytał: — Czy to... Domisia? To ty?

Malwina i Eliza siedziały na schodkach jak skamieniałe, bo nie mogły oderwać oczu od zgarbionego mężczyzny, ku któremu z piskiem radości rzuciła się Dora Zawojka.

— Boguś! Wróciłeś! Dlaczego nie zadzwoniłeś? Pojechałabym po ciebie! Nie idź do domu! Chodź do mnie, nakarmię cię, bo pewnie głodny jesteś... No, chodź! — Złapała go za ramię i pociągnęła za sobą.

Spłoszona Dominika rzuciła rozpaczliwe spojrzenie na swoje koleżanki w nadziei, że w jakikolwiek sposób potwierdzą, że ten przystojny, kompletnie nieznajomy facet jeżdżący dziwnym samochodem jest na pewno owym komisarzem policji, z którym wczoraj rozmawiała telefonicznie. Zagapione w Bogusia kraśniczanki nie odebrały jednak sygnału i Dominika zrozumiała, że musi liczyć tylko na własną inteligencję. Przypomniał się jej pogardliwy wzrok Gintera i poczuła, że wraca jej przytomność umysłu. Błysk niepokoju w oczach nieznajomego zmusił ją do działania.

— Adaś? — Za niedowierzanie i szok, które pojawiły się na jej twarzy, powinna dostać Oscara. — Adaś! — wrzasnęła i rzuciła się ku obcemu facetowi z wyciągniętymi ramionami.

Bruno i Mikołaj przyglądali się w milczeniu, jak oboje się ściskają i poklepują czule po plecach, wydając powitalne okrzyki. Nawet Lucjusz stanął w uchylonych drzwiach swojej chałupy, obserwując podejrzliwie czułą scenę. Tylko obie kraśniczanki siedziały na schodkach ganku jak kamienne posągi i wpatrywały się w siebie ze zgrozą.

— Wieki cię nie widziałam! — Dominika miała rozpromienioną twarz i nie odrywała oczu od przybysza. — Obiło mi się o uszy, że zostałeś prawnikiem. Co tu robisz? Wyciągnąłeś Bogusia z mamra i będziesz go bronił?

— Bogusia? Jakiego Bogusia? — Rzekomy Adaś zamrugał oczami, pozorując całkowite niezrozumienie. — Domisia, ja tu trafiłem zupełnym przypadkiem! W życiu bym nie pomyślał, że spotkam akurat ciebie! Myślałem, że wyszłaś za mąż i mieszkasz dalej w Kraśniku! Albo wyjechałaś za granicę i tarzasz się w luksusach... Co to właściwie jest? Jakiś ekologiczny skansen?

Malwina i Eliza ocknęły się ze stuporu, powstrzymały odruch, by zaciągnąć komisarza do domu i poinformować go o nowych okolicznościach, jakie się pojawiły, i w milczeniu obserwowały, jak rozwinie się sytuacja. Obie poczuły dumę, widząc jak dobrze radzi sobie Dominika, ale umiejętności aktorskie Storosza je zaskoczyły. Gdyby o niczym nie wiedziały, uwierzyłyby święcie w przypadkowe spotkanie dawnych znajomych.

— Nie! — Dominika się zaśmiała. — To nasza artystyczna Kolonia. Wszyscy jesteśmy po ASP i tu sobie znaleźliśmy miejsce do życia... Gdzie mieszkasz? Dalej w Lublinie?

— I tak, i nie. — Pokręcił w zakłopotaniu głową. — W Lublinie mam stały adres, ale większość roku spędzam na wędrownkach. Tym razem padło na Roztocze.

— Masz tyle wolnego czasu? — Dominika uniosła brwi. — Myślałam, że prawnicy to najbardziej zapracowani ludzie na świecie. Myliłam się?

— Nie myliłaś — przyznał i westchnął. — Dwa lata temu odszedłem z kancelarii. Wypaliłem się. Dyspozycyjność dwadzieścia cztery godziny na dobę, nieciekawi klienci, atmosfera ciągłej rywalizacji w firmie... Przestałem wierzyć, że to, co robię, ma jakiś sens. Opuściłem. Kasy mam dość, żeby się nie martwić o przyszłość, rodziny na utrzymaniu żadnej. — Wzruszył ramionami. — Uznałem, że muszę się zresetować, bo inaczej do końca życia będę tkwił w tym kieracie... A co u ciebie? Czekaj... ASP? Fiu, fiu! Malujesz? Rzeźbisz?

— Maluję. Przez chwilę byłam mężatką, ale szybko mi przeszło. Od kilku lat mieszkam tutaj i bardzo sobie to chwaleb... Jakim cudem udało ci się wpaść na Bogusia?

— To ten facet, którego przywiozłem? — upewnił się Adam, zerkając ukradkiem na dwóch mężczyzn, którzy stali z założonymi na piersiach rękami i wyglądali, jakby w każdej chwili byli gotowi go stąd wyrzucić. — W Zwierzyńcu miałem zaklepane noclegi na tydzień. Na miejscu okazało się, że z powodu nowych przepisów mnie nie przyjmą. Odebrałem zaliczkę i zacząłem się turlać przez miasto w nadziei, że coś wypatrzę. Mam ze sobą namiot, wystarczyłby mi mały kawałek łączki... Kiedyś było łatwiej biwakować. Teraz strach gdziekolwiek się rozłożyć, bo wszystko jest czyjeś... — Westchnął z nieudawanym żalem. — No więc jechałem sobie powolutku i na ulicy wpadł mi w oko facet, który wyglądał, jakby się zgubił...

— On na piechotę nie umie — mruknął z pogardą Bruno, który słuchał uważnie, nie spuszczać oka z obcego. — Musiałby mieć wszczepiony GPS... Zaraz! Komórkę chyba miał? — zapytał podejrzliwie. — Nie oddali mu?

— Mówił, że mu się rozładowała — wyjaśnił Adam. — No to zaproponowałem podwózkę. Pokazał drogę i tak tu trafiliśmy. To chyba taki najgłupszy nie jest... Domisia, znasz kogoś, kto by mnie przenocował na trochę? Nie jestem bardzo uciążliwy. Mogę spać w namiocie. Albo w stodole. Przeważnie biorę plecak i znikam na całe dni. Tylko żebym mógł gdzieś samochód zostawić...

— A co to za marka? — Mikołaj nie wytrzymał, zbliżył się do dziwnego wehikułu i ostrożnie poklepał kremową karoserię.

— Škoda Octavia z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego — oświadczył Adam z wyraźną dumą. — Karoseria oryginalna, siedzenia i kierownica też, a resztę trochę... uwspółcześniłem.

— Ile wyciąga? — zainteresował się Bruno.

— Wcześniej ledwie stówę, ale po przeróbkach sto osiemdziesiąt bez wysiłku. A może i więcej, ale nie próbowałem. Czasu mam dużo, nigdzie mi się nie śpieszy. — Adam wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

Dominika mimowolnie też się uśmiechnęła. Nagle poczuła się tak, jakby go znała od lat i całe napięcie z niej wyparowało. Już otwierała usta, by go zaprosić do siebie, kiedy zza pleców Brunona dobiegł irytujący, szczekliwy głos:

— Po co ci taki złom? Prawnika nie stać na porządny samochód?

Spojrzenie Adama przemknęło po Dominice, której oczy pociemniały ze złości, i zogniskowało się na chudym dryblasie w zarzuconym na dzinsy i podkoszulek fartuchu zdobnym w krwiste plamy. Dryblas ewidentnie traktował go jak rywala, bo na ustach miał złośliwy uśmieszek, a w oczach wyzwanie. Komisarz natychmiast zorientował się, kogo ma przed sobą. Zaprezentował przyjazny uśmiech i spokojnie odpowiedział:

— Pozory myślą. Gdyby mi Domisia nie powiedziała, że tu mieszkają absolwenci ASP, mógłbym cię wziąć za rzeźnika. — Bruno obejrzał się na Gintera i zarechotał basem, a Mikołaj uśmiechnął się szeroko. — Za te pieniądze, które włożyłem w przeróbkę, mógłbym kupić dobrej klasy samochód. Tylko po co? Żeby zaimponować komuś, kto mnie nie obchodzi?

— Nie znam cię! — warknął wrogo Ginter. — Domiška nigdy o tobie nie opowiadała!

Adam zrobił minę, jakby dokonał niespodziewanego odkrycia. Pokiwał głową.

— Jesteś jej byłym mężem? Nie przejmuj się, ja też cię nie znam.

Dominika nie wytrzymała i parsknęła śmiechem, widząc skomplikowaną minę byłego małżonka. Chyba po raz pierwszy w życiu nie udało mu się wytrącić rozmówcy z równowagi.

— Spadaj, Lucjusz — rozkazał Bruno, w którego ciemnych oczach błysnęło

uznanie. — Prawnika nie przegadasz. — Wyciągnął do Adama żylastą dłoń. — Ja jestem Bruno, a to Miki. Ja rzeźbię, on robi ceramikę. Ten, co go przywiozłeś, to Boguś, a ta, która go zabrała: Dora. Domiśka ma gości. Jeśli się nie pomieścicie, możesz się zatrzymać u mnie albo u Mikołaja. Lucjuszem się nie przejmuj.

— Adam Zawada. — Komisarz oddał uścisk obu panom i spojrzał pytająco na Dominikę.

— Chodź. Najpierw cię nakarmię, a potem pomyślę. Samochód przestaw pod moją chałupę. To ta. — Machnęła ręką ku gankowi, na którym było już pusto, chwilę wcześniej bowiem kraśniczanki udały się do kuchni na pośpieszną naradę.

Dominika poczekała przed domem, aż jej gość podjedzie na wskazane miejsce, i razem weszli do domu. W kuchni już krzątały się Malwina i Eliza. Na widok komisarza wyprostowały się gwałtownie i jednym głosem oznajmiły:

— Mamy problem.

— Jaki? — Storosz od razu wyczuł ich napięcie, ale jego głos był spokojny.

— Rozpoznałyśmy wdowca po Wrednym Kurduplu — odparła Malwina ponuro.

— Widzieliśmy go w zwierzyńskim parku tego dnia, kiedy Kurdupel miał wypadek — dodała zdenerwowana Eliza.

— I nie był wtedy sam!

— Ta baba, co mu groziła, była dużo młodsza od niego!

— Boguś?! — Zszokowana Dominika opadła na krzesło, wodząc oczami od jednej do drugiej. — Co wy mówicie?! Może wam się coś pomyliło?

— Nic nam się nie pomyliło — fuknęła rozżłoszczona Malwina. — Uważasz, że obie miałyśmy zwidy? Nie miałyśmy wtedy pojęcia, że to ten niewidzialny Mazurek. Dopiero dziś, kiedy wysiadł...

— Wtedy też miał taką sponiewieraną minę — wtrąciła Eliza. — Ona się darła, groziła, że wszystko jej powie i że on coś jej obiecał, a on wyglądał, jakby z niego powietrze zeszło...

— Najpierw nam się wydawało, że to sprzeczka kochanków — weszła jej w słowo Malwina — ale teraz mamy wątpliwości.

— Dlaczego? — zapytał komisarz, siadając na drugim krześle.

— Bo...

— Dziesięć tysięcy — szepnęła ogłuszona Dominika, przerywając Malwinie, która przymierzała się do dłuższego wywodu. — Dora mówiła, że Boguś musiał pilnie pożyczyć od niej dziesięć tysięcy... Myślicie, że go szantażowała? Ta baba?

— Myślmy — przytaknęła Malwina, przełykając urazę. Uważała, że to wyjaśnienie powinien Storosz usłyszeć od nich, nie od Dominiki. W końcu to one zajmowały się śledztwem. Domiśka miała być tylko przykrywką dla obecności policjanta. — Powinien pan sprawdzić konto Mazurka. Może jej dawał kasę do ręki, ale nawet jakby, to i tak musiał wypłacać z banku. Będzie

go pan mógł przycisnąć.

— Sprawdzę — obiecał zamyślony komisarz. — Mogą ją panie opisać? Tę kobietę?

— Malwina jest lepsza w te klocki. Ma oko do szczegółów — powiedziała szybko Eliza i zajęła się szykowaniem szybkiej przekąski.

Malwiny nie trzeba było namawiać. Już otwierała usta, ale ubiegła ją Dominika, która poderwała się z krzesła.

— Zaczekaj chwilę. Zaraz wrócę.

Rzeczywiście po chwili wpadła do kuchni ze szkicownikiem i ołówkiem.

— Możesz mówić.

— Twarz pociągała, podkreślone kości policzkowe... Ale to może być efekt makijażu. Za daleko stali, nie przyjrzałam się dokładnie... Fryzura typu kula. — Malwina pokazała objętość na swojej głowie. — Wystrzępiona grzywka zaczesana w bok. Włosy blond z rudym połyskiem, malowane. — Wydęła usta. — Trudno mi powiedzieć, czy to prawdziwy kolor, czy tylko... Obstawiam naturalny blond plus rude refleksy u fryzjera... Nos prosty, wąski. Oczy duże, jasne. W kształcie migdałów. Niebieskie albo szare, ale głowy nie dam... Usta małe, ale pełne... A, zaraz! Wiek! Jakież dwadzieścia pięć, sześć lat góra. Niewysoka, dodawała sobie wzrostu szpilkami... To chyba wszystko...

— Jakie miała brwi? — zapytała skupiona Dominika, która nie podnosiła głowy znad szkicownika.

— Ciemne. Rzucały się w oczy przy tych jasnych włosach. Profesjonalnie wymodelowane regularne łuki... To chyba tyle. Żadnych znaków szczególnych nie zauważyłam.

— Rany boskie! — Storosz patrzył na nią jak na zamorskie dziwo. — Jak się pani udało zapamiętać tyle szczegółów?

— Tadzio mnie doksztacił. Kolega zięcia, też policjant — wyjaśniła dumna z siebie Malwina. — Jest strasznie pazerny na wiedzę i ciągle się uczy czegoś nowego. Kiedyś mi wytłumaczył, co jest najważniejsze w portrecie pamięciowym. Dla zabawy ćwiczyłam sobie na znajomych. Coraz więcej szczegółów zapamiętuję.

W komisarzu podziw dla jej zdolności walczył ze współczuciem dla nieznanego zięcia, który z pewnością był zmuszany do odpowiadania na niezliczone ilości pytań dotyczących policyjnej roboty. Jego rozterki przerwała Dominika, podtykając Malwinie pod nos gotowy rysunek.

— Podobna?

Malwina z uwagą przyjrzała się szkicowi.

— Włosy jej popraw — zażądała. — Tę grzywkę miała bardziej wystrzępioną. I drobniejsze usta. — Przeczekała poprawki i pokiwała głową. — Teraz idealnie. Zobacz, Liza. — Gestem przywołała przyjaciółkę. — Zdolna ta nasza Domiśka, prawda?

Eliza oderwała się na chwilę od smażenia naleśników i zerknęła na portret.

— Zdolna — przytaknęła. — Jakbym ją widziała.

— A wiecie... — Zamyślona Dominika wpatrywała się w szkic, marszcząc brwi. — Ja też mam wrażenie, że ją gdzieś widziałam... Gdzie to mogło być...

— Ciekawe — mruknął Storosz, zaglądając jej przez ramię. — Może w Zamościu?

— Nie. — Dominika pokręciła głową. — Po zakupy ostatnio jeździłam do Zwierzyńca. W Zamościu byłam chyba z miesiąc temu... Tutaj! Tu ją widziałam! U nas! To ta ślepa na kolory, co kupowała Lucjuszowe bohomyzy!

— Mówisz o Lucjanie Ginterze, tak? — upewnił się komisarz. — Skąd wiesz, że kupowała?

— Bo wychodziła od niego z płaskim pakunkiem. To musiał być obraz, a Lucjusz prędzej by sobie rękę odgryzł, niżby coś komuś dał za darmo... Zapamiętałam ją, bo przyjechała wypasionym motocyklem. A drugi raz akurat jechałam na zakupy i widziałam ich przy naszym zjeździe. Lucjusz na widok mojego samochodu szybko podał jej pakunek i ewakuował się w krzaki, a ona zaraz odjechała. Poznałam ją po kasku. Też ma wypasiony — powiedziała Dominika.

— No to coraz więcej wiemy — zauważyła Eliza, stawiając na stole półmisek gorących naleśników z fetą i szpinakiem. — Jedzcie. W produkcji naleśników nie jestem gorsza od Malwiny... Szkoda, że nie wiemy, kim jest ta wielbicielka malarstwa twojego byłego, Domiśka — westchnęła.

— Ja wiem. — Komisarz uśmiechnął się z rozbawieniem na widok wpatrzonych w niego trzech par oczu. — Masz talent, Domisiu. Zobacz. Tak wygląda w realu. — Podsunął jej smartfona, na którego ekranie pojawiło się zdjęcie młodej kobiety.

Pochyliły się nad nim wszystkie trzy.

— To kim ona jest? — zapytała niecierpliwie Malwina.

— Osobistą asystentką naszego zamojskiego biznesmena — wyjaśnił Storosz. — Wiem, że spotykała się z Barbarą Mazurek. O jej kontaktach z Ginterem i Bogusławem Mazurkiem nie miałem pojęcia.

— Nic dziwnego. — Malwina spojrzała na niego z naganą. — Olał pan grajdołki i skupił się na Zamościu. Trzeba było rozejrzeć się tu i w Zwierzyńcu.

— Tu nie miałem dostępu, a do Zwierzyńca żadne tropy nie prowadziły — odparł komisarz uprzejmie. — W zasadzie panie też przypadkiem natknęły się na tę parę.

— A jak ona się nazywa? — chciała wiedzieć Eliza. — Ta asystentka?

— Ewelina Arska. Urodzona w Zamościu, lat dwadzieścia pięć. Rok temu skończyła administrację i zarządzanie w Lublinie, dyplom sobie odpuściła i od razu dostała pracę u naszego lokalnego bossa.

— Zaraz! — Malwina poruszyła się niespokojnie. — Ja bym chciała wiedzieć jedną rzecz! Skąd tu się wziął ten zbolwały wdowiec? Podobno go wsadzili na czterdzieści osiem godzin! Wyciągnął go pan z mamra? Jako ten niby prawnik? A jeśli on wespół w zespół z tą rozdartą panienką ukatrupili Kurdupła? Byli w Zwierzyńcu, mogli skoczyć do Zamościa i nafaszerować

żeńskiego Mazurka prochami!

— Współ w zespół nie mogli — zaprotestowała Eliza i machnęła ręką w stronę półmiska. — Czemu nie jecie? Zaraz wystygnie... Nie mogli — powtórzyła stanowczo i przeniosła wzrok na przyjaciółkę. — Ona była wściekła na niego. Darła się, że wszystko jej powie. Podejrzewam, że miała na myśli Wrednego Kurdupla. A on nawet nie próbował za nią lecieć... Domiśka! Gdybyś się pożarła z Lucjuszem, pomogłabyś mu w czymkolwiek?

— Zwariowałaś?! Nie pomogłabym nawet, gdybym się nie pożarła! No, może bym podała łyk wody na pustyni, bo jestem miłosierna...

— Ale... — zaczęła Malwina z uporem.

— Nie ma „ale”! — przerwała stanowczo Eliza. — Może i któreś z nich zabiło, ale nie razem! Mógł on, bo się bał, że ta Ewelina na niego doniesie...

— To powinien utłuc Ewelinę, nie małżonkę — zauważyła przytomnie Malwina.

— ...Mogła ona — kontynuowała z rozpędu Eliza — bo uznała, że jeśli się pozbędzie Wrednego Kurdupla, będzie miała w garści jej męża...

— Po co? — weszła jej w słowo Dominika. — W Bogusia nie wierzę. A Adaś mówił, że ta Ewelina pracowała u jakiegoś zamojskiego mafiosa i że spotykała się z Bašką. Ja jestem pewna, że coś kombinowała z Lucjuszem. Czyli cała trójka mogła działać razem. To po co mieliby sobie psuć biznes?

— Bo któreś uznało, że jest ich za dużo do podziału kasy? — podsunęła Eliza.

Komisarz nie brał udziału w dyskusji. Jadł domowej produkcji naleśniki i słuchał. I, na wszelki wypadek, obserwował z uwagą Dominikę. Wiedział, że ryzykuje, ujawniając się przed nią. Wykluczył jej udział w zabójstwie Barbary Mazurek, ale nie mógł mieć pewności, że nie maczała palców w przemyśle. A jeśli maczała, a teraz próbuje skierować podejrzenia na byłego męża? Ta myśl mu się nie spodobała. Mimowolnie zmarszczył brwi i zaczął ją rozważać, całkowicie wyłączając się z rozmowy. Umknęło jego uwadze, że w pewnej chwili wszystkie trzy kobiety zamilkły, przyjrzały mu się i popatrzyły na siebie, po czym na obliczu Dominiki pojawił się rumieniec gniewu. Z ponurej zadumy wyrwał komisarza bolesny kuksaniec w ramię. Zobaczył tuż obok siebie roziskrzony furją oczy gospodyni i usłyszał wściekłe syknięcie:

— Do jasnej cholery! Co ty sobie myślisz?! Zjawiasz się nie wiadomo skąd, domagasz się noclegu i jeszcze mnie podejrzewasz?!

— Skąd wiedziałaś? — wyrwało mu się, nim się opamiętał.

— Panie Adamie, niech pan nie obraża naszej inteligencji — pouczyła go natychmiast Malwina. — Na gębie miał pan wypisane, co pan myśli. Niech pan szybko wykasuje Domiśkę z listy podejrzanych, bo się pan zakałapučka na amen.

— Przepraszam za osobiste pytanie — odezwała się niepewnie Eliza — ale czy pan jest żonaty?

— Nie — przyznał Storosz. — A to jakiś problem?

— No pewnie. — Eliza pokiwała głową z ubolewaniem. — Gdyby pan był, to wiedziałby pan, że czasem lepiej udawać głupiego, niż pokazać po sobie, co się myśli... Domiśka, odpuść.

— Nie ma mowy! — warknęła Dominika i poderwała się z krzesła. — Wstawaj! Idziemy na strych!

— Domiśka... — zaczęła Malwina ostrzegawczo.

— Muszę mu pokazać! Niech mnie z Lucjuszem nie porównuje! — warknęła Dominika gniewnie. — Może Stanisławski ze mnie nie jest, ale malować umiem!

— Stanisławski? Jesteś pejzażystką? — Komisarz wyglądał na zaskoczonego. — Tak sprawnie narysowałaś ten portret Arskiej... Myślałem...

— A ty się w ogóle znasz na malarstwie? — Dominika spojrzała na niego z powątpiewaniem.

— Trochę. Zanim wstąpiłem do policji, skończyłem historię sztuki. Teraz mi się ta wiedza czasem przydaje w pracy.

Dominika zastygła, a złość na jej twarzy zastąpiła niepewność. Z jakiegoś powodu bardzo chciała mu zaimponować, ale istniała możliwość, że jej obrazy nie zrobią na nim wrażenia. Może nawet uzna je za kiczowate, a ją za zwykłego pacykarza?

— Hej! — Storosz uśmiechnął się przyjaźnie. — Nie jestem krytykiem, nie znam się na współczesnych trendach. Malować też nie umiem. Jestem teoretykiem. Rozpoznam malarza, epokę, ale żeby potwierdzić autentyczność obrazu, muszę zdać się na fachowca. Tyle mojego, że rozumiem, co mi napisze w opinii... Z przyjemnością obejrzę twoje obrazy, Domisiu.

— No to chodźmy — westchnęła Dominika już bez zapału.

Czterooosobowy pochód ruszył przez korytarz ku schodom na strych. Zamykały go Malwina i Eliza, które popatrywały na siebie z lekkim niepokojem. Nie były pewne, czy Dominika posłuchała ich rady i zdążyła ukryć dowód swojej antypatii do Wrednego Kurdupła. Na wszelki wypadek Malwina postanowiła nieco rozproszyć policyjną czujność komisarza.

— Panie Adamie — odezwała się, stając u podnóża schodów — nie powiedział nam pan, dlaczego wypuścili wcześniej Mazurka i skąd się wziął w pana samochodzie. To jakaś straszna tajemnica?

— Skąd! — Storosz zatrzymał się na stopniu i odwrócił ku kraśniczankom. — Pogadałem z prokuratorem. On dał nakaz zwolnienia, a ja się upewniłem na zwierzynieckiej komendzie, że z komórki pan Mazurek nie da rady skorzystać i czekałem na niego. Kiedy wyszedł, widać było, że nie bardzo wie, co ze sobą zrobić. Podjechałem i zaproponowałem podwózkę. Nawet się nie zorientował... Szczerze mówiąc, nie bardzo wierzę, że zabił żonę z premedytacją. Zdążył mi się po drodze wyzalić, że stracił jednocześnie i małżonkę, i życiowe oszczędności... Ale... No, muszę sprawdzić. On jest, szczerze mówiąc, trochę dziwny...

— Dziwny? — fuknęła Dominika, otwierając drzwi do pracowni. — To jest

kukła, nie chłop! Zawsze się zastanawiałam, jakim cudem on skończył to prawo!

Kiedy wszyscy znaleźli się wreszcie w pracowni, Dominika podeszła do jednej ze stojących pod ścianą stert i niecierpliwie zaczęła w niej grzebać. Wyciągnęła w końcu dużą kartonową teczkę, otworzyła ją, a jej zawartość zamasztywym ruchem umieściła na sztalugach i przesunęła od razu ku oknu.

— Ikony mają inne wymiary — oznajmiła sucho. — Te obrazki czekają na oprawy. Najlepiej się sprzedają, bo małe i lekkie, a klienci lubią sielskie widoczki. Nie wymagają od nich zaangażowania i dobrze wyglądają na ścianie. To moja chałtura. Tym zarabiam na życie. Całkiem nieźle. Robota szybka i przyjemna, bo zwykle w plenerze robię szkic, oznaczam kolory i maluję u siebie...

— To suchy pastel? — Storos z widocznym zainteresowaniem przeglądał leśne pejzaże. — Nie osypuje się...

— Konserwuję fiksatywą — wyjaśniła Dominika, wzruszając ramionami. — Jeden dzień i jest gotowy. Potem zawożę do ramiarza w Zamościu i wstawiam do sklepu z pamiątkami. Idą jak woda. Przez tę pandemię... — Machnęła ręką z rezygnacją. — Do galerii wstawiam oleje. Też pejzaże, ale większe. Czasem na zamówienie kopiuję coś dla firm, przeważnie martwe natury albo właśnie pejzaże. Orka na ugorze, ale dobrze płacą. Ostatnio zaprzyjaźniam się z akrylami... Ikony... Po raz pierwszy zobaczyłam wystawę w Krakowie. Bella nas tam zaciągnęła. Wszelkie malarstwo sakralne ma w jednym palcu. Mnóstwo wie na ten temat... Najstarsze pochodziły z szesnastego wieku. Kiedy je oglądałam, zrozumiałam, dlaczego są takie wyjątkowe. Wymagają dużo pracy. Ich twórca musi przestrzegać żelaznych zasad, to one decydują, czy obraz staje się ikoną. Nawet jeśli są pisane współcześnie, mają w sobie kod z przeszłości. To nie jest bezmyślne mazanie pędzlem. — Dominika się ożywiła. — Kompozycja jest ustalona od wieków. Można właściwie przyjąć, że to ciągłe kopiowanie, ale to nieprawda. Nie ma dwóch takich samych... Kiedyś Bella pokazała mi, ile cennych obrazów straciliśmy i prawie mnie szlag trafił. Nienawidzę tych złodziei, ale jeszcze bardziej nienawidzę tych wszystkich bogatych łajdaków, których stać na to, żeby kupić tylko dla siebie to, co powinno być dostępne dla wszystkich! — powiedziała twardo. — Nie robią tego z miłości do sztuki, tylko żeby podnieść swoje pieprzone ego! A najbardziej mnie wkurza to, że są bezkarni! — Spojrzała ze złością na Storosza.

— Świat nigdy nie był sprawiedliwy — mruknął komisarz. — Przepraszam. Za to, że cię podejrzewałem. Tak jak tobie, bardzo mi zależy, żeby zlikwidować ten kanał.

Wzrok Dominiki powędrował ku stercie obrazów, w której znajdował się dowód jej morderczych skłonności. Podjęła decyzję.

— Zejdźcie na dół — poprosiła, spoglądając przepraszająco na koleżanki. — Mówiłam, że jestem szczerą Kaśką. Wszystko mu powiem. Nic nie zrobiłam,

a może mu się to do czegoś przyda. W końcu jest fachowcem od wyciągania wniosków.

— Jesteś pewna? — Malwina uniosła brwi.

— Jestem. Coś mi się wyrwie i znowu będę podejrzana. Wolę od razu wszystko wychłapać...

Przyjaciółki zeszły na dół, zajrzały po drodze do kotów, które spały w najlepsze na ich łóżkach, po czym zakotwiczyły w kuchni.

— No i wszystko wystygło — stwierdziła smętnie Eliza, patrząc na prawie pełny półmisek. — Dobrze, że choć Storosz trochę zjadł, bo byłoby mi przykro.

— Storosz! — prychnęła z niechęcią Malwina. — Nie dziwi cię, że Domiśka nagle poczuła potrzebę, żeby się wypowiedzieć? I to gliniarzowi? A wcześniej tak się bała, że to my wszystko wychłapiemy!

Eliza zastanawiała się przez chwilę, wreszcie pokręciła głową i odparła stanowczo:

— Nie dziwi. My już dawno przestałyśmy wierzyć, że życie jest piękne. Wiemy, że bywa. Czasem. Swoje widziałyśmy, swoje przeżyłyśmy. Domiśka zawsze miała w oczach ten zachwyt nad światem. Może dlatego maluje. Bo ciągle ma w sobie wrażliwość. Nawet Ginter nie dał rady tego zniszczyć... Słuchałam tam na górze, jak mówiła o ikonach... Kurczę, zazdroszczę jej, wiesz? Ma pasję...

— My też! — przerwała jej zirytowana Malwina.

— My też — zgodziła się Eliza. — Ale my skupiamy się na ludziach, w zasadzie na ich paskudnych cechach, a ona na pięknie. Te obrazki... Mówiła, że to chałtura. Ja się nie znam na malarstwie, ale to coś więcej niż kiczowate widoczki. Powiem ci, że nie mogłam oczu oderwać od tej starej, złamanej jodły na środku polany — wyznała. — Wyglądała jak... W naszym bloku mieszka taka babcia. Prawie nie wychodzi. Odkąd zaczęła się pandemia, zaglądam do niej i... Czasem zrobię zakupy, czasem podrzucę coś do żarcia albo coś słodkiego, bo wiem, że lubi... Pomyślałam o niej, kiedy zobaczyłam ten obrazek Domiśki. Naokoło las ludzi, a ona nikogo nie obchodzi. Od śmierci męża nie ma nawet do kogo ust otworzyć. Też jest złamana...

— Romantyczka — mruknęła Malwina i od razu zaatakowała: — Cemu nic nie mówiłaś? Uważasz, że zbiedniałabym od jednego darmowego obiadu? Zawsze coś mi w barku zostaje!

— Ona jest z tych, co mają problemy z przyjmowaniem pomocy — westchnęła Eliza. — A ty i tak masz na razie zamknięty interes. Ale pomyślę, jak to zorganizować. Przed wyjazdem prosiłam Lalę, żeby do niej zaglądała. Na szczęście się lubią. Babcia ciekawie opowiada, a Lala umie słuchać...

— I myślisz, że to z powodu tej wrażliwości Domiśkę sparło na osobiste wynurzenia? — Malwina wróciła do tematu.

— Nie. — Eliza potrząsnęła głową i posłała przyjaciółce uśmiech. — Bardzo uważnie obserwowałam to przedstawienie na drodze. Nasz komisarz zaimponował Domiśce. Od razu dogadał się z tutejszymi facetami, to raz.

Błyskawicznie usadził przemądrzałego Lucjusza, to dwa. A punkty dodatkowe zdobył za tę historię sztuki. Nasza Domisia zawsze była impulsywna. Szybciej działała, niż myślała, i pakowała się w kłopoty. Pewnie dlatego spaskudziła sobie życiorys tym małżeństwem... Tak sobie myślę, Malwina, że teraz to ona woli się pokazać od razu od najgorszej strony, żeby potem nie mieć problemów.

— Ale... Storosz? — Malwina rzuciła jej spojrzenie pełne niedowierzania. — Obcy facet! Nic o nim nie wie! W ogóle go nie zna! Pięćdziesiąt lat i kawaler! A całkiem, całkiem wizualnie. Inteligencja chyba też w porządku, bo nieźle sobie poradził w tym przedstawieniu... I żadna go nie chciała? Nie wierzę! Może sobie lata jak motylek? Z łóżka do łóżka i bez zobowiązań? — fuknęła ze złością. — To po co Domiśce taki typ?

— Przestań. — Eliza uspokajająco poklepała ją po ramieniu. — Na początku to zawsze jest obcy facet. I czasem to nie ma żadnego znaczenia. Już zapomniałaś, jak było z moim Piotrusiem i Lalą? To się samo dzieje...! Ja nie mówię, że Domiśka już na amen zapadła na naszego gliniarza, tylko że jej wpadł w oko. Ona jemu chyba też, bo widziałam, jak mu się nie podobała myśl, że może być zamieszana w przemyt... Może to się skończy przyjaźnią, może ognistym romanssem, ale coś się Domiśce należy za tego palanta, który ją zniechęcił do facetów. Niech sobie trochę użyje, dziewczyna.

— On jest młodszy o dwa lata. Niby niewiele, ale... — zauważyła ostrzegawczo Malwina. — Może szuka nowszych roczników, żeby się lepiej poczuć?

— To do tej pory już by znalazł. Moim zdaniem on nie ma czasu na szukanie, bo ma paskudną robotę i musi być dyspozycyjny przez całą dobę. Młodsze roczniki by tego nie wytrzymały... Dajmy im spokój i zajmijmy się konkretnymi. Mamy jakieś?

Ku jej uldze Malwina nie oponowała. Skinęła głową, przez chwilę milczała, marszcząc brwi, a potem oznajmiła:

— Najpierw ustalmy, co wiemy na pewno, bo to wszystko jest jakieś potwornie skomplikowane. Wątek goni wątek... Zacznijmy od tej hecy z zapalkami... Wierzę, że Dora nie miała pojęcia o zamianie zapalek. Wyglądała na zaskoczoną, kiedy okazało się, że wszyscy wylosowali takie same. Ktoś je musiał zamienić. Pytanie brzmi: kto wiedział o jej pomyśle?

— Małżonek Wrednego Kurdupła? — podsunęła niepewnie Eliza i potrząsnęła głową. — Mogłybyśmy tak myśleć, gdyby Dora nie powiedziała nam prawdy. Miała z nim krzyż Pański, bo uznała, że musi mu pomagać. Podejrzewam, że jego chciała uwolnić od żony, a siebie od jego problemów. Nie sądzę, żeby mu powiedziała, co zamierza zrobić. Wszyscy mają go za gamonia. Bałaby się, że coś mu się wyrwie... Nie. To musiało być któreś z tej piątki. Domiśka uciekła aż do Kraśnika, Dora odpada, Bruno i Miki zareagowali normalnie, w dodatku Bruno się wściekł... Nie wiem, czemu, ale jakoś mi to pasuje do tego Lucjusza. Tylko... Jak się dowiedział o planach

Dory?

— No właśnie — westchnęła Malwina. — Też tego nie rozumiem. Dobrze by było z nią pogadać. Może sobie coś przypomni... Śmierć Kurdupła widziałyśmy na własne oczy. Od policji wiemy, że ktoś ją nafaszerował prochami. Wraciała z Zamościa. Może...

— Czekaj! — Eliza uniosła dłoń. — Wiemy więcej! Wiemy, że na pewno brała udział w tym przemyśle. I że niedawno zwinęła z konta małżonka całą kasę. I powiedziała Dorze, że z nowym amantem zamierza stąd zniknąć. Najlepiej w obce landy... Coś ich spłoszyło? Może ten amant to ten szemrany zamojski biznesmen? Może kasę od niej przytulił, a ją kazał zlikwidować, bo za dużo wiedziała o jego interesach? Ogień chyba niszczy wszystkie ślady. Gdyby się spaliła... Nie mam pojęcia, czy autopsja coś by wykazała. Jak myślisz?

— Tadzio mówił — zaczęła wolno Malwina — że to zależy od stopnia spalania. — Widząc zaskoczenie przyjaciółki, poczuła się w obowiązku wyjaśnić: — Przychodzi czasem do Łukasza. Szykuję im jakąś przegryzkę, a jak chcę się czegoś dowiedzieć, to pytam. Tadzio dużo wie i lubi mówić. Ostatnio narzekali, że doktor Brożek, ten nasz patolog, robi się coraz bardziej zgryźliwy i po każdej sekcji czują się psychicznie wykończeni. Pomyślałam sobie, że połączę przyjemne z pożytecznym. Ich oderwę od przykrego tematu, a przy okazji uzupełnię wiedzę... No więc przeważnie można ustalić, czy ofiara była jeszcze żywa, czy już martwa, kiedy wybuchł pożar. Jeśli w pogorzeliisku znaleziono stopione butelki po alkoholu, można założyć, że była pod wpływem. Ale ustalenie okoliczności zdarzenia czasem w ogóle jest niemożliwe. I tak sobie myślę, że gdyby nas nie było na tej szosie, a Wredny Kurdupel by się spalił razem z samochodem, to policja potraktowałaby to, jak zwykły wypadek drogowy. Nasz komisarz całkiem straciłby swój trop, a małżonek odzyskałby kasę i spokój. Ale dzięki mojemu nagraniu sprawa się ryła.

— Czyli ta nasza akcja z ratowaniem Kurdupła na coś się przydała — powiedziała zamyślona Eliza. — Może to ten biznesmen jej dosypał do czegoś prochów... Trzeba przypomnieć komisarzowi, żeby sprawdził jej konto. Ciekawe, ile ona tam miała i od kogo szły przelewy... Tylko wiesz... Jakoś mi ta Arska do niczego nie pasuje.

— No, jak to? — zdziwiła się Malwina. — Ona też mogła... Nawet bardziej ona niż ten biznesmen. Sam pewnie nie brudziłby sobie rąk. Dostała polecenie od szefa, nasypała jej czegoś do kawy albo herbaty i już... Ja pimpolę — sapnęła z niezadowoleniem. — Nic się tu kupy nie trzyma. Za dużo podejrzanych. Czarno to widzę... O co Arska się kłóciła z tym ciapowatym Bogusiem?

— O kasę chyba...

— Jaką? Storosz mówił, że to Wredny Kurdupel maczał palce w przemyśle. O mężu nie wspominał... Mazurka Arska straszyła, że coś powie jakiejś „jej”.

Kogo mogła mieć na myśli?

Eliza poczuła, że od tych wszystkich niewiadomych zaczyna ją boleć głowa i jęknęła:

— Pojedźmy gdzieś w plener, bo za chwilę eksploduję. Mam wrażenie, że ta sprawa nas przerasta. Więcej pytań niż odpowiedzi!

— Pojedziemy nad stawy. Odpoczniemy, dotlenimy się, może wpadniemy na jakiś trop — postanowiła Malwina. — Nie możemy się poddać! — Wstała energicznie. — Zostawimy im kartkę i jedziemy.

17 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA, WIECZOREM

Już zmierzchało, kiedy wracały. Zdążyły pojechać do Zamościa i zrobić porządne zakupy. Przy okazji w tutejszej pierogarni nabyły podwójne porcje pierogów z soczewicą — część zjadły w samochodzie, resztę Malwina zamknęła w termoizolacyjnym pojemniku, który zawsze zabierała w podróże. Były jeszcze ciepłe, kiedy dojechały je na pustej platformie widokowej po kilku godzinach spędzonych nad stawami.

Kraśniczanki wracały dotlenione, syte przestrzeni, wyciszone i zadowolone z tej wycieczki. Nie tylko oderwały się od problemu, który je gnębił, ale też dały Dominice dość czasu, by mogła do woli zaprzyjaźnić się ze „starym znajomym”.

— Domiśka mogła choć esemesa wysłać, żeby zapytać, kiedy wracamy — mruknęła z urazą Malwina, skręcając w znajomy zjazd. — Ten gliniarz świat jej przesłonił?

— Napisałam na kartce, że pewnie wieczorem. — Eliza rzuciła jej karcące spojrzenie. — Daj spokój. Miała się martwić o dwie mocno dorosłe baby? A ty znowu taka wyrywna jesteś, żeby się komukolwiek tłumaczyć?

— A jak oni oboje już tam działają, a my sobie odpoczywamy jak dwa stare próchna? — W głosie Malwiny dźwięczało rozdrażnienie. — Może już coś odkryli? Że też mnie zawsze podkusi, żeby słuchać twoich pomysłów! Rekreacji ci się zachciało!

Eliza przewróciła oczami i sapnęła zniecierpliwiona.

— Przestań, mówię! To nie jest rywalizacja! Stoimy po tej samej stronie! Jak odkryli, to nam przecież powiedzą!

— Ale już będzie po zawodach! — warknęła Malwina. — I stracimy reputację!

— W naszym wieku? — zdziwiła się Eliza. — Daj spokój. Co mnie obchodzi, co sobie o mnie myśli ktoś, na kim mi nie zależy?

— O zawodowej reputacji mówię!

— Chyba przesadzasz. Jesteśmy amatorkami i mamy prawo się mylić. Nie znamy tych ludzi, wiemy o nich tyle, co nam Domiśka powiedziała. Nic dziwnego, że tak trudno nam idzie!

Malwina już zamierzała ostro odpowiedzieć, ale nagle poczuła, że koło samochodu przejechało po czymś. Zahamowała gwałtownie, cofnęła i, błada jak ściana, wyskoczyła na zewnątrz, nie reagując na pytania przestraszonej przyjaciółki:

— Co się stało, na litość boską?! Przejechałyśmy kogoś?!

Eliza z napięciem przyglądała się Malwinie, która sprawiała wrażenie, jakby miotała się po poboczu, wykonując nieskoordynowane skłony w świetle

samochodowych reflektorów. Wreszcie przyjaciółka zakończyła te dziwne wygibasy energicznym wyprostem, wsparła się o maskę i stękając, zrobiła ruch, jakby coś od siebie odkopywała. Otrzepała dłonie i wsunęła się do samochodu, sapiąc z wysiłku.

— Coś ty robiła, na litość boską? — Oślupiała Eliza wbiła w nią zszokowane spojrzenie.

Malwina uspokoiła oddech i oznajmiła z furią:

— Jak dorwę tego kretyna, zabiję bez miłosierdzia! Myślałam, że przejechałam niewinne zwierzątko! Nakabluję Storoszowi! Niech im wszystkim urządzi przesłuchanie z szykanami!

— Na jaki temat? Co przejechałaś? — dopytywała niecierpliwie Eliza.

— Worek śmieciowy z zawartością! — wyszczała Malwina. — Tacy niby ekologiczni, tak się dopasowywali do krajobrazu, a śmieci wyrzucają do lasu...! Zaraz! Gdzie ja ją mam? — Zaczęła grzebać w schowku i po chwili wyciągnęła sporych gabarytów latarkę. — Siedź tu, Liza! — poleciła stanowczo. — Muszę sprawdzić, czy nie ma tu tego świństwa więcej...

— Może pójde z to...

— Siedź i pilnuj samochodu. W razie czego wrzeszcz i leć po pomoc do chałupy Domiński. Jesteśmy tuż przy Kolonii, światła widać. — Malwina otworzyła drzwi.

— W razie czego? — Eliza złapała ją za ramię. W oczach miała zgrozę. — Ktoś tu jest? Może nam coś zrobić?

— Wszyscy tu są! — warknęła z irytacją Malwina, wyszarpując się z uścisku przyjaciółki. — Nie mam pojęcia, które z nich to podrzuciło!

Kiedy Malwina z latarką w dłoni zniknęła w zaroślach, Eliza pośpiesznie zablokowała drzwiczki od strony kierowcy i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu czegoś, co nadałoby się do ewentualnej obrony. Nie zastanawiała się nad tym, kto i dlaczego miałby ją zaatakować, ale kategoryczne polecenie przyjaciółki uruchomiło jej wyobraźnię. Jeśli miała wrzeszczeć i lecieć po pomoc, musiała mieć ku temu warunki. A żeby je mieć, należało najpierw zneutralizować wroga.

Ku swej rozpaczy niczego przydatnego nie znalazła i od razu postanowiła na przyszłość zaopatrzyć się w jakiś podręczny scyzoryk albo może niewielki i niezbyt ciężki młotek, którym dałoby się przeciwnika ogłuszyć. Teraz jednak, z braku własnych rekwizytów obronnych, w desperacji zaczęła przeszukiwać schowek samochodowy. Ulżyło jej, kiedy wyciągnęła odświeżacz powietrza w sprayu. Ekologiczny może nie był, ale psiknięcie w oczy powinno zniechęcić każdego bandziora i dać jej czas na ucieczkę. Dzierżąc pojemnik w dłoni, w napięciu wpatrywała się w rozjaśnioną światłami samochodu ciemność. Kilkadziesiąt metrów dalej na tle ciemniejszego nieba rysowały się kontury chałup. Najbliżej lasu znajdowały się dwie — w jednej mieszkał były małżonek Domiński, w drugiej świeży wdowiec po żeńskim Mazurku. Wdowiec pewnie nie miał głowy do wyrzucania śmieci — dumiała Eliza — ale Ginter... Pod

warunkiem, że chciałoby mu się latać z nimi na drugą stronę drogi. Choć, gdyby to miało odwrócić podejrzenia od niego, pewnie by mu się chciało...

Jej rozmyślania przerwała Malwina, która wynurzyła się z krzaków, pokiwała przyjaciółce uspokajająco ręką i, zamiast wsiąść do samochodu, pomknęła ku zaroślom po drugiej stronie drogi.

Eliza westchnęła i rozluźniła się trochę. Ściskając w dłoni odświeżacz, zastanawiała się, czy te wyrzucone do lasu śmieci to oznaka wandalizmu, czy też coś więcej. Czy mogą mieć jakiś związek ze śmiercią Wrednego Kurdupła? A może ktoś, kto za nią odpowiada, pozbył się w ten sposób dowodów przeciwko sobie? Na przykład opakowań po lekach psychotropowych? A co, jeśli wszyscy się mylą i Kurdupła ukatrupił jednak ten łajzowaty małżonek? Szantażowała go panienka od przemytu. Może sobie nielegalnie dorabiał bez wiedzy połowicy i bał się konsekwencji? A swoją drogą trzeba wypytać Domiśkę o to, jak oni wszyscy radzą sobie z utylizacją śmieci...

Niespodziewane puknięcie w szybę prawie pozbawiło Elizę tchu. Spojrzała w okno i zobaczyła gestykulującą Malwinę, która niecierpliwie domagała się odblokowania drzwi.

— No to już wszystko wiem! — oznajmiła z satysfakcją, wsuwając się na swoje miejsce. — Ten worek, co go przejechałam, był tylko jeden. Widocznie został wciśnięty w krzaki byle jak i jakieś zwierzę go wyciągnęło. Widziałam ślady. Za to po drugiej stronie znalazłam jeszcze trzy. Nie zaglądałam. Niech sobie piękny Adaś sam sprawdzi. Ale mam coś jeszcze! — Spojrzała z tryumfem na przyjaciółkę. — Pomędzy drzewami, za tymi krzaczorami, jest ścieżka. Niezbyt szeroka i niewidoczna z drogi. Wychodzi na chałupę Gintera. I wyobraź sobie, znalazłam tam to! — Podetknęła jej pod nos smartfona. — Co ty na to?

Eliza przez chwilę gapiła się bezmyślnie w ekran. Widniało na nim zdjęcie motocykla. Malwina się postarała i uwieczniła rejestrację pojazdu.

— Opisałam je — oznajmiła teraz z dumą. — Jako: „Las przy chałupie Gintera, motocykl, godzina dwudziesta czterdzieści trzy”. Żeby potem nie było problemów... Co tak milczysz?

— Aaa, to ten wypasiony motocykl, o którym mówiła Domiśka! — olśniło wreszcie Elizę. — To znaczy, że Arska musi być gdzieś w pobliżu! Malwina, jesteś wielka! Pośpiesz się! Musimy o wszystkim powiedzieć Storoszowi!

— Kurczę, może powinnam była jakoś go uszkodzić, żeby nie uciekła — zastanowiła się Malwina, ruszając.

— Zostaw to fachowcowi — poradziła Eliza. — Widziałyśmy tę Arską w akcji. Pyskata jest. Mogłaby cię oskarżyć o zniszczenie mienia i jeszcze domagać się rekompensaty...

Kiedy rozemocjonowane weszły do chałupy, z pokoju zajmowanego przez Dominikę dobiegł je szmer rozmowy. Popatrzyły na siebie i, głośno tupiąc, ruszyły ku drzwiom.

Gospodyni siedziała na kanapie pod oknem, na drugiej rozparł się komisarz

obłożony dwoma kotami. Cała czwórka wyglądała na mocno zaprzyjaźnioną.

— Coś się stało? — Dominika oderwała wzrok od Adama i uniosła brwi na widok potarganych włosów Malwiny. W jej oczach pojawiła się podejrzliwość. — Gdzie byliście tak długo?

— Ostatnio latałyśmy po krzakach. To znaczy: ja latałam. Liza pilnowała samochodu... Zaraz się doprowadzę do porządku, ale najpierw chcę wiedzieć, jak się pozbywacie stąd śmieci. — Malwina weszła do pokoju i usiadła obok koleżanki. Eliza przycupnęła z drugiej strony.

Komisarz jakby zeszytniał. Wbił oczy w Dominikę, czekając na odpowiedź.

— O Jezu... Skąd ci się wzięły te śmieci? Nie masz co...

— To ważne, Domiśka — przerwała jej Eliza. — Co z nimi robicie? Wywalacie je do lasu?

— Zwariowałaś?! — Dominika prawie podskoczyła, a w jej oczach błysnęła furia. — Jesteśmy proekologiczni! Segregujemy śmieci! Jeździmy na zakupy z własnymi opakowaniami wielokrotnego użytku! Nie widziałaś tych pojemników w kuchni?! Papiery palimy w piecu Mikołaja. Plastikowe butelki zgniatamy i składujemy w skrzyni, którą zrobił Bruno. Szklane w tej atrapie studni na moim podwórku. Kartony po napojach, nakrętki metalowe i tworzywa sztuczne ładują w pojemniku u Dory. A odpady biologiczne wyrzucamy na przymę za domem Mikołaja i tam się kompostują. Ma jakiegoś znajomka, który potem wszystko zabiera, a w zamian podrzuca nam warzywa ze swojego ogrodu. Jak nam się dużo uzbiera, dzwoniemy do firmy w Zwierzyńcu i zabierają. Stratni nie są, płacimy za to... Skąd wam w ogóle przyszło do głowy...

— Poczekaj, Domisiu. — Storosz uniósł dłoń w uspokajającym geście. — Coś panie znalazły w lesie?

— A i owszem — oświadczyła Malwina z satysfakcją. — Ktoś z mieszkańców tej Kolonii poutykał w lesie worki ze śmieciami. Tuż przy wyjeździe, za ostatnimi domami. Na jeden wjechałam i prawie zeszałam, bo myślałam, że uszkodziłam dzikie zwierzątko. Worek musiał jakieś zainteresować, bo był rozdarty. Dlatego wiem, że w środku były papiery. To wszystko leżało od strony Mazurków. Nie znam się na zwyczajach tutejszych zwierzątek i nie mam pojęcia, jaką siłą dysponują, więc postanowiłam sprawdzić las po obu stronach drogi. Przy Mazurkach był tylko jeden worek, ale za domem Gintera znalazłam trzy. Cięższe. Nie sprawdzałam, co w nich jest. Za to znalazłam coś jeszcze. Tam jest ścieżka. Z drogi jej nie widać. W krzakach stało to! — Malwina ruchem magika wyjęła smartfon, przesunęła po nim palcem i obróciła ekranem w stronę komisarza.

Storosz głośno wciągnął powietrze, a Dominika natychmiast przechyliła się, by zobaczyć, co jest w telefonie.

— Ale u nas nikt nie ma... — zaczęła i nagle plasnęła się w czoło. — O ja głupia... Lucjuszowa klientka taki miała! Ale co ona tu robi o tej porze? I u kogo się zadekowała, bo jej tu nie widziałam?

— Też chciałbym to wiedzieć — mruknął komisarz i ostrożnie zdjął z siebie zaspane koty. — Pokaże mi pani, gdzie to jest? — Wstał i spojrzał pytająco na zadowoloną z siebie Malwinę. — Domisiu, jak tam dojść, żeby nas nikt nie widział?

— Wyjdźcie tylnymi drzwiami — poradziła Dominika. — Potem prosto łąką, a później wzdłuż tego rowu z wodą. Mazurki przeważnie wieczorem zaciągają zasłony. Wątpię, żeby Bogusiowi teraz się odmieniło. Nikt nie powinien was zobaczyć. I wróćcie tą samą drogą... Ręce mnie swędzą — dodała gniewnie. — Wepchnęłabym Lucjuszowi te śmieci do gardła!

— Nie zmieściłyby się — stwierdziła Malwina i ochoczo poderwała się z kanapy, gotowa na kolejną przygodę.

— Momencik, dobrze? — poprosił komisarz i na chwilę zniknął w korytarzu. Gdy pojawił się z powrotem, minę miał jak sfinks. — W porządku. Możemy iść.

Kiedy wyszli, Eliza ukradkiem przyjrzała się Dominice, a potem niepewnie zaproponowała:

— Pogadajmy, co? Tylko najpierw się umyję po tej naszej wycieczce. Co prawda ja po krzakach nie latałam, ale i tak czuję się brudna... Możesz zrobić jakąś herbatę?

Dominika skinęła głową bez zapału i zamyślona poszła do kuchni. Gdy pojawiła się tam Eliza, siedziała z ponurą miną przy stole, popatrując bezmyślnie na włączony czajnik. Na widok koleżanki zamrugła oczami i westchnęła ciężko.

— Przerasta mnie ta sprawa — stwierdziła przygnębiona. — Znamy się od lat. Wydawało mi się, że wiemy o sobie wszystko... Dopóki była tu Bella... Nie wiem, jak ona to robiła, ale zawsze umiała rozwiązać każdy problem. Przy niej nawet Bruno kładł uszy po sobie. A potem przyszły Mazurki i wszystko się zmieniło. — Zmęczonym gestem przesunęła dłonią po oczach, jakby coś chciała z nich zetrzeć. — Baśka od razu zaczęła się panoszyć, Ginter jej schlebiał, Bruno się wściekał, a Dora przycichła. Tylko Miki próbował nas godzić. Byliśmy wściekli na Bogusia, jakby to on nam dokopywał... No i ze względu na Dorę, bo uważaliśmy, że powinien powstrzymać Baškę... Myślałam, że będę sobie tu spokojnie żyła. Że mam szczęście, bo trafiłam na miejsce, które kocham i ludzi, których lubię. A teraz... — Machnęła ręką zniechęcona. — Mam wracać do Kraśnika? Do matki? Nikt nie kupi chałupy na odludziu...

— Nie martw się na zapas. — Eliza pocieszająco klepnęła ją w ramię i zalała herbatę. Usiadła z kubkiem obok, popatrzyła na koleżankę z wahaniem i w końcu niepewnie zapytała: — Powiedziałaś o wszystkim Storoszewi? Przyznałaś się do tego obrazka i laleczki? Do losowania?

— Tak. — Dominika rzuciła jej wyzywające spojrzenie. — Nie umiem kłamać. Uważam, że najgorsze rzeczy lepiej powiedzieć od razu.

— I co?

— Nic. Uśmieł się i powiedział, że widocznie wszyscy artyści są

poszkodowani na umyśle. Ale wniosek wyciągnął taki jak wy. Że ktoś z Kolonii musiał wiedzieć o pomysle Dory i zrobił z niego użytek. Ja bym stawiała na Lucjusza. Przyznał się do zapalki jako ostatni.

Eliza w zamyśleniu pokręciła głową.

— Może nie... Wiesz, gdy Malwina odkryła dziś ten motocykl w krzakach, pomyślałam sobie, że może Arska bywała tu bez waszej wiedzy. Na pewno oficjalnie kontaktowała się z Ginterem. Może po kryjomu też go odwiedzała? I jeszcze coś mnie gnębi — wyznała. — Ciekawa jestem, kogo miał na myśli Wredny Kurdupel, kiedy mówił Dorze o swoim nowym amancie. Może tego szemranego biznesmena z Zamościa? Może facet miał jej dość i kazał Arskiej się jej pozbyć? Okazję miała. Storosz mówił, że spotykały się w Zamościu. Co to za problem dosypać czegoś na szklanki?

Dominika przez chwilę tępo gapiła się w okno. Wreszcie potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Nie mam pojęcia. O biznesmenie usłyszałam po raz pierwszy od was... Liza, ja się raczej na detektywa nie nadaję. I na ludziach też się chyba nie znam...

— A ten Adam? — zapytała niewinnie Eliza. — Jak on ci się widzi?

— Jest młodszy ode mnie — powiedziała sucho Dominika. — Zapomnij. Owszem, nic mu nie brakuje: przystojny, sympatyczny, inteligentny... Wiesz, że zajrzeliśmy dzisiaj oboje do Mikiiego i Brunona? Miki był wniebowzięty, bo Adam ocenił bardzo fachowo jego ceramikę, a potem wdał się w dyskusję na temat wypalania gliny. U Brunona bezbłędnie wybrał najlepszą rzeźbę. Tę, za którą Bruno dostał nagrodę na ostatniej wystawie. Ma już na nią kupców, ale ciągle nie może się zdecydować na sprzedaż... Teraz pewnie będzie musiał... — westchnęła. — Adam jest fajny. Lubię go i chyba mogłabym się z nim zaprzyjaźnić. Ale dopiero go poznałam. Nic o nim nie wiem. Nie mam pojęcia, czy nie będę musiała stąd wyjechać. — Pokręciła głową i uśmiechnęła się smutno. — Liza, ja już raz zrobiłam głupotę. Nie śpieszy mi się do następnej, zmańdrałam. On tu jest służbowo. Zrobi swoje i zniknie. Owszem, powiedzmy, że się z nim prześpię. I co mi z tego przyjdzie?

— Będziesz miała co wspominać — podsunęła z nadzieją Eliza.

— Albo żałować potem, że go nie spotkałam wcześniej... — Dominika wzruszyła ramionami. — Zapomnij. To gliniarz. Jeśli do tej pory nie założył rodziny, to już tego nie zrobi.

— Do Gintera też zajrzeliście dzisiaj? — Eliza zmieniła temat.

— Też. Nie wyglądał na zachwyconego. Pogadaliśmy chwilę w drzwiach, bo demonstracyjnie trzymał w łapie mokre pędzle i twierdził, że ma pilne zamówienie. Kiedy go Adam zapytał o obrazy, powiedział, że żadnych nie ma, bo wszystkie sprzedał... Fantasta! — prychnęła z pogardą.

— Może rzeczywiście coś malował? I zależało mu, żeby nikt tego nie widział?

Dominika zastygła. Przez moment zastanawiała się nad czymś, a potem w jej oczach błysnęło zrozumienie.

— Myślisz, że...

— Poczekaj! — przerwała jej Eliza. — Coś mi właśnie przyszło do głowy! Te worki! Nie pasują mi do Mazurka, ale do Gintera już tak. Dlaczego zdecydował się wywalić je do lasu? Gdyby było w nich coś trefnego, to ja bym wywiozła je gdzieś samochodem i wyrzuciła po drodze. Miejsca jest dość, las się ciągnie do samego Zwierzyńca. Nikt by mu nie udowodnił, że to jego własność, jeśli nie przyłapałiby go na gorącym uczynku — myślała głośno. — Nie wydaje ci się, Domiśka — zawiesiła wzrok na koleżance — że on coś kombinuje? Sprząta na wszelki wypadek? A może chce się ulotnić?

— I zostawiłby chałupę, za którą sam zapłacił? — Dominika uniosła brwi z powątpiewaniem.

— A jesteś pewna, że komuś jej nie opchnął po cichu?

— Przestań! Nikogo obcego tu nie było! Uważasz, że ktoś kupi bez oglądania? W ciemno?

— No to nie opchnął — poddała się Eliza. — Ale jeśli brał udział w tym przemyśle, to pewnie na brak kasy nie narzeka...

— O Jezu! — jęknęła Dominika z rozpaczą. — Mnie się już coś od tego robi! Czuję się, jakbym mieszkała w gnieździe żmij...! Chodź! Spróbujemy podkraść się do chałupy Lucjusza. Zobaczymy, co robi. Jeśli się pakuje, powiadomimy Adama.

Poderwała się z krzesła, gotowa do działania. W oczach miała determinację.

— Zaczekaj, Domiśka! — powstrzymała ją Eliza. — Masz na sobie kolorowe ciuchy. Przebierz się w coś ciemnego. Jakiś dres albo co. Żeby nie było szkoda, jak się zniszczy.

— Dlaczego ma się zniszczyć? — Dominika popatrzyła na nią podejrzliwie.

— Oj, widać, że nigdy nie działałaś w terenie — stwierdziła autorytatywnie Eliza i westchnęła. — Będziemy się skradały. Jest ciemno. Możemy się zaplątać w jakieś krzaki. Ciemne ubranie jest po to, żeby nas nie było widać. A najlepiej, jak jest wygodne i niespecjalnie eleganckie. Markowego ciucha chyba byś żałowała?

— Nie mam markowych ciuchów — mruknęła Dominika i poszła się przebrać.

Eliza z zadowoleniem zlustrowała własny strój. Miała na sobie czarne dżinsy, ciemną bluzkę i granatowy polar. Od początku wiedziała, że czeka ją wspólna egzystencja z kotami. Jak powszechnie wiadomo, koty są wyposażone w pazury i z upodobaniem ich używają. Ten zestaw Eliza wybrała właśnie ze względu na zwierzaki i wycieczki. Przed wyjazdem przeczytała sobie o roztoczańskich szlakach — do lasu strój też był idealny. Nie przewidziała, co prawda, że przyda się również w dość nietypowym celu, ale — jak widać — miał wiele zastosowań.

— Już — usłyszała głos Dominiki i ocknęła się z zadumy. — Tak może być?

Domiśka założyła ciemne legginsy i ciemnozieloną, luźną tunikę z polaru. Włosy ściągnęła ciemnozieloną frotką.

— Mam dresy, ale używam ich najczęściej do malowania — wyjaśniła przepraszająco.

— Ja pimpole! Wyglądasz super! — zachwyciła się Eliza szczerze. — Nikt by się nie domyślił, że jesteśmy w jednym wieku. Widocznie środowisko naturalne lepiej konserwuje niż miasto — dodała z lekką zazdrością. — Zamkniesz dom?

— Po co? — Dominika, w głębi duszy ucieszona komplementem, wzruszyła ramionami. — To sami swoi... No tak — zreflektowała się. — Może i nie sami swoi. Ale chyba trupa mi tu nikt nie podrzuci... Nie mogę zamknąć, bo nie wiem, czy Malwina i Adam nie wrócą przed nami. My też może będziemy musiały szybko wiać...

— No! Widzę, że powoli zaczynasz łąpać. — Uśmiechnęła się Eliza. — To chodźmy. Prowadź.

Wymknęły się tylnymi drzwiami i poszły łąką w lewo.

— To nie w tę stronę — zauważyła szeptem Eliza.

— Wiem. Ale Malwina i Adam poszli w drugą. Nie chcę im wchodzić w paradę. Dojdziemy do pierwszych drzew, przeskoczmy przez drogę i zajdziemy od tyłu. Widzisz te światła? Znam każdy z tych domów. Bruno siedzi w kuchni, Miki i Ginter w pracowniach. Z tyłu powinno być ciemno. Nikt nas nie zobaczy. Możemy podejść pod same okna, tam nie ma płotów — wyjaśniła Dominika, prąc do przodu.

Eliza zamilkła i skupiła się na uspokojeniu oddechu. Od dawna obiecywała sobie, że popracuje nad kondycją. Dzieci sprezentowały jej nawet odpowiedni strój i kijki do nordic walking. Jedno i drugie wciąż czekało na lepsze czasy, bo Eliza zawsze znalazła wymówkę. Teraz zacisnęła zęby, obserwując Dominikę, która — choć sylwetką przypominała grecką kariatydę — poruszała się lekko i zwinnie.

— Biegasz, Domiśka? — wyrwało się jej z zazdrością.

— Co ty! Kto by mi kazał! Ale jak mam fazę na malowanie, całymi dniami łążę po lasach. — Dominika rozejrzała się czujnie i pociągnęła koleżankę na drugą stronę drogi. — Teraz już spokojnie... Widzisz? Mówiłam, że tu ciemno. Miki ma pracownię od frontu. Pewnie po rozmowie z Adamem poczuł wene i zapomniał o całym świecie...

— Czy ty masz motorek w tyłku? — wysapała Eliza z urazą. — Zwolnij, na litość boską...! Co ten Miki robi? Naczynia? Bo tylko to mi się kojarzy z ceramiką...

— Głównie — przyznała Dominika, posłusznie zwalnając. — Ale nie tylko. Figurki też. Świetnie mu się sprzedają aniołki i ptaszki. Czasem pomagam mu je malować. Ostatnio miały wzięcie gliniane rzeźby do ogrodów...

— Krasnale? — zapytała z niepokojem Eliza.

— Krasnale są wszędzie! — prychnęła Dominika z pogardą. — Miki to indywidualista. Pamiętam dziewczynę z dzbanem, bo sama miałam ochotę kupić dla siebie. Ażurowe kule, w które można wstawić wkład z zapaloną

świecą. Albo sowę z rozpostartymi skrzydłami, jakby zrywała się do lotu... I to żaden kicz. Figurki są jak żywe... O, już mijamy dom Brunona. — Przystanęła na chwilę. — Widzisz? Też ciemno z tej strony. Kuchnia jest od frontu... Czekaj! U Lucjusza się świeci!

Obie zastygły i popatrzyły na siebie niepewnie. Wreszcie w oczach Dominiki błysnęła determinacja.

— Chodź! Chcę zobaczyć, co ta gadzina knuje! Podejmiemy wzdłuż ściany pod okno. Może otwarte i coś usłyszymy — szepnęła. — Wstawił sobie dźwiękoszczelne plastiki, choć Bella się wściekała, że to nieekologiczne...

Ostrożnie, starając się nie robić hałasu, podkraśli się pod dom. Okno było zamknięte. Dominika położyła palec na ustach, patrząc na Elizę, a potem powolutku wysunęła głowę. Cofnęła ją natychmiast.

— Udaż, że siedzi w pracowni, a jest w sypialni z tą blond megierą. Chyba się kłóca, bo ona macha rękami — wyszeptwała mściwie. — Czekaj. Wyjrzę jeszcze raz.

— Widocznie ona kłóci się ze wszystkimi. Może też go szantażuje. A może mają płomienny romans i to kłótnia kochanków — podsunęła cichutko Eliza.

Dominika z wysiłkiem powstrzymała pogardliwe prychnięcie i powtórzyła manewr. Tym razem wychyliła się mocniej i zastygła na chwilę, która Elizie wydała się wiecznością. Wreszcie wróciła do poprzedniej pozycji, ujęła swoją towarzyszkę za ramię i pociągnęła za sobą.

— Wracamy. Chyba już wszystko wiem — oznajmiła cicho. — Pogadamy w domu. Na razie spadajmy stąd.

— Zobaczyli cię? — wystraszyła się Eliza, przebierając nogami, by nadażyć za długimi krokami koleżanki.

— Nie mieli prawa — odparła krótko Dominika. — Ginter zajęty był łagodzeniem awantury... Całowali się... Trafiłaś z tym romanssem...

Eliza natychmiast poczuła się winna. No i czemu pozwoliła Domiśce zaglądać przez okno? Sama powinna była to zrobić, zamiast narażać koleżankę na ciężką psychiczną traumę. No, owszem, trochę lat minęło, ale jednak musiał ją zabołec ten widok. Młodsza rywalka obok faceta, który kiedyś jej deklarował uczucia...

— Co tak nic nie mówisz? — zagadnęła Dominika, kiedy przeszły przez drogę i ruszyły łąką ku jej domowi. Stała, przyjrzała się uważnie ściągniętej współczuciem twarzy Elizy i parsknęła cichym śmiechem. — Myślałaś, że się przejęłam? Liza, to było ponad dwadzieścia lat temu! Mam nosić żałobę po Lucjuszu? Jak dla mnie to on może mieć i harem! Szkoda mi tylko tej dziewczyny. Widzisz, ja już wiem, że Ginter jest podręcznikowym przykładem egoisty i nigdy się nie zmieni. Wykorzysta w każdy możliwy sposób, wysie, co się da, zniszczy i poszuka następnej ofiary. Kiedy Arska to odkryje, będzie już za późno. Trzeba mieć dużo siły i oddanych przyjaciół, żeby po totalnej rozsypce znowu siebie polubić.

— Wredny modliszek — mruknęła Eliza z ulgą. — Nie lubię go.

— To jesteś w większości. Nikt go nie lubi, poza nim samym... No, aktualnie chyba jeszcze Arska... Wchodź. — Dominika otworzyła tylne drzwi, zsuwając niecierpliwie frotkę z włosów i potrząsnęła głową w nadziei, że jakoś się ułożą. — Ciekawe, czy już wrócili z tego lasu...

Kiedy weszły do pokoju, z kanapy poderwała się zdenerwowana Malwina. Komisarz nie miał możliwości, by zademonstrować stan swojego samopoczucia, bo jego kolana zaanektowały koty.

— Gdzie was poniosło?! — wrzasnęła gniewnie Malwina. — Miałyście siedzieć na tyłkach i czekać na nasz powrót! Mogłyście choć kartkę zostawić!

— Jakoś tak szybko nam poszło... — Eliza natychmiast zaczęła się usprawiedliwiać, ale przerwała jej Dominika.

— Nie wrzeszcz tak. Nie miałyśmy czasu na pisanie kartek. Poszliśmy sprawdzić, co porabia Lucjusz. Przyszło nam do głowy, że może jak najszybciej będzie chciał się stąd ewakuować... Zajrzałam przez okno... Nie, nie widział mnie — dodała szybko, kiedy poczuła na sobie pytający wzrok Storosza. — Jest u niego Arska. Nic nie słyszałam, ale wyglądało na to, że się kłócili. Na podłodze stała wypchana torba turystyczna, którą Lucjusz zawsze zabiera na dłuższe wyjazdy, a na łóżku leżał owinięty w papier pakunek. Miał rozmiary dużego obrazu. Nie sądzę, niestety, żeby to była ikona...

— A ja sądzę — odezwał się komisarz, próbując ukryć ulgę i zachwyt, jakimi napawał go widok całej i zdrowej Dominiki. Dla niego wyglądała jak mocarna bogini zemsty: aureola rudych włosów, ogromne, rozświetlone jakąś wewnętrzną siłą zielone oczy, tunika, która miękkimi fałdami spływała z biustu, oraz legginsy podkreślające zgrabne nogi. Przypomniał sobie, że w zamierzchłych epokach o takich ramionach i nogach kobiecych powiadano, że są toczone, i stanęły mu przed oczami portrety pulchnych arystokratek. Ale Dominika nie była gruba. Była masywna. Poszczególne elementy jej ciała miały większe gabaryty niż u kobiet, które znał, ale jednocześnie całość była idealnie proporcjonalna... Z trudem oderwał się od tych przemyśleń, odchrząknął i wrócił do tematu: — W jednym z worków znaleźliśmy coś takiego. — Delikatnie zdjął z siebie koty, wstał i sięgnął po coś, co było oparte o bok kanapy. — Co to jest, według ciebie?

— Zagruntowana deska. Gotowa do malowania. Na moje oko pięćdziesiąt na siedemdziesiąt... Rany, ale ciężka!

— Odwróć ją — polecił komisarz.

Wykonała polecenie i zaniemówiła. Z tyłu widniało wgłębienie w formie prostokąta. Spojrzała na Storosza wielkimi oczami.

— Od razu ci powiem, że je zmierzyłem. Dwadzieścia dwa i pół na siedemnaście i pół... Jaką grubość może mieć ikona?

— Przeważnie od dwóch do dwóch i pół centymetrów — powiedziała powoli Dominika. — Te nowsze są grubsze, ale te stare... Jak wy to mówicie? — Popatrzyła na Malwinę, czując, jak furia rumieńcem wybija na policzki. — Ja pimpolę! Zabiję gada! To dlatego przerzucił się na akryle i drewno! Cholera,

sama byłam świadkiem, jak trząsał seryjnie te swoje Krzyki Kosmosu! Zabiję!

— Na razie wytrzymaj, Domiśka — poprosiła Eliza i zapytała: — A czym zakrywali tę dziurę, panie Adamie?

— Tym. — Komisarz ponownie sięgnął za kanapę i przyłożył do wgłębienia cienką sklejkę, idealnie dopasowaną słojami.

— Potem wystarczyło tylko dać z tyłu bezbarwny grunt akrylowy, żeby zabezpieczyć drewno, i nikt by się nie domyślił — powiedziała ponuro Dominika. — Nikt nie będzie kombinował ze sprawdzaniem takiego bohomazu, jeśli przewożący ma potwierdzenie kupna z galerii lub od autora... Zabiję gada! Najwyraźniej zamierzał ciągnąć ten biznes, jeśli miał przygotowane deski, ale coś go spłoszyło! Za...

— A nie będzie ci przyjemniej ze świadomością, że siedzi w ciupie i prędko nie wyjdzie? — Malwina próbowała ostudzić jej furję. — Bo swoje odsiedzi, prawda, panie Adamie?

— Prawda. Nie wywinie się. Prokurator się o to postara. Jest bardzo cięty na przemytników... Domisia, zostaw. Lada dzień będziemy go mieli.

— A jak zdąży zwiąć? — Dominika rzuciła mu złe spojrzenie i uniosła ręce w geście poddania. — W porządku. Nie zabiję gada, ale muszę mu coś zrobić, bo mnie rozerwie... — Dojrzała miny całej trójki i sapnęła z irytacją. — Wiem, że sama nie mogę, bo mnie poniesie i go uszkodzi. Wyślę zastępstwo. — I zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, wyciągnęła telefon. — Miki, nie śpisz jeszcze? — zapytała cicho, gdy usłyszała znajomy głos. — To dobrze, bo mam prośbę... Masz tam u siebie różne szpikulce. Zakradnij się do Lucjusza i załatw mu opony w tej sraczkowatej toyocie, co...? Tak, Miki, możesz wszystkie. Mam doła i muszę odreagować, a nic mi tak nie poprawi nastroju, jak dokopanie Ginterowi... Dzięki, kochany. Tylko uważaj, żeby cię nie zobaczył. I pamiętaj, że w każdej chwili jestem do dyspozycji, jak będziesz potrzebował jakiegokolwiek wsparcia... Dzięki. Na razie.

Rozłączyła się i potoczyła wokół pełnym satysfakcji wzrokiem. W oczach Malwiny dostrzegła aprobatę, na obliczu Elizy lekki przestrich, ale i podziw. Natomiast Storosz minę miał skomplikowaną. Wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować: udusić ją czy tylko zakuć w kajdanki.

— Wiem, że nie powinnam była napuszczać Mikiego — przyznała z rozbijającym uśmiechem. — Ale... — Rozłożyła ręce w geście bezradności. — Ty nie znasz Gintera, ja tak. I wiem, że kiedy tylko uzna, że coś mu zagraża, zniknie. Po prostu pozbawiłam go takiej możliwości... Myślisz, że te worki wywalił, bo taki pracowity? Spakowana torba, spakowany obraz... Nie, kochany. Jestem pewna, że poczeka, aż wszyscy pójdziemy spać i będzie próbował zwiąć!

Zanim komisarz zdążył coś powiedzieć, odezwała się Malwina:

— No i cóż pan taki nieużyty. Myśli pan, że nie widziałam, jak sam pan majstrował przy tym motocyklu? Arską pan uziemił, to co pan żałuje naszej Domiśce?

— Nie uziemiłem, tylko przyczepiłem lokalizator — wycedził przez zęby Storosz. Właśnie do niego dotarło, że pojedynczy mężczyzna nie ma szans, by okiełznać trzy upiorne kobiety. — A Ginter mógłby nas doprowadzić do swojego zleceniodawcy... Nie uciekłyby daleko. Służby graniczne są powiadomione... Oj, Domisia — spojrzął z wyrzutem na gospodynię — lepiej ci od tego?

— A wiesz, że tak — stwierdziła Dominika przeprasającym tonem.

— Jak my właściwie śpimy? — zmieniła temat Eliza. — Mamy przenieść rzeczy tutaj?

— Nie musicie. Adaś się uparł, że będzie urzędował na strychu. W tej zagraconej części zrobiliśmy małe przemeblowanie. Tam jest okno, które wychodzi na dom Mazurków. Otworzyłam je dzisiaj na oścież. W dzień, żeby wszyscy widzieli i niczego nie podejrzewali. Można stamtąd obserwować i dom Lucjusza...

— Sprytnie — pochwaliła Malwina. — Ma pan lornetkę noktowizyjną, tak?

— Owszem. — Komisarz z całej duszy żałował, że nie ma przy sobie choć jednego współpracownika. Albo współpracowniczki, bo może kobieta jakoś by sobie poradziła z tymi trzema damskimi demonami. — Mogą panie spokojnie iść spać. Będę czuwał.

— U Dory jest ciemno — przypomniała sobie nagle Eliza. — Jest dopiero po dwudziestej drugiej. Tak wcześnie chodzicie spać?

— Przeważnie. Najlepiej pracuje się rano... — Dominika wzruszyła ramionami.

— Dora chyba dalej siedzi u Mazurka — wtrąciła Malwina. — Widziałam, jak go wlokła do domu, kiedy byłam w kuchni. Minę miał jak osierocone dziecko. Pewnie wypłakiwał się jej w mankiet od rana i miała dosyć... To było jakieś pół godziny temu. Może go utula do snu albo już wróciła do siebie i nie ma ochoty na towarzystwo.

— Na razie proponuję, żebyśmy również utulili się do snu — powiedział stanowczo komisarz. — To znaczy: panie, bo ja mam zamiar jeszcze posiedzieć tam na górze. Przyznam, że niepokoi mnie obecność Arskiej.

Dominika potulnie pokiwała głową, ale Malwina i Eliza popatrzyły na siebie porozumiewawczo. Storosz zauważył tę wymianę spojrzeń i pożałował, że nie wziął ze sobą kilku par kajdanek. Już nabrał tchu, by wygłosić mowę na temat utrudniania pracy organom ścigania, kiedy od domu Mazurków dobiegł rozpaczliwy wrzask, który urwał się nagle. W ciszy, która zapadła, było coś złowieszczonego.

Dominika pierwsza wypadła z domu. Za nią rzucił się Storosz. Eliza, która była ostatnia, już na schodkach ganku przypomniała sobie, że w domu zostały koty. Zawróciła, pośpiesznie zatrzasnęła otwarte drzwi i sapiąc, pognąła za pozostałymi. Do nich dołączył Mikołaj — bosy, z gołym torsem, odziany tylko w spodnie od dresu.

Na ganku Mazurków Dominika szarpała się z drzwiami, które okazały się

zamknięte. Storosz odsunął ją bez słowa, wyważył je jednym pchnięciem i wpadł do środka. Od niewielkiego kwadratowego przedpokoju biegło troje drzwi. Te naprzeciwko frontowego wejścia były szeroko otwarte i tam najpierw zajrzał komisarz. Cofnął się od razu i powstrzymał pozostałych.

— Zostańcie tu. Niech nikt nie wchodzi do pokoju! Muszę sprawdzić, czy żyją... — Podszedł do siedzącej w głębokim skórzanym fotelu Zawojskiej i sprawdził puls, a potem pochylił się nad Mazurkiem, którego ciało przelewało się przez oba podłokietniki. — Nie żyją... Wyjdźcie na zewnątrz. Muszę ściągnąć ekipę, niech zbiorą ślady — powiedział oficjalnie, uznawszy, że w tej sytuacji dalsze udawanie nie ma sensu.

Cała czwórka wycofała się w milczeniu przed dom.

— Jak to: nie żyją? — wyrwało się wstrząśniętej Dominice. — Dora? I Boguś? — W panice rozejrzała się po obecnych. — Co tu się dzieje?! — krzyknęła histerycznie. — To jakieś Amityville?! Kto to zrobił...?! — Zachłysnęła się nagle i z przerażeniem jęknęła: — Gdzie jest Bruno?! On też?! Bruno!!!

— Tu jestem! — dobiegł zduszony głos. — Przy lesie... Kuźwa, niech mi ktoś pomoże, bo uszkodzę tę cholerę i pójde siedzieć! Leż spokojnie, babo!

— Babo? — Malwina spojrzała na Elizę, po czym obie zerwały się do biegu.

Za nimi pokłusował Mikołaj, a na końcu krokiem zombie ruszyła przygnębiona Dominika. Znała możliwości Brunona. Nie wątpiła, że poradzi sobie z każdym przeciwnikiem.

Zadyszana Malwina zatrzymała się raptownie, patrząc na kotłujące się na drodze dwa ciała. Olbrzymi Bruno przygniatał sobą drobną postać, która zaciekle walczyła, na oślep kopiąc nogami obutymi w czarne trapery i osłoniętymi czarnymi legginsami, przy okazji wyrzucając z siebie krótkie komunikaty, które śmiało można było uznać za groźby karalne.

Malwina nie zastanawiała się długo. Kucnęła, badając po omacku podłóżę, i jej palce trafiły na podłużny kamień. Chwyliła go mocno.

— Pan ją przycisnie na gorze — rozkazała Brunowi, kiwając jednocześnie na Dominikę. — Domiśka, przytrzymaj jej te odnóża. Tylko mocno, bo nie chcę jej zrobić większej krzywdy, niż muszę... — Przykucnęła obok, zdecydowanym ruchem przyłożyła kamień węższym końcem do miejsca, w którym wedle jej wiedzy znajdowało się kolano delikwentki i zimno oświadczyła: — Nie ruszaj się, bo do końca życia będziesz kaleką. Jeśli drgniesz, przestrzelę ci kolano.

— To było dobre — stwierdził z aprobatą Bruno, kiedy jego przeciwniczka znieruchomiała wreszcie. — Miki! Zmienisz mnie. Siadaj na niej, bo muszę jeszcze coś sprawdzić...

— Na kobiecie? Mam usiąść na kobiecie? — Mikołaj Gałuszko miał na obliczu grozę.

— Widziałem na własne oczy, jak wyłaziła przez okno od Mazurków! — huknął zniecierpliwiony Bruno. — Wrzask Bogusia też słyszałem. Wy pobiegłście do domu, a ja za nią. Zapomnij o jej płci i po prostu jej pilnuj,

okej?

— Siadaj, Miki! — warknęła Dominika, która bez żadnych wyrzutów sumienia siedziała już całym ciężarem na nogach zatrzymanej. — Jeśli uciekała stamtąd, to pewnie ona zabiła Dorę! Siadaj, mówię! Potem będziesz przeżywał!

— To nie... O Jezu... — stęknęła Ewelina Arska, kiedy pokonany Mikołaj posłusznie usiadł na jej plecach. — Nie... mogę... oddychać... To nie ja... Oni... już... nie... żyli... kiedy... — Wyrwało jej się kwieciste przekleństwo, a potem zaczęła spazmatycznie dyszeć.

— A jak się udusi? — zapytał z obawą Miki, na wszelki wypadek przesuwając się nieco.

— Nic jej nie będzie — oświadczyła twardo Dominika. — Jak ma siłę, żeby bluzgać...

Malwina z ulgą podniosła się z kucków, ściskając w garści drogocenny kamień i ukradkiem pomacała się po krzyżu.

— Dokąd on poszedł? — zapytała niespokojnie Eliza, która z całego serca zazdrościła przyjaciółce refleksu i pomysłu rodem z książek kryminalnych.

— Pewnie sprawdzić, co z Lucjuszem — odparł Mikołaj, rzucając Dominice przepraszające spojrzenie. — Załatwiłem te opony, jak chciałaś. I wlałem na Brunona, kiedy wracałem. No i... Wiesz, jaki jest Bruno. Musiałem mu wszystko powiedzieć... Kazał mi wracać do domu, a sam poleciał na podwórko Lucjusza. Nie mam pojęcia, co tam zobaczył, ale...

Nie dane mu było dokończyć, bo nagle rozległ się warkot samochodu i od strony Zwierzyńca błysnęły reflektory. Eliza i Malwina natychmiast wyskoczyły przed zasiedlającą szutrowe podłoże grupkę i zaczęły wymachiwać rękami.

— Co tu się dzieje? — Z radiowozu, który zahamował z piskiem tuż przed nimi, wyskoczył młody policjant. Jego prawa dłoń tkwiła pod kurtką i Elizie nieprzyjemny dreszczyk przeleciał po plecach. — Gdzie komisarz Storosz?

— W tej chałupie. — Malwina pokazała ręką. — Pilnuje nieboszczyków i pewnie zabezpiecza miejsce zbrodni... A my tu mamy dla panów prezent. — Odsunęła się, odsłaniając nieruchomą trójkę, która sprawiała wrażenie skomplikowanego konstrukcyjnie pomnika. — Została złapana, kiedy uciekała z miejsca... z domu, w którym dokonano zbrodni — poprawiła się. — Nazywa się Ewelina Arska. Zabierzcie ją, panowie, bo oni chyba już mają dość tego siedzenia.

Oślupiały policjant z niedowierzaniem patrzył na statyczną ludzką kompozycję, ale nim otworzył usta, z drugiego samochodu wyszedł starszy, posiwiał mężczyzna, jednym rzutem oka ocenił sytuację i polecił:

— Skujcie ją i do radiowozu. — Z tyłu rozległ się klakson. — Szybciej, bo doktor się niecierpliwi.

Dominika i Mikołaj z ulgą przyjęli możliwość uwolnienia się od przykrego obowiązku. Ewelina Arska błyskawicznie znalazła się w radiowozie z rękami

skutymi za plecami i cała kolumna podjechała pod dom Mazurków. Na ganek wyszedł Storosz. Powiedział coś do starszego mężczyzny i gestem pokazał grupce techników, by weszli do środka. Przy samochodzie do przewozu zwłok pozostał lekarz, który z niedowierzaniem rozglądał się wokół.

— To prawdziwe? — nie wytrzymał w końcu. — Wygląda jak skansen. Jak w tym mieszkać?

— Normalnie. — Mikołaj wzruszył ramionami. — Wejdzie pan do Mazurków, to pan zobaczy... O, Bruno idzie! — zawołał z dziwną uciechą.

Wszyscy jednocześnie obrócili głowy w stronę, którą wskazywał. Potężny Bruno Szumski popychał przed sobą cherlawego Lucjusza Gintera, który wyglądał na cokolwiek sponiewieranego. W oczach Dominiki błysnęła mściwa satysfakcja. Malwina i Eliza poczuły ulgę i nadzieję, że ten pakunek, o którym mówiła wcześniej ich koleżanka, rzeczywiście przypieczętuje los jej byłego małżonka.

— Widziałem, że policja przyjechała — powiedział Bruno, podchodząc do nich i trzymając malarza za pasek od spodni. — To niech go sobie zabiorą od razu. Dość się z nim naszarpałem. Chciał prysnąć, ale samochód odmówił współpracy. — Zarechotał basem. — Kto tu rządzi? Bo nie mam ochoty go niańczyć...

Z domostwa Mazurków wyszedł siwy mężczyzna ze Storoszem u boku. Dał znak doktorowi, który oderwał się od kontemplacji i poszedł popracować. Siwy zapalił papierosa.

— Hej! Pan tu dowodzi? — Bruno swoją wielką łapę zacisnął na wątlym ramieniu Lucjusza.

Nieznajomy przyjrzał mu się z uwagą i skinął na komisarza.

— Przejmij go, Adam. Niech go kierowca skuje i wsadzi do drugiego radiowozu, żeby się nie komunikował z Arską.

Zaskoczony Bruno pozwolił sobie odebrać więźnia i biernie przyglądał się, jak skutego Lucjusza młody kierowca lokował w radiowozie, ale kiedy Storosz zawrócił ku domostwu Mazurków, nie wytrzymał.

— Ej! Zaraz! Kim ty właściwie jesteś?

Komisarz odwrócił się ku niemu i rozłożył ręce.

— Komisarz Adam Storosz z komendy w Zamościu... Sorry, Bruno. Musiałem. Taka praca.

— Domiśkę też oszukałeś? — zapytał ostro rzeźbiarz i natychmiast klepnął się w czoło. — Chyba jestem zmęczony, bo mi mózg nie działa... Przecież to jasne, że wiedziała... Z tą historią sztuki to też ściema?

— Prawda. Nie każdy gliniarz musi być od razu idiotą.

— Przynajmniej imię podałeś prawdziwe. — Głos Brunona złagodniał. — Nieważne... Możemy pogadać? Gdzieś na uboczu?

— Jasne. — Storosz bez wahania poszedł za nim do chałupy.

— Będą się bili? — zapytała cicho zaniepokojona Eliza.

— Przestań! — rozzłościła się Dominika. — Bruno tylko tak wygląda! Tyle

jego, co wypyszczy! Nie ma tu co sterczeć. Jak będą chcieli z nami rozmawiać, to nas znajdą. Chodźmy do domu... Miki, przyjdź jutro na śniadanie, dobra?

— Jasne! — Ucieszony Mikołaj przyłożył palce do skroni, jakby salutował i podreptał do siebie.

Malwina i Eliza w milczeniu ruszyły za Dominiką. Były świadome, że nie ma ochoty na rozmowy, więc w domu tylko uzgodniły, w jakiej kolejności skorzystają z prysznic i rozeszły się do swoich pokoi. Przyjaciółki miały szczerzy zamiar omówić najnowsze wydarzenia, ale okazało się, że mruczenie kotów, które zagnieździły się w ich łóżkach, działa lepiej i szybciej niż leki usypiające. Zasnęły błyskawicznie.

Dominika umyła się, na koszulę nocną zarzuciła sweter — bo noce jeszcze były chłodne — wzięła telefon i usiadła na schodkach ganku. Przez chwilę patrzyła na usiane gwiazdami niebo, jakby miała nadzieję, że ten widok przyniesie jej spokój, potem westchnęła i wybrała z książki telefonicznej numer, pod który już od dawna nie dzwoniła.

— Obudziłam cię? — spytała cicho. — Przepraszam, ale musiałam... Bella... — Głos jej drgnął. — Lepiej, żebyś się ode mnie tego dowiedziała... Dora nie żyje — wykrztusiła i zapłakała rozpaczliwie. — I Boguś też... Co...? Nie wiem dokładnie, bo nas nie wpuścili do środka, ale... Policja zgarnęła Lucjusza i Ewelinę Arską z Zamościa... Bella, co z nami teraz będzie? Baški mi nie szkoda, ale Dora... Czemu ty się wtedy zgodziłaś, żeby oni wzięli ten dom? — zapytała z rozżaleniem. — Gdybyś tu była, byłoby normalnie... A teraz... Zostaniemy we trójkę... I te puste domy... — Słuchała przez chwilę, ocierając wierzchem dłoni łzy, które nie przestawały płynąć. — Przyjedziesz? — Pociągnęła nosem. — Naprawdę? Jutro?... Wytrzymam. Jak już wiem, że przyjedziesz, to jakoś wytrzymam... Dzięki, kochana. Pa.

Kiedy zakończyła rozmowę, z cienia wynurzyła się znajoma postać. Storosz sięgnął do kieszeni kurtki i podał jej bez słowa paczkę chusteczek. Wyjęła jedną, przetarła zapłakaną twarz i wydmuchała nos, starając się nie hałasować.

— Domisiu, będę musiał wrócić z ekipą. Pewnie czekają mnie nocne przesłuchania... Mogę zostawić u ciebie samochód i rzeczy?

— Pewnie. — Wzruszyła ramionami. — Żaden problem. Kiedy odbierzesz?

— To zależy, jak szybko oboje zaczną mówić — westchnął komisarz. — Może to, czego dowiedziałem się od Brunona... Może dzięki temu zaczną się wzajemnie oskarżać i pójdzie z górki... Domisiu, przepraszam, ale usłyszałem, jak mówiłaś o tych pustych domach... Może... Może ja bym jeden kupił? Jeśli mnie będzie stać — zastrzegł. — Mam trochę oszczędności i własne mieszkanie, które mogę sprzedać albo wynająć. I już postanowiłem, że to będzie moja ostatnia sprawa. Ciszek, ten prokurator, już złożył papiery. Idzie na emeryturę, bo ma dość. Szczerze mówiąc, ja też czuję się już wypalony. Dwadzieścia pięć lat służby stuknie mi w lipcu. Z przyjemnością zamienię Zamość na tę leśną enklawę. O ile się zgodzicie, bo słyszałem, że decyzyje

w tych sprawach podejmujecie wspólnie... Co ty na to, Domisiu? — Spojrzał na nią pytająco. — Pewnie cię rozśmieszę, ale zawsze marzyłem o własnym ogrodzie...

Dominika siedziała ze spuszczoną głową i wsłuchiwała się w siebie. Miała wrażenie, że po tych słowach ciężar w sercu jakby zelżał.

— Jeśli naprawdę chcesz... Miki i Bruno cię polubili, ale to Bella decyduje. To ona wymyśliła tę Kolonię i ona zawsze nam pomagała, kiedy byliśmy w dołku... Powiem jej o twojej ofercie. Jutro... a już prawie dziś... ma przyjechać. Powiedziała, że zgłosi się na policję. Jak będziesz z nią rozmawiał — uśmiechnęła się — postaraj się zrobić dobre wrażenie...

Wstała i w tym samym momencie oboje usłyszeli niecierpliwy głos siwego prokuratora:

— Adam! Wracamy! Zbieraj się!

— Wróć, Domisiu — obiecał cicho i odszedł.

18 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA, PÓŹNE POPOŁUDNIE

Malwina i Eliza siedziały na schodkach ganku, nie mogąc oderwać oczu od samochodu, który zahamował z piskiem opon na środku drogi. Przypominał zorzę polarną — smugi szmaragdowej zieleni przechodziły w delikatny seledyn i stapiały się z liliwościami podbitymi prawie niewidocznymi liniami fioletu. Pierwsze nuty klaksonu grającego fragment „Poranka” Griega sprawiły, że smętna od wczoraj Kolonia ożyła.

Malwina i Eliza, słysząc dobiegający z domu tupot zbiegającej z pracowni Dominiki, odruchowo odsunęły się na boki. I dobrze zrobiły, bo ich gospodyni niemal sfrunęła ze schodów. Filigranowa kobieta, która wysiadła z samochodu, otworzyła szeroko ramiona i Dominika wpadła w nie, pochylając się, by przybyła mogła ją objąć.

Z domu naprzeciwko wypadł rozczochrany Bruno z rozwichrzoną brodą. Przeczekał niecierpliwie powitanie, po czym złapał nowoprzybyłą pod pachy, postawił na stojącej przy płocie drewnianej skrzyni i uściskał serdecznie, wydając niezrozumiałe okrzyki. Za nim już stał, przestępując z nogi na nogę Mikołaj, który wreszcie nie wytrzymał i szturchnął rzeźbiarza, a kiedy ten niechętnie oderwał się od gościa, przytulił kobietę i zastygł nieruchomo.

Malwina i Eliza oglądały ten spektakl z szeroko otwartymi oczami. Domyśliły się, że oto przybyła długo oczekiwana Bella, ale wiek gościa je zaskoczył. Były pewne, że malarka jest rówieśnicą mieszkańców Kolonii, tymczasem wyglądała na sporo starszą. Choć obie musiały przyznać, że trzymała się świetnie. Krótkie blond włosy, podniesione na czubku głowy, tworzące wokół drobnej twarzy artystyczny nieład, a jednak ułożone, tworzyły złotą aureolę. Przy szyi miała zamotaną apaszkę rozmigotaną od barw. Strój stanowiła seledynowa tunika rozcięta na bokach, ciemnozielone legginsy i miękkie, jasne mokasyny. Od tej drobnej kobiety biła niesamowita energia.

— Zdejmij mnie, Bruno — poleciła stanowczym, ale ciepłym w brzmieniu głosem. A kiedy posłusznie postawił ją na ziemi, spojrzała na zapatrzone kraśniczanki, uśmiechnęła się i oświadczyła: — Mam siedemdziesiąt lat. Tu. — Wskazała na twarz. — Bo tu — dotknęła palcem głowy — mam różnie. Czasem tyśiąc, a czasem dwadzieścia. — Z wyciągniętą ręką podeszła do Malwiny i Elizy, które poderwały się ze schodków. — Jestem Bella. I tak mnie nazywajcie. O was opowiadała mi Domiśka... Naszykowaliście wszystko, jak prosiłam? — Przeniosła wzrok na swoich podopiecznych, którzy pokiwali głowami. — To idziemy. Wy też czujcie się zaproszone, dziewczynki. Będziemy żegnać Dorę... Chodźmy.

Bruno i Miki ujęli ją za ręce i poprowadzili za swoje domy.

Malwina i Eliza powiodły za nimi wniebowziętym wzrokiem. Już nie

pamiętały, kiedy po raz ostatni zostały nazwane dziewczynkami. Poczekały na Dominikę, która przestawiła samochód Belli pod dom Dory i razem z nią poszły tam, gdzie stos suchego drewna czekał na podpalenie.

18 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA, PÓŁNOC

— Nie wydaje ci się, że ta cała stypa była trochę pogańska? — zagadnęła Eliza cicho, by nie przeszkadzać śpiącej z łebkiem opartym na jej ramieniu Fridzie.

Obie, zmęczone wrażeniami i mocno ostatnio niedospane, leżały w łózkach z kotami, które najwyraźniej przedkładały ich towarzystwo nad spanie z właścicielką. Choć podejrzewały, że i one zostałyby porzucone, gdyby na horyzoncie pokazał się Adam Storosz.

— Chyba zwariowałaś! — oburzyła się, również szeptem, Malwina. — Co ty tam widziałaś pogańskiego? Że rozpalili ognisko i wspominali Dorę? To akurat było piękne! A Bella miała rację, kiedy mówiła, że ogień oczyszcza. Widziałaś, jaka Domiśka chodziła struta od rana? A przy ognisku się uspokoiła — westchnęła. — Właściwie jesteśmy okropne jako goście. Powinnyśmy były wyjechać i zostawić ją samą, żeby to wszystko jakoś w sobie przeryła — wyznała uczciwie. — Ale kiedy pomyślałam, że może już nigdy nie dowiemy się z pierwszej ręki, co tu się właściwie stało... Bo rozumiem, że utłukli Wrednego Kurdupła, ale dlaczego Dorę i tego Bogusia...? Jesteśmy okropne — powtórzyła. — Nie mamy za grosz empatii...

— Ale Domiśka nie okazywała jakoś specjalnie, że chciałyby się nas pozbyć — szepnęła niepewnie Eliza.

— Miała nam na czołach napisać? — fuknęła Malwina i zamarła, gdy rozwalony rozkosznie obok August poruszył się. — Zamknęła się w pracowni. To chyba wystarczy? Nie miała ochoty z nami rozmawiać.

— Zamknęła się w pracowni, bo przygotowywała rekwizyty na to całopalenie — poprawiła Eliza.

— Jakie rekwizyty? Przyniosła tylko mały portrecik Dory, który dziś namalowała, i postawiła go na sztalugach przy ognisku. W ognisko każdy wlał ostatnią kroplę wina, kiedy dziękowali Dorze za wspólnie przeżyte lata... Mnie się to bardzo podobało — oznajmiła Malwina. — Miałam wrażenie, że ona tam była i tego wszystkiego słuchała. I że pewnie było jej choć trochę przyjemnie...

— Przestań! — Eliza zadrżała.

— Te wszystkie mowy pogrzebowe są okropne! W kościele ostrzegają na wszelki wypadek, że wszyscy jesteśmy grzeszni i żeby się nie łudzić, że zwykły śmiertelnik od razu trafi na rajską chmurkę, a na cmentarzu mówcy pocieszają rodzinę, że zmarły był chodzącym ideałem albo że był wybitny, albo że był najlepszym pracownikiem i inne takie dyrdymały. A żałobnicy, a czasem i sama rodzina, myślą sobie: o kim oni mówią?

— No bo taki jest zwyczaj: o zmarłych dobrze albo wcale...

— I nie zalatuje ci to hipokryzją? — szepnęła Malwina z irytacją. — Kogo

chęć okłamać? Nieboszczykowi już wszystko jedno, a tych, co go znali, i tak nikt nie przekona... Mnie się podobało to, co wymyśliła Bella. Każdy wspominał Dorę po swojemu.

— Nie każdy właśnie — powiedziała Eliza z wahaniem. — Bella jej nie wspominała. Kiedy strząsała tę ostatnią kroplę z kieliszka, powiedziała: Wybacz mi, Doro, jeśli potrafisz.

— Też mnie to zaskoczyło, ale nie zgadnę, o co chodzi. Domiśka, Bruno i Miki też chyba nie załapali, bo widziałam ich miny... A jednak... Wiesz, nawet gdyby nic nie mówili, to czuło się, że w tym momencie z nią byli. Z Dorą. Oddali jej swój czas i myśli. Nie z obowiązku. Dlatego, że chcieli. I to mi się najbardziej podobało...

Eliza nie odpowiedziała. W głębi duszy wiedziała, że większość żałobników bywa na pogrzebach z obowiązku lub ciekawości. Po skończonej ceremonii oplotkują nieboszczyka lub jego rodzinę, a potem wyrzucają ich z pamięci i wracają do swojej zaganianej codzienności. Ci, którzy naprawdę cierpią, pozostają z tym sami.

— Jak myślisz? — szepnęła Malwina. — Storosz pojawi się przed naszym wyjazdem? Bo został nam już tylko jeden dzień. W niedzielę musimy wracać.

— Mam nadzieję, że zdąży. — Eliza uśmiechnęła się do siebie w ciemności. — Bella powiedziała, że pytał ją o możliwość kupna domu tutaj. I że ona się zgadza.

— Myślisz, że Domiśka i on...

— Mam taką nadzieję. Pasują do siebie...

19 KWIETNIA, RADLINIEC-KOLONIA, POPOŁUDNIE

Bella wyjechała rano, zapowiedziawszy wcześniej, że w ciągu najbliższego miesiąca zlikwiduje mieszkanie w Zamościu i wróci na stare śmieci. Poprosiła, by w wolnym czasie spakowali wszystkie osobiste rzeczy Mazurków, a ona zajmie się resztą.

— Jesteś pewna, że masz do tego prawo? — zapytała ostrożnie Malwina. — Może istnieją spadkobiercy i potem będziesz miała kłopoty?

— Malwinko, kochana, będzie w porządku. — Bella uśmiechnęła się uroczo. — Boguś zapisał wszystko Dorze. Wiem o tym, bo osobiście sporządził testament i zostawił go u mnie. Jeszcze zanim Baśka zginęła. Choć w ten sposób chciał się zemścić. A Dora swój majątek zapisała mnie. I odwrotnie. Nie myślałam, że ją przeżyję, więc notarialnie spisałam testament na jej korzyść. — Popatrzyła na miny całej piątki i westchnęła. — Oj, długo jeszcze będziemy po nich sprzątać... Trzymajcie się, dzieci. Zajrzę w przyszłym tygodniu i ustalimy, co zrobić, żeby przetrwać.

— A co z domem Lucjusza? — zapytał Miki podejrzliwie, łapiąc ją za ramię.

— Tu nie będzie żadnego problemu. Kupiliśmy tę chałupę do spółki z Dorą. Lucjusz ją tylko wynajmował... Co? Nie przyznał się wam?

— To dlaczego mu nie wymówiłaś wynajmu, kiedy Baśka wsadziła tyłek do twojego domu? — wkurzył się Bruno. — Mogłaś tu zostać. Może to wszystko by się nie zdarzyło!

— Nie mogłam. Chroniłam Dorę... Adam opowie wam o wszystkim. Nie oceniacie mnie zbyt surowo. Będę za to płacić do końca życia...

Wsiadła do samochodu i ruszyła z piskiem opon, zostawiając ich z bardzo skomplikowanymi uczuciami. Wreszcie Bruno gniewnie wzdrygnął ramionami i poszedł do siebie. Miki westchnął, zmierzwił włosy i mruknął:

— Idę do swojej gliny. Dobrze mi to robi. Przy robocie mózg mi wchodzi w ręce i myślenie przestaje boleć.

Kiedy odszedł, Dominika spojrzała z rozpaczą na koleżanki.

— Co ona ukrywa przed nami? — zapytała ze strachem. — Przecież ona nie mogła... No, nie mogła! Dora była dla niej jak córka!

— Zabrzmiało to tajemniczo — przyznała Malwina.

— Oj, przestańcie! — obruszyła się Eliza. — Powiedziała, że Storosz wszystko wyjaśni. Nie wierzę, że zrobiła z premedytacją coś złego. Nocowała w domu Dory. I tak sobie myślę, że to był jej sposób, żeby ją pożegnać tylko od siebie... Wy opowiadacie każdemu o wszystkich głupotach, jakie udało wam się popełnić? Każdy ma coś takiego na sumieniu... Domiśka, prześpij się albo spadaj na górę i maluj, to przestaniesz myśleć głupotach. A my z Malwiną idziemy do kuchni. Jutro wyjeżdżamy i będziesz miała wreszcie spokój.

Zostawimy ci przynajmniej trochę domowego żarcia, żebyś nie musiała się wysilać.

Dominika rzeczywiście zaszyła się w pracowni, a przyjaciółki przystąpiły do produkcji ruskich pierogów, które — jak pamiętały z młodości — koleżanka uwielbiała. Malwina z rozpędu upiekła ciasto ze śliwkami znalezionymi w czeluściach zamrażarki i nagotowała zupy grzybowej, bo odkryła w słoiku suszone borowiki.

Kiedy Eliza odcedzała ostatnie pierogi, których wyszło jakoś dziwnie dużo, bo Malwina zrobiła ciasto z kilograma mąki, dobiegło ją alarmujące miauczenie kotów. Roztrzęsiona wybiegła z kuchni i zobaczyła, że Frida i August kotłują się przy drzwiach wejściowych. Wyglądało na to, że żadna krzywda im się nie dzieje, ale miauczały tak rozpaczliwie, że Eliza wpadła w panikę.

— Jezus Maria, co im się stało?! — Z dużego pokoju wybiegła przerażona Malwina, która akurat zabrała się za porządki. — Domiška! Złaż! Kotom coś się dzieje!

Dominika z tupotem zbiegła po schodach, złapała oba koty pod pachy, zaniósła do pokoju i ze strachem zaczęła obmacywać. Kiedy oglądała rudą Fridę, która się wrywała, August skorzystał z okazji, dopadł drzwi i na nowo włączył nadawanie. Puściła więc kocicę i powtórzyła operację z pstrokatym kocurem, usiłując nie słyszeć wrzasków Fridy.

— I co? — zapytała zdławionym głosem Eliza.

— Nie wiem. — Dominika bezradnym gestem odsunęła z czoła rozczochrane włosy. — Nie wydaje mi się, żeby coś je bolało, bo drą się tylko pod drzwiami... Nie wiem... Może powinnam zamówić wizytę u weterynarza...

— A może one uznały, że już nie chcą być kanapowe? Może życzą sobie, żeby je wypuścić? — podsunęła niepewnie Malwina.

— Nigdy nie były na zewnątrz! Nie mogę...

Przerwało jej pukanie do drzwi. Poderwała się i znowu złapała wrywające się koty, dając znak Elizie, żeby otworzyła drzwi. Wszystkie trzy zastygły na widok uśmiechniętego Storosza ubranego jak zwykły turysta, z plecakiem na ramionach.

— Co się stało? Przyszedłem nie w porę?

— Zamknij drzwi! — zażądała rozpaczliwie Dominika, a kiedy to zrobił, z ulgą opuściła rozszalałe koty na podłogę. — Zwariowały mi oba... Czy koty mogą być psychiczne...? Skąd się tu w ogóle wzięłeś? Nie słyszałam samochodu...

— Bo przyszedłem. Znajomy podrzucił mnie do Radlińca, a od cmentarza zrobiłem sobie spacer... Potrzebujesz weterynarza? — Komisarz przyjrzał się kotom, które z gardłowym pomrukiem kręciły ósemki wokół jego nóg. — Nie wydaje mi się, żeby coś im dolegało.

— Bo nic im nie jest — oświadczyła z ulgą Eliza. — Jakoś pana wyczuły i dostały amoku... Kurczę, jak psy! Ale muszą pana lubić — dodała z nutką

zazdrości.

— Mam coś dla nich... Mogę wejść?

— O matko... Pewnie! Wchodź! — oprzytomniała Dominika, odsuwając się od drzwi. — Zrobić ci coś do picia?

— Zrobiłam kompot z reszty tych mrożonych śliwek — powiedziała Malwina. — Zaraz przyniosę. Siadaj, Domiśka.

Dominika opadła na kanapę i przyglądała się w milczeniu, jak Adam wyciąga z plecaka kocie smakołyki, rozdziera torebkę i sprawiedliwie obdziela mruczące futrzaki. Nagle dotarło do niej, w jakich okolicznościach ostatnio się widzieli, i zeszywniała.

— Już wszystko wiecie? — spytała zdławionym głosem.

— Wszystkiego jeszcze nie. — Pokręcił głową. — Ciszek wciąż pracuje nad tą dwójką, żeby wydusić z nich jak najwięcej na temat naszego biznesmena. Ja nie mam aż takich ambicji. Wystarczy mi, że mam winnych trzech zabójstw i zlikwidowałem kanał przemytu... Bardzo mi pomogła Bella. Dzięki niej zrozumiałem motywy, a kiedy już je poznałem, wiedziałem, o co pytać, żeby uzyskać odpowiedź... Co tu tak pachnie? — zapytał, pociągając nosem. — Grzyby? Chyba jeszcze za wcześnie...

— Zupa grzybowa — poinformowała Malwina, niosąc dzbanek z kompotem. — Nakarmimy pana, ale nie za darmo. Powie nam pan, co może. Jutro wracamy do Kraśnika.

— Okej, robimy *deal* — zaśmiał się Storosz. — Powiem. Przyniosłem ze sobą na tę okoliczność domowej roboty wino. Z dzikiej róży. Słabe, ale bardzo aromatyczne.

Malwina i Eliza, która weszła z wagą parującej zupy, popatrzyły na siebie niepewnie i lekko się wzdrygnęły. Przypomniały im się konsekwencje degustowania słynnej nalewki Kaziowej w Krukielnikach.

— Jest pan pewien, że to wino jest słabe? — zapytała nieufnie Malwina.

— Przysięgam. — Storosz położył rękę na piersi. — Sam robiłem. To wino dla dam. Chłopakom przyniosłem w prezencie malinowy trójniak. Miód. Też mojej roboty.

— Policjant nie powinien rozpijać społeczeństwa — wytknęła mu Eliza, stawiając wagę na stole. — Domiśka, mamy ich czym nakarmić, ale krzesel ci zabraknie. Masz tylko cztery.

— Powiem, żeby przynieśli od siebie. — Dominika zerwała się z kanapy i wybiegła przed dom. — Miki! Bruno! Adam jest u mnie! Bierzcie krzesła i chodźcie! — Zajrzała do kuchni, w której krzątały się koleżanki. — Dzięki. Dobry miałyście pomysł, żeby ten stół przenieść do pokoju. Tu byśmy się nie zmieścili... Wiedziałyście, że Adam tu dziś będzie?

— Skąd! Chciałyśmy tylko upichcić domowy posiłek i podać go elegancko, żebyś nas dobrze wspominała — wyjaśniła Malwina. — Dlatego się porządziłam i położyłam ten obrus.

— Dzięki, kochane. Przemyję się szybko i jakoś przebiorę, bo ten dres... —

Spojrzała wymownie na pstrokaty od farb strój.

Brunonowi i Mikołajowi zaświeciły się oczy na widok domowych wspaniałości i Dominikę dziabnęły wyrzuty sumienia. Może niespecjalnie lubiła gotować, ale umiejętności posiadała. Nie musiała od razu lepić pierogów. Mogła od czasu do czasu ugotować zupę czy jakieś mięsne danie przyrządzić, żeby podkarmić obu.

— Mówiła wam Bella, że zgodziła się sprzedać mi dom Dory? — zapytał Adam przy pierogach, a kiedy skinęli głowami, dodał: — Mam zamiar zrobić przy nim ogród z prawdziwego zdarzenia. Nie mam zdolności artystycznych, jak wy, ale lubię gotować. — Bruno i Miki popatrzyli na niego z nadzieją. — Zawsze się u mnie pożywicie — obiecał. — Wiem, że Bella wraca do domu po Mazurkach, a jeden macie na zbyciu. Pomyślałem, że można by w nim zorganizować kwatery. Płatne. A wy moglibyście organizować warsztaty czy plenery malarskie...

— Pandemia jest, stary — przypomniał mu niewyraźnie Bruno i szybko przełknął kawałek pieroga.

— Ale kiedyś te obostrzenia zniosą w końcu — stwierdził optymistycznie Storosz. — A plany dobrze mieć.

— Pomyślimy — obiecała Dominika, zerkając na rozłożone na parapetach koty, które nie odrywały od komisarza wzroku. — Sprowadzisz się w lipcu?

Storosz pokręcił głową.

— Wcześniej. Dałem już Belli zadatek. Na stałe w lipcu, ale będę przyjeżdżał w każdej wolnej chwili. Bella mówiła, że chce uporządkować osobiste rzeczy Dory. Za ogród mogę się brać choćby teraz, ale w domu nie chciałbym jej przeszkadzać. W razie czego mogę nocować u ciebie?

— Jasne. Nie ma problemu.

Malwina ogarnęła wzrokiem całe towarzystwo i uznała, że pora przejść do konkretów. W oczach Elizy była niecierpliwość, a Bruno, Miki i Dominika wyglądali, jakby czekali na ścięcie.

— Widzę, że wszyscy się najedli. Chodź, Liza, przyniesiemy ciasto i kieliszki — zarządziła, wstając od stołu. — A pan niech postawi te swoje alkoholowe prezenty. Czas na wyjaśnienia.

Storosz przeleciał wzrokiem po mieszkańcach Kolonii i zdziwił się lekko widocznym w nich napięciem. Dominika zacisnęła usta, a jej oczy pociemniały z obawy. Miki nerwowo mierzwił rude włosy, a Bruno splatał i rozplatał palce.

— Co z wami? Nie interesuje was, co i dlaczego się wydarzyło?

— Co się wydarzyło, to wiemy — mruknął Bruno ponurym głosem. — Nie jestem pewien, czy chcemy wiedzieć dlaczego.

— Bella odziedziczyła wszystko po Dorze i Bogusiu — wyrzuciła z siebie zdenerwowana Dominika. — Boimy się, że...

Adam od razu zrozumiał i parsknął śmiechem. Napięcie opadło, cała trójka

wyraźnie się rozluźniła.

– Nic z tych rzeczy – powiedział i pokiwał głową. – No, ładnie. Widziałem Bellę raptem dwa razy w życiu i od razu wiedziałem, że jest dobrym człowiekiem, a wy... Co wam w ogóle do głowy przyszło? Dzięki temu, że powiedziała mi o tych testamentach, zrozumiałem, dlaczego została zamordowana Barbara Mazurek!

– A nie dlatego, że nie chcieli się z nią dzielić kasą? – zapytała Malwina, wnosząc paterę z ciastem.

– Niech pan zacznie od początku – poprosiła Eliza, stawiając kieliszki.

Kiedy obie usiadły na swoich miejscach, Storosz zaczął opowieść:

– Pewien biznesmen z Zamościa, nazwijmy go Iks, zwąchał się z Ruskimi zza naszej wschodniej granicy. Ikony w zamian za kasę. Dużą. Iks wytypował trzy województwa. Wynajęci ludzie kradli, odstawiali towar do ugadanej galerii, a Ewelina Arska odbierała. Z pierwszą ikoną mieli pecha. W galerii była nowa pracownica, nie miała pojęcia o układach, trafił się klient, nim Arska się pojawiła, i po zawodach. Przenieśli więc punkt odbioru do kawiarni należącej do biznesmena. Dwie ikony policja odzyskała, zanim tam trafiły. Ale wreszcie się udało. Przez jakiś czas ikony szły na Wschód, pieniądze płynęły, aż nagle ci ze Wschodu zmienili plan. Prawdopodobnie wzrosły haracze, które musieli po drodze opłacać przemytnicy po tamtej stronie. Teraz chcieli sami wywozić ikony. Bez pośredników, ale bezpiecznie. Biznesmen myślał, aż wymyślił. Przypomniał sobie, że jego znajoma dekoratorka mieszka w artystycznej Kolonii. Barbara Mazurek nie miała żadnych skrupułów i lubiła pieniądze. Skaptowała Lucjana Gintera. Przywoziła mu odpowiednio spreparowane deski, on je zamalowywał swoimi obrazami, a kiedy były gotowe, pojawiała się Arska z ikoną, wkładali ją w obraz, Ginter maskował skrytkę, a osobista asystentka naszego Iksa przekazywała całość szefowi wraz z fakturą sprzedaży wystawioną przez zamojską galerię... I to by była jedna opowieść. – Storosz sięgnął po wino i napełnił kieliszki paniom, po czym tę samą operację powtórzył, rozlewając miód dla panów.

– Ale jeśli wszystko grało, to dlaczego zginęła Baśka? – zapytała Dominika. – Chciała więcej pieniędzy?

– A tu się zaczyna druga opowieść... Zdrowia! – Poczekał, aż wszyscy spróbują trunków i ciągnął: – Ponad dwadzieścia lat temu pewna młoda studentka ASP zaszła w ciążę. Za ojca dziecka nie mogła wyjść, bo ten ożenił się z jej siostrą. – Dominika głośno wciągnęła powietrze i zastygła. Bruno i Miki zrobili wielkie oczy. – Ojciec rzucił jej łaskawie kasę na zabieg i zabronił wspominać o ciąży młodej mężatce. Dwudziestoczteroletnia Dora Zawajska nie wiedziała, co zrobić. Wpadła w depresję. W odruchu rozpaczki skontaktowała się ze swoją ukochaną wykładowczynią. Bella się nie wahała. W Zamościu miała mieszkanie po rodzicach. Na uczelni stosunki były coraz gorsze, więc odpuściła. Zabrała ze sobą Dorę i wyjechały do Zamościa. Tu Dora urodziła córkę. Dziecko było zdrowe, ale matka była w strasznym stanie

psychicznym. Jeszcze w ciąży próbowała popełnić samobójstwo... Depresja to straszna choroba. Bella bardzo się bała, że Dora zrobi coś złego sobie i dziecku. Nie chciała, żeby jej utalentowana studentka stała się dzieciobójczynią. Nie mogła jej pilnować przez cały czas, musiała zarabiać. Uznała, że musi ratować oboje. Znajoma pielęgniarka stworzyła fikcyjną kartotekę szpitalną na nazwisko Pauliny Arskiej i tak córka Dory stała się Ewelina Arską...

— Dora o tym wiedziała? — wykrztusiła Dominika.

— Nie. Była przekonana, że jej dziecko urodziło się martwe. To był poród pod narkozą... Bella była operatywna. Zdążyła sobie wyrobić chody w kościele: dostawała dużo zamówień i dobrze jej płacili. Kiedy leczenie farmakologiczne nie przyniosło poprawy, zabrała Dorę do Włoch. Przez dwa miesiące intensywnie się przemieszczały, oglądając największe dzieła sztuki. Dora odżyła. Po powrocie do Zamościa Bella znalazła jej dobrego psychiatrę, a potem namówiła na dekoratorstwo wnętrz. Kiedy już obie stanęły na nogi, Dora przypadkiem trafiła w to miejsce. Belli też się spodobało...

— Dlaczego powiedziała, że stąd uciekła, bo musiała chronić Dorę? — zapytała Dominika.

— Bo Barbara Mazurek dowiedziała się od umierającego ojca, że jej siostra była w ciąży z jej mężem. I straszyla, że zrobi wszystko, żeby ją znowu wpędzić w depresję...

— Nic by jej nie zrobiła! — Dominika poczerwieniała. — Dora była silna! Przeboleła wszystko! Bogusia też!

— Dasz za to głowę, Domisiu? — zapytał Storosz łagodnie. — Depresja to podstępna choroba. Ona nie odchodzi, tylko się przyczaja. Dora Zawojaska od wielu lat brała leki przeciwdepresyjne. Sprawdziłem.

— A po co ta cholerna Baśka w ogóle się tu pchała? — Głos Dominiki drżał od powstrzymywanej złości.

— Bo był tu ktoś, kto ją interesował. Przez jakiś czas w Krakowie ona i Ginter byli kochankami...

— A to gnida! — warknął Bruno, zaciskając mimowolnie pięści. — Mówiłem ci, że widziałem, jak się migdalili! Przypadkiem... To on kablował na nas Baśce, tak?

— Prawdopodobnie — przyznał Adam. — On lubi intrygi. I jest bardzo wścibski. I, niestety, potrafi logicznie myśleć. Arska wpadła mu w oko, a Barbary Mazurek miał już dość, bo była, jak sam stwierdził: coraz bardziej męcząca... Z początku umawiali się w hotelu w Zamościu, żeby uniknąć kłopotów. Wtedy Ginter dostrzegł znamię na ramieniu Eweliny. Jest malarzem, ma pamięć do szczegółów. Był pewien, że już takie samo widział, ale nie kojarzył u kogo. W końcu załapał. Zaczął wypytywać Arską o rodzinę. Jej matka... przybrana matka zmarła na nowotwór. Przed śmiercią wygarnęła jej, że nie jest jej prawdziwą córką. Były wtedy w bardzo złych stosunkach. Ewelina była jedynaczką i uważała, że wszystko jej się należy. Przybrany

ojciec, który nie cierpiał biedy, zostawił żonę i dziecko dla młodej kochanki. Alimentów nie płacił, bo domagał się testów na ojcostwo, a żona się nie zgodziła. O wszelkie niedostatki Arska obwiniała matkę. Po jej śmierci Ewelina trafiła pod skrzydła jej brata, czyli naszego Iksa. Miała wreszcie kasę, mieszkanie po matce do dyspozycji, jeździła dobrym samochodem...

— Jeździła motocyklem! — poprawiła Malwina.

— Prywatnie. Samochód był służbowy. — Uśmiechnął się komisarz. — No i miała kochanka, a świadomość, że korzysta z tego samego, co Barbara Mazurek, której nie znosiła, podnosiła jej ego.

— I dlatego ją zabiła? — zdziwiła się Eliza. — Żeby się pozbyć rywalki?

— Nie. Zabiła ją, bo Ginter zaczął się zastanawiać, czy Ewelina nie jest przypadkiem córką Dory i Mazurka. Wiedział od Barbary, że jej siostra była w ciąży. Kazał Arskiej zrobić test DNA, a potem jakoś zdobył wymaz od Mazurka. Okazało się, że trafił. O Dorze nie wspominał, bo uznał, że niewiele ma. Pan notariusz był bardziej wypłacalny. Ewelina pokazała mu wyniki testów i zaczęła go szantażować. Płacił, dopóki żona nie zorientowała się, że z konta znikają spore sumy, i nie zabrała mu wszystkiego. Ginter jej to zasugerował. Rozwścieczona zakręceniem kurka z forszą Ewelina nie miała żadnych oporów, kiedy Ginter powiedział, że jeśli zginie Barbara, a o jej śmierć zostanie oskarżony małżonek, to ona jako córka wszystko odziedziczy.

— Jak to? — wyrwało się z oburzeniem Elizie.

— Skazany w takich wypadkach nie może dziedziczyć — wyjaśnił Storosz. — Arska dosypała Barbarze psychotropów do kawy, kiedy spotkały się w kawiarni z polecenia Iksa. A panie — skłonił żartobliwie głowę w stronę obu kraśniczanek — zrobiły jej przysługę.

— Jak to?! — oburzyły się jednym głosem.

— Gdyby ciało się spaliło, policja pewnie uznałaby zdarzenie za wypadek, a Ewelina nic by nie zyskała. Ale panie ofiarnie wyciągnęły Barbarę z samochodu i dzięki temu znaleźliśmy te psychotropy. Aresztowanie Mazurka bardzo tę parkę ucieszyło. Ginter był podwójnie szczęśliwy, bo za jednym zamachem pozbył się coraz bardziej nachalnej Barbary, która w nim widziała kolejnego partnera życiowego, no i zamierzał partycypować w zyskach ze spadku. Oboje planowali wyjazd do jakiegoś przyjemnego kraju i wspólne szczęśliwe życie.

— To humor im się popsuł, jak go wypuścili — mruknęła mściwie Malwina.

— Ano popsuł — zgodził się komisarz. — Ginter jest chciwy, ale nie lubi ryzyka. Zamierzał zakończyć współpracę, odebrać zapłatę i zniknąć. Miał już przygotowany sfałszowany paszport. Znaleźliśmy go w samochodzie. Te śmieci zostawił w lesie z nadzieją, że zdąży się ich pozbyć po cichu...

— To nie mógł ich od razu włożyć do bagażnika? — nie wytrzymała Eliza.

— Nie mógł. Bruno przez cały wieczór kręcił się na tyłach. Nie chciał ryzykować. Z Eweliny też już zrezygnował. To, co widziałaś wtedy przez okno, Domisiu, miało być pożegnaniem. Tylko, że Arska dostała szału, kiedy się

dowiedziała o jego wyjeździe. Wymknęła się, weszła do lasu, udając, że wraca do Zamościa, odczekała chwilę i przekradła się do domu Mazurków. Nie zamykacie tu drzwi. Arska bez problemu weszła do środka. Była już tam, kiedy Dora przyprowadziła Mazurka. Pan notariusz wziął coś na sen i poszedł na górę, a Dora została na dole i wzięła książkę, żeby nie zasnąć...

— Trzęsa się nad nim jak nad dzieckiem — prychnęła z niesmakiem Dominika i w jej oczach błysnęła złość. — Udusiłabym go gołymi rękami, gdyby żył! Nic mu nie była winna! To on ją zostawił!

— Ale dlaczego zabiła Dorę? — nie mógł zrozumieć Miki.

— Bo zafiksowała się na pomysł Gintera: jeśli za winnego uznają Mazurka, to ona przejmie cały spadek — wyjaśnił Storosz. — Miała zamiar wytrzeć swoje odciski, ale usłyszała kroki na schodach. Mazurek nie mógł spać, a może czegoś chciał, dość, że pojawił się w pokoju, zobaczył zakrwawioną Dorę i narobił krzyku. Arska spanikowała. Uderzyła go tym samym pogrzebaczem i uciekła do drugiego pokoju. Kiedy my wpadliśmy do środka, ona ewakuowała się przez okno. To wtedy zobaczył ją Bruno, który wybiegł z domu. I na szczęście, dopadł.

— Czy ona miała w ogóle pojęcie, że zabiła własną matkę? — zapytała z goryczą Dominika.

— Nie miała. Ginter jej nie powiedział. Dowiedziała się na przesłuchaniu i dostała hysterii. Dopiero wtedy pękła. Wcześniej szła w zaparte. Obciążała Gintera, aż miło.

— Ile mogą dostać? — zapytał Bruno, zaciskając pięści, aż chrupnęło.

— Ona z pewnością dwadzieścia pięć lat za zabójstwa, on za podżeganie najwyżej trzy. Chyba że mu dołożą pomocnictwo, to może dwanaście. No i oboje mają jeszcze na sumieniu udział w przemyśle. Jeśli pójdą na współpracę, coś mogą ugrać... Ale to już nie mój problem, na szczęście...

— Zaraz! — przypomniała sobie Malwina. — A jak w końcu było z tymi zapałkami? Kto je podmienił?

— Też Arska. Dora przyszła do Gintera, żeby pożyczyć zapałki. Pożyczył i spławił ją szybko, bo akurat z Ewelina szycowali do przemytu kolejną ikonę. Kiedy przez okno Arska zobaczyła, że Dora zachodzi do Mazurka, podkradła się lasem, żeby podsłuchać, o czym rozmawiają. Była zaskoczona, kiedy usłyszała, że jego też prosi o zapałki. Najlepiej z czerwonym łebkiem. Poszła za Dorą do jej domu, podejrziała, jak wybiera te zapałki i wkłada do woreczka, a potem woreczek do kieszeni kurtki. Kiedy Zawojka obchodziła domy, zwołując was na to losowanie, Ewelina podmieniła zapałki. Wróciła do Gintera i pochwaliła mu się, co zrobiła. Oboje byli bardzo zadowoleni, bo gdyby Barbara zginęła, poszerzało się grono podejrzanych. W razie gdyby Mazurek się wywinął, mieli do dyspozycji inne kozły ofiarne... Ginter chętnie przytuliłby pieniądze Mazurków, ale najbardziej interesowało go własne bezpieczeństwo... Nie przyznaje się do podżegania. Upiera się, że wszystko wymyśliła Arska.

— Wydawałoby się, że w takiej małej społeczności nic takiego nie ma prawa się wydarzyć — westchnęła Dominika.

— Liczy się jakość, nie ilość — pouczyła ją Malwina. — Gdyby nie Wredny Kurdupel, mielibyście rajskie życie. Od niej się zaczęło psuć... Nie ma nad czym deliberować. — Uniosła kieliszek.

— Nie ma — przytaknął Bruno, unosząc swój. — Wznoszę toast: na pohybel wszystkim wrednym kurduplom tego świata! Niech się trzymają jak najdalej od porządnych ludzi!

Malwina ledwo umoczyła usta w winie, odstawiła kieliszek i westchnęła.

— Tym razem niespecjalnie pomogłyśmy policji — stwierdziła markotnie. — Nie mamy powodu do chwały.

— Ależ przeciwnie! — Storosz uśmiechnął się szeroko. — To dzięki paniom znalazłem się tutaj, w miejscu, które wcześniej było dla mnie niedostępne. To panie mi powiedziały, że Arska szantażowała Mazurka. Panie znalazły te worki, które wyrzucił Ginter. Bardzo panie pomogły! Ale najbardziej jestem wdzięczny za to, że dzięki paniom poznałem wspaniałych ludzi. — Spojrzał na Dominikę, która oblała się rumieńcem.

Malwina i Eliza przyjrzały mu się badawczo. Uznały, że nie są to czcze pochwały i nieco im ulżyło. Z lekkim żalem pożegnały się z towarzystwem (i kotami), z wdzięcznością przyjęły zaproszenie do kolejnych odwiedzin i opuściły gościnną Kolonię.

— Szkoda mi Belli — powiedziała Eliza, kiedy przejeżdżały przez Radliniec. — Do końca życia będzie miała wyrzuty sumienia.

— I nigdy się nie dowie, co by było, gdyby wtedy podjęła inną decyzję. — Malwina westchnęła ciężko. — Wszystkie trzy zapłaciły straszliwą cenę... Chyba przestanę się wtrącać do spraw moich dzieci. Jak widać, dobrymi chęciami piekło brukowane...

O Autorce

Małgorzata J. Kursa – kraśniczanka, matka, żona, czytelniczka i autorka; wieczna optymistka i antytalent techniczny na niespotykaną skalę; potulny ludzki podnóżek kocura o imieniu Duszek, wybitnego specjalisty od resocjalizacji osobników dwunożnych. Redaktorka literackiego portalu Książka zamiast Kwiatka i autorka kilkunastu humorystycznych powieści, w tym. m.in. serii komedii kryminalnych o Malwinie i Elizie.

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2021
© Copyright by Małgorzata J. Kursa, 2021

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora
Redakcja: Joanna Fortuna
Korekta: Magdalena Białek
Skład: Klara Perepłyś-Pająk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik
Zdjęcia na okładce: © liligraphie, © nsdefender, © markaumark, © janka3147, ©
nata7777 / 123rf.com

Zdjęcie Małgorzaty J. Kursy: © archiwum własne
Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz
Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Producenci wydawniczy:
Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

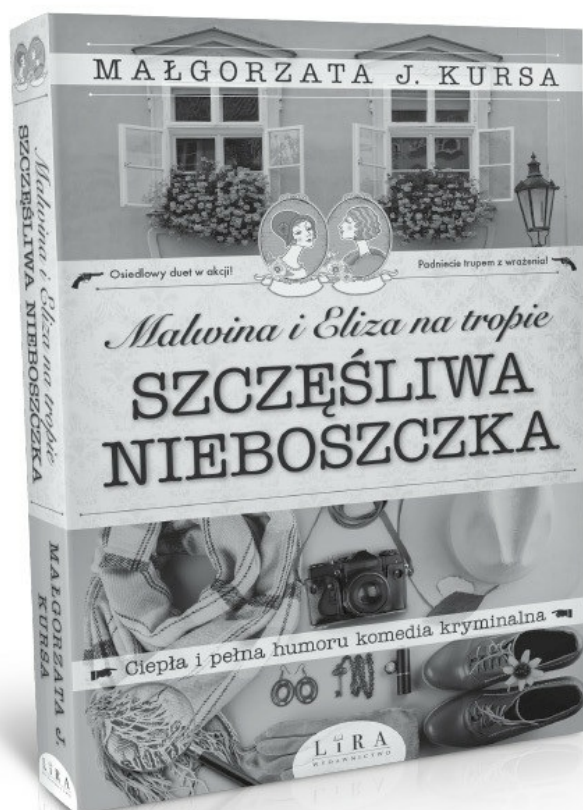
Wydawca: Marek Jannasz


W Y D A W N I C T W O
www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:



JUŻ W KSIĘGARNIACH

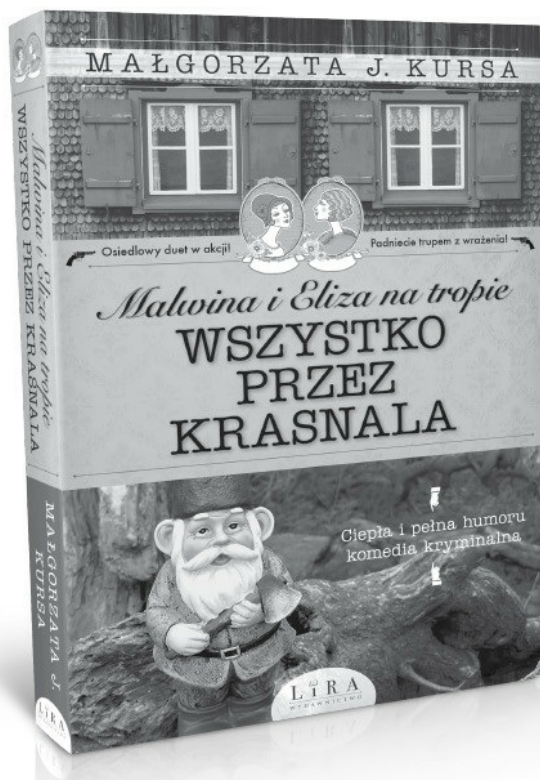


Eliza nie może uwierzyć w samobójstwo sąsiadki, która zginęła, wypadając z okna. Dzieli się wątpliwościami ze swoją przyjaciółką Malwiną. Obie panie postanawiają wziąć sprawę w swoje ręce... Czy dwie pięćdziesięciolatki poradzą sobie, dysponując jedynie wiedzą nabytą z filmów kryminalnych?

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Malwina i Eliza, dwie przyjaciółki z Kraśnika, postanawiają wyjechać. Czy uda im się odkryć tajemnicę pensjonatu „Olszynka”, który odnotowuje zaskakująco wysoką liczbę nieboszczek? Kibicując ich kolejnemu śledztwu padniecie trupem z wrażenia!

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

